NINA

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego
Artystyczno-Wydawniczego.

ESTEJA /Kisielnicka ze Skórzewskich Józefa/

NINA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

WARSZAWA
NAKŁADEM
JANA FISZERA
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Iюня 1902 года.

Druk Warsza.
Artys.

Wszystko robię co mogę, aby zrozumieć. Nawet udaję, że rozumiem, ale nic nie rozumiem. Jest to dla mnie galimatias niepojęty, niemożliwy do rozwikłania i nudny, przerażająco nudny!

Już czwarty rok tak pokutuję za winy swoje, a gdybym się nie bała wstawać o 4-ej z rana i spać na twardem łóżku i jeść marchew z rzepą, jak u Karmelitek, i po nocach chodzić samotnie po ciemnych kurytarzach, na których tańczą cienie po ścianach, gdy na nie światło od kaganka padnie, i spać sama jedna w celi w której przede mną całe pokolenie zakonnic wymarło, to wołałabym sto razy wstąpić do klasztoru.

Nawet czuję w sobie rodzaj powołania, bo wszystko marnością nad marnościami mi się wydaje, gdy mię mój stary pedant Sędzicki wynudzi. Codzień te same konferencye, rachunki, narady.

Anonsują Sędzickiego.

— Prosić...

Słówko krótkie, ale w zastosowaniu do Sędzickiego wywołuje u mnie natychmiast ziewnięcie, smutne, przeciągłe, beznadziejne ziewnięcie. Machinalnie oglądam się dokoła, czy niema dla mnie ratunku, ale nie, już słyszę ciężkie kroki mego plenipotenta, już jest.

— Proszę pani hrabiny, tu potrzeba podpisu. Chodzi o odbiór pieniędzy za poręby leśne.

— Ach będą pieniądze!—wołam uradowana.—To dobrze! bo przecież czas już nareszcie o kaplicy pomyśleć.

— Przepraszam panią hrabinę, ale te pieniądze pójdą zaraz na opłacenie raty banku ziemskiego, to ostatni termin—to mus, zwlekać nie można, to przecież pani hrabina rozumie.

— Rozumiem, doskonale rozumiem, tylko chciałabym wiedzieć, dlaczego te pieniądze mają być obrócone znowu na procenta. To mi się jakoś w głowie pomieścić nie może Tu odbieram 5,000 rub., tu je oddaje, tam 1,000 i znowu je oddaję, a na kaplicę, jak niema, tak niema. Nie wiem, na co pan trudzi siebie i tylu oficyalistów i tylu robotników chyba na to, aby ciągle w kółko odbierać i oddawać.

Patrzy na mnie Sędzicki oczyma tak osłupiałemi, że znowu mam się za idyotkę, więc czemprędzej kończę mój logiczny wywód — wykrętem:

— No tak, procenta, prawda procenta, hm... to znowu jasne, tylko...

O mało mi się nie wyrwało, że tego nie rozumiem, ale powstrzymałam się na czas, bo przedewszystkiem chodzi o zachowanie powagi i o wlanie przekonania w oficyalistów, że potrafię doskonale stać na czele swoich interesów. Ale między nami mówiąc, podejrzywam tych panów o pewien rodzaj lekceważenia dla mnie w tym względzie, pomimo wszystkich wysiłków moich.

Czwarty rok kończy się od śmierci Stasia. Ale... ale on tam kontent ze mnie być musi, bo się po bohatersku sprawiam, i sama sobie wydziwić się nie mogę. Może to i nie tak wielka zasługa z mej strony; doświadczenie, wiek dojrzały, to znakomity doradca.

Miałam lat 22, gdy mnie Staś opuścił, dziś 26!

Codzień patrzę w lustro, czy mi włosy nie pobielały jeszcze od tego zmartwienia i od tych nudów i od tej pracy, i zawsze się dziwię, czemu na mnie nie znać tego wszystkiego.

I włosy gładko zaczesuję, i pół żałoby jeszcze noszę, kolor popielaty, biały. Dziś pierwszy raz włożę suknię lila.

Dziwi mnie to i gniewa, że taka rzecz, jak suknia może mnie jeszcze bawić, a z drugiej strony trudno nie przyznać, że to istne cacko.

Tylko, że w moim wieku i po moich przejściach powinnam najwłaściwiej w habit się zaszyć.

Mama umarła w pół roku po śmierci Stasia i teraz nie mam nikogo, nikogo; bo trudno liczyć Castrelkę jako istotę zdolną udzielić pociechy, czy rady. Andzia tak daleko! Mój Boże! mój Boże! Strasznie mi smutno na świecie. Czemuż mi Staś dzieciątka nie zostawił?

Mam zwierzyniec Castrelki, kanarki, psy i koty, sześć mopsów bardzo zabawnych. Cóż to pomoże! Pustka i pustka. O czemuż mnie oni nie zabrali z sobą?

Mieszkam znowu w Krusznicy. Rodzina Stasia zabrała wszystko — mnie coś tam dali, ale sama nie wiem ile. Tyle korowodów i przykrych formalności z tego powodu, a mnie to tak mało obchodzi. Uprzejmie pozwolili mi wybrać co zechcę z pamiątek po Stasiu. Zabrałam piano-orgue i sztucer.

Na piano-orgue, gdy wicher wyje, grywam „Requiem“ Mozarta. To jedno tylko umiem. Wyuczyłam się tego w pocie czoła. Ze sztucerem chodzę na polowanie. Nie aby strzelać, bo huku nie lubię, ale dobrze, że mnie widzą ze strzelbą. Trochę się boję złodziei. Niech wiedzą, że mam broń pod ręką. Celuję do wron. One się tego okropnie boją. A skąd mają wiedzieć, że fuzya nie nabita? „Kra-kra-kra“ poleciały, obiecując sobie, że już tu nie wrócą. Siedzę sobie na pieńku i dumam.

Ostatecznie co mi po takiem życiu?

Chmury tak nizko nade mną, a mgła tak gęsta, że zda się ręką chwytać ją można. Wiatru nie słychać, nic, żadnego szmeru. Cisza wielka. Znowu „kra-kra-kra,“ wrony się odezwały. Zdaje mi się, że wrony i ja to jedyne mieszkanki jakiejś mglistej przestrzeni, za grzechy skazane na wygnanie w mglistą, bezbrzeżną, szarą, cichą przestrzeń, i że po trochu, po trochu sama się w mgłę rozproszę.

Jakże też dziwne a nielogiczne bywają czasem powikłania myśli w głowie! Zastanawiam się nad marnościami życia, a jednocześnie kiwając nogą w takt do akompaniamentu wron, liczę machinalnie guziki u bucików. Mój Boże! Staś tak tę nogę podziwiał; czy też jej nie szkoda do chodzenia po takim świecie!

Ach! co mnie to może obchodzić? Brrr... jak tu smutno!

Cztery lata temu!... Listopad... wyjazd do ziemi Faraonów. Blaski, światło, zapachy, gwar, życie, ruch wielki. A potem taka rozpacz! a od tej pory smutno i smutno!

Czemu te głupie wrony, skrzydła mając, tu siedzą, zamiast lecieć do słońca? I jabym mogła, ale mnie nie wolno. Skazałam się i już nigdy, nigdy tam nie polecę. Może i im nie wolno? Może to dusze grzeszne w te kraczące ptaki zaklęte i przywiązane do śniegów i lodów wyrokiem z góry?

Powiedziałam sobie, że dopiero wtedy wy-

puszczę siebie z niewoli, gdy postawię kaplicę. A tu kaplicy, jak niema, tak niema. Regulujemy interesa, potrzebujemy pieniędzy. Już oszczędzam jak mogę, o połowę mniej sukien kupuję, niż dawniej; nawet rękawiczki są pod ścisłym rachunkiem. Tymczasem kosztorys wypadł na 60,000 rub. Niema gotówki! Chcę sprzedać kawałek lasu. Nie można—serwituty.

Jeżeli kto dobrze rozumie, co to właściwie te serwituty, to mu dam patent na geniusz. Tłumaczą mi to wprawdzie, ale tyle wiem dziś co dawniej. Skąd się to wzięło, na czem się zasadza? Mocno podejrzywam, że nikt tego nie wie. Jakaś kombinacya pastwisk. Jagód latem mieć nie mogę, bo pastwiska w lesie, coś z łąkami także niepojętego, słowem tajemnica. Naturalnie udaję, że rozumiem, bo skoro inni udają, to trzeba być na wysokości zadania, ale jakież to męczące!

Regulowanie interesów — druga szarada. Tłumaczą mi, że po trzech latach będę miała duże dochody, ale, że teraz liczyć się muszę; z dochodów 60,000 rub. oszczędzić nie mogę, i... i... nie osiwieć tu od tego wszystkiego? Sędzicki obiecuje, że za rok kaplicę postawię, a wtedy przebaczę sobie, gdy kamień węgielny położony będzie.

Ja sobie wybaczę, bo Staś się na mnie nie gniewa. To wiem, o tem najgłębiej przekonana jestem.

Gdyby nie Marylka, to z pewnością z dawnej Ninetki jużby dziś kości bielały. Ona jedna życie mi osładza, ale mi go nie wypełnia. Tak mi pusto... pusto...

Marylka niezwykłe sworzenie, pełne bajecznej fantazyi i werwy, mądra, tak mądra, że zdumiewa mnie w każdej chwili, śmiała, energiczna, słowem imponująca. Ma troje dzieci, które sama uczy, ma gospodarstwo, którem się sama zajmuje, ma męża gdzieś w Azyi czy w Ameryce, o którym nie wie. Stracił jej wszystko, t. j. prawie wszystko, obraził się na nią, że weksli podpisać nie chciała, a że ona doskonale zdaje się rozumieć co to weksel, więc się zacięła. Podobno straszna była scena, ale nie podpisała, on obiecał, że sobie w łeb palnie, ale obietnicy nie dotrzymał,—no i zostawił ją panią zadłużonego bardzo majątku. Były tam jakieś subhasty, kaucye, akcye i licytacye, ale w tych hieroglifach ona lepiej się rozgląda, niż ja, a wynikiem tego jej dzisiaj nieograniczona swoboda.

Gdyby nie rady Marylki, to dawno ułożyłabym się z chłopami; bo to zawsze o te serwituty chodzi, które od nich zależą. Powiedziałabym im, a to pobożny naród: „Moi ludzie, chcę wybudować kaplicę i potrzebuję na to 60,000 rub., będzie gotycka, zobaczycie, będzie śliczna. Ułóżcie się ze mną i pozwólcie mi część lasu sprzedać; przecież to bardzo grzecznie z mej strony, że was o pozwolenie proszę.“

Proponowałam to Sędzickiemu. On znowu zrobił na mnie te swoje osłupiałe oczy — formalnie w takich chwilach, zdają mu się z orbit wychodzić — i odparł po dłuższem kiwaniu głową:

— Odpowiedzą: „niech nam pani hrabina da za tę część lasu wszystkie łąki na Krusznicy i las pod Łaskowem.“

— Dam, czemu im nie mam dać na zamianę? Jeżeli im się za serwituty tyle należy, to dam, a pieniądze będę miała. To chyba logiczne, co?

Ale Sędzicki zapewnił, że o tem mowy być nie może, że Krusznica bez łąk przepadnie, że inwentarz siana potrzebuje. Ja mu dowodzę, że mamy dużo koniczyny, to łąki zastąpi. On swoje. Któż z takimi mędrcami dojdzie do ładu? Ale ten pedantyzm wszystko gubi.

Marylka w tej sprawie trzyma stronę Sędzickiego, no, i *nolens volens* muszę się nagiąć. Ubolewam tylko przed Marylką, że to nie miła rola być w niewoli u Sędzickiego i znosić jego stary despotyzm.

— Wyjdź za mąż — odpowiada — wybierz nie despotę, lecz kochającego cię bardzo, a wtedy skończą się twoje kłopoty.

Wiem, o kim mówi: o swoim ciotecznym bracie, o Januszu. Nie wątpi, że on mnie kocha. Może i tak jest, ale co mnie to obchodzi? Zimna jestem, wystudzona jak głaz i smutno mi bardzo.

Patrzę przez okno, widzę na tle ogólnej szarości plamy ciemniejsze; to, co latem zielonością i kwieciem się okrywa, dziś jest szkieletem drzew, w mgły spowiniętym.

Czy moje lato wróci jeszcze?

Szaleństwo! Tylko dla roślin są na tym świecie zmartwychpowstania, dla ludzi nie. Dziś takim szkieletem jestem, w mój smutek, jak w mgłę spowinięta.

Sobota.

W tej lila sukni podobno ładnie mi było bardzo, chociaż może to tualetę moją tak admirowano a nie mnie, dość, że dzieci Marylki wołały z zachwytem:

— Śliczna ciocia! cudna! urocza! a pan Janusz starał się powtarzać to samo oczyma.

Mogę śmiało notować takie drobnostki, wogóle mogę się nad tem zastanawiać nawet, bo mnie to dziś wcale w próżność nie wbija, przeciwnie, zimna jestem i obojętna na to wszystko. Stwierdzam fakt, ale bez najmniejszego zadowolenia.

Co mi potem?

— Za mąż wyjść musisz—powtarzała Marylka — niepodobna, byś tak sama wegetować miała. To nie dla ciebie życie. Potrzeba ci opieki, rady, a przedewszystkiem miłości. Jesteś

delikatną roślinką, której nie sposób żyć bez osłony w czasie burzy, bez ciepła słonecznego. Nie upieraj się, Ninetko. Takie życie nie dla ciebie. Tyś do słońca stworzona. Zmartwiejesz, zmarniejesz w swojem osamotnieniu.

— Już zmartwiałam, Marylko. Nie mogę w sobie rozdmuchać żadnej iskierki. Taka jestem apatyczna, obojętna na wszystko, że wegetacya ostrygi jest jeszcze życiem w porównaniu.

— Bo tak w siebie wmawiasz. Spróbój środków ratunkowych i to prędko. Zobaczysz —spróbój tylko.

— Flirtować? — zawołałam przerażona. — Nie! nie mogę! nie mogę. Nie umiem, zapomniałam.

— Ale gdzie tam! Kto mówi o flircie? Nienawidzę tego wyrazu. Kucharki i stangreci już zrobili z tego eterycznego niegdyś pojęcia coś tak trywialnego, że w ustach moich nie postoi więcej to głupie orzeczenie. Wszyscy reporterzy we wszystkich *Kuryerkach* tak wygrywają na tem zamorskiem brzmieniu, że stało się to po prostu ostatnią z pospolitości.

— Prawda — odrzekłam ze smutkiem. — Prawda! — Jaka ja stara jestem! Za moich czasów takie to było, takie, czy ja wiem, poetyczne, eleganckie. Nie umiem tego określić, ale szkoda wielka, że się to już wdarło do suteren.

— Szkoda? Naturalnie, że szkoda. A czy nie szkoda, gdy cudne melodye z „Carmen“ na

katarynkach grają? A czy nie szkoda, że gdy jestem na „Łucyi z Lamermooru,“ to zamiast płakać, jak nasze matki — ba, nawet i ojcowie podobno płakali, to w najtragiczniejszych chwilach w oczach mi staje brudny, obdarty pseudożebrak, kręcący korbą na rogu ulicy i — cały urok prysnął. Ośmieszony ten bohater padający z sercem pękniętem na scenie, i, do stu tysięcy batalionów!

Tu Marylka piąstki zacisnęła, zaczerwieniła się z oburzenia i urwała.

Klnie czasem, doprawdy! Dowodzi, że gdy zła to musi kląć jak furman, ale to nieprawda, bo ślicznie kląć umie; tak jej z tem ładnie, że i tym razem schwyciłam ją w przelocie i w sam karczek pocałowałam, bo wyżej dostać nie mogę, taka wysoka.

— Przepraszam cię, Ninetko — tłumaczyła się trochę zażenowana—ale, widzisz, gdy zaklnę, to mi ulgę sprawia. Powinnam była mężczyzną się urodzić, na kobietę za dużo mam energii. Wstydzę się tego, ale doprawdy, gdy tak się pokonuję, że nikt mego rozdrażnienia nie spostrzeże, to mnie potem coś dręczy, trawi wewnętrznie, aż mnie głowa boli.

— Tak, — Marylko, nie tłumacz się, klnij sobie, jak tylko chcesz, i w takiej formie, w jakiej ci to samo przyjdzie. Ale z powodu Łucyi? czy warto się irytować? To takie niemodne!

— A widzisz — widzisz! Niemodne! *Voila!* Niemodne *Sapristi!* To mnie właśnie gniewa. Dlaczego niemodne? Ja się temu uważnie przysłuchiwałam, a znakomici byli artyści, i znakomite głosy i gra. To *jest* piękne; mówię ci, że *jest*. Ale z powodu katarynek stało się to niemodne. Nadużycie, i to nadużycie w trywialności. Tak samo z flirtem. Ośmieszony i niemodny! Dlaczego? Bo zrobili z niego poczwarę, zastosowali wyraz dźwięczny, przedstawiający rzecz niewinną a wdzięczną, do brzydot różnych, przeinaczyli i spaczyli jego pojęcie, tak samo jak Delfty. Te Delfty, które dawniej widywało się tylko na oryginalnych starych wazonach, na staruszkach piecach i kominkach, po starych odwiecznych komnatach, nikłe, śliczne, mgliste okręciki, morza i drzewa do cieniu podobne, i rozmarzało to i przenosiło w przeszłość, jak wszystko, co bardzo stare, trochę dziwaczne, naiwne i niewyraźne i niedokończone. I cóż? Teraz gdy się po Niemczech podróżuje, to w hotelach garnuszki do śmietanki, tace do chleba, nieledwie dzbanki i miednice postroiły się w dziwaczne sine okręciki, i patrzeć już na to nie można. Banalność, imitacya, trywialność, wypędziły urok, jaki w tem z dawnych lat był zaszczepiony. Mówię ci, Ninetko, wierz mi, jest czego kląć! To po prostu desperackie.

— Prawda! Masz słuszność. Czy uwierzysz, że ja już dziś patrzeć nie mogę na Maryę

Magdalenę Coregia, ani Battoni'ego. Tyle kopii —i tyle, a takich marnych. Pensyonarskie próbki, już i gobeliny zeszpeciły! Już z nich uleciały dawne duchy, tajemnica przepadła, urok prysnął. Smutno!

— No, no, tylko nie wpadaj w zadumę Ninetko. U mnie minie prędko chwilowa irytacya, i zapomnę. A ty, nie mając nic lepszego do roboty, rozmyślać nad tem zaczniesz i znowu twoje fijołkowe oczy pociemnieją, bo taki ich zwyczaj, gdyś smutna. Jest jeszcze dużo wesołości na świecie. Posłuchaj tylko, jak się moje urwisy śmieją. Słyszysz? Idź do nich. Ani wiesz, jak cię podziwiają. Widzisz, nie wszystko można zbanalizować. Choćby się wszyscy mordercy i niszczyciele piękna sprzysięgli, to takich jak ty Ninetek nie namnożą na tuziny. Więc zawsze człowiek tęskniący za pięknem bez milionowych odbitek, będzie miał na co popatrzeć i czem oko rozjaśnić.

— Ach ty pochlebnico! Chcesz mnie wziąć na lep jak muchę? Co mi po urodzie?

— Tobie nie, ale ludziom. Egoistko, wszystko do siebie odnosisz. Wyjdź z siebie, oddaj się innym, a zobaczysz, że ci lepiej będzie.

— Może to i prawda, ale komu? kiedy mi wszyscy obojętni. Przecież nie żądasz, bym ofiarowała swoją marną powłokę — bez serca i duszy.

— Nie wmawiaj w siebie tego wszystkiego, znajdzie się i dusza i serce. To wszystko uśpione tylko.

— Ach! gdybym dzieciątko miała, tylko dzieciątko! Nie wiesz, nie uwierzysz, Marylko, czem jest to pragnienie we mnie. To już nie pragnienie, to pożądliwość, to namiętność jakaś. Na dzieci łakoma jestem, pożarłabym, pochłonęła! To namiętność. To grzech! Ach! Marylko, Marylko! czemu ja dzieci nie mam? Sześcioro! Dwanaścioro! Utonąć między niemi, zgubić się w nich: ach! tyle dziobków różowych po świecie. Tyle główek złotych! Oj, mam ja serce, mam! Nie umarło, ani uśpione nawet, bo mnie boli, gdy na takie jutrzenkowe, pyzate amorki patrzę. Na wsi gdy na spacer wyjdę, a tak znienacka zbliży się które i szafirowe, niewinne oczy na mnie podniesie, to mówię ci, że mnie coś w serce ugryzie — zazdrość, żal! Ach Boże!

Wstyd mi, ale tak się rozpłakałam przytulona do Marylki, że już i rady nie było. Wszystko drgało we mnie, zanosiłam się od płaczu.

— *Qui veut la fin, veut le moyen* — powtarzała kilkakrotnie Marylka, po cichu, tuląc mnie do siebie, jak gdybym jej czwartem dzieckiem była.

Wtorek, listopad.

Castrelka ze swym zwierzyńcem zazdrość we mnie wzbudza. Jak ona je kocha te kanarki, te wilgi, te kosy, te psy, te koty. Jakie ona ma wielkie serce, by ową menażeryę tak rozkosznie w niem pomieścić. Namiętnie umiłowała swoich wychowańców; kulawe koty, oślepłe pieski, pokaleczone ptaki, to jej dzieci; innych ani zna, ani pragnie. Szpital chorych zwierząt większą część dnia jej zajmuje, drugą część zdrowe okazy, a reszta czasu pochłonięta przygotowaniem lekarstw dla chorych na wsi, bo i ludzi leczy, zioła zbiera, i zna się na wszystkiem. Bardzo jest czasem zabawna w swej oryginalności, ale cóż, kiedy ja tak mało potrafię odczuwać jej starania z powodu chorych kotów i kanarków!

Mama biedna kochana, tak przytomnie umierała.

Brrr... nie lubię, o! nie lubię chwil tych w pamięci odżywiać.

I niepokoiła się, co ja pocznę sama na świecie. Pociechą dla niej było, że Castrelkę mi zostawia jako „starszą osobę,“ bez której młoda nie powinna się pokazywać ludziom.

Więc mam Castrelkę w dożywociu i dobrze jej tu. Bardzo mnie kocha, prawie tyle co sześć mopsów między faworytami najdroższych

faworytów. Te mopsy to jej dla mnie atencya; aby mnie rozerwać wyprosiła u Janusza całe młode pokolenie, sześciu braciszków po rasowej matce. To co miało być moją rozrywką, stało się ukoronowaniem jej szczęścia Miewa ona swoje skrupuły co do spełnienia obowiązków; uważa za słuszne dotrzymywać mi towarzystwa, ale zdala od menażeryi i szpitala staje się jakaś nerwowa, niespokojna, roztargniona. Naturalnie łatwo mi przychodzi zwolnić ją od wielkiego dla niej poświęcenia. Zawsze znajdę powód, by jej dać swobodę.

Dzisiaj głowa mnie bolała. Castrelka natychmiast przybiegła do mnie i częstowała trzema odmianami ziółek na migrenę, a po chwili mówiła oglądając się niespokojnie dokoła.

— Tobie kochanko potrzeba rozrywki, ty się nudzisz, poczekaj, mopsów ci zawołam.

I już jej nie było. Wróciła nietylko z mopsami, ale i z kotem na ręku. Kot miał łapę zwiniętą i cicho się sprawiał, ale mopsy nie miały respektu dla mojej migreny. Ta „rozrywka" dla mnie, niebardzo się Castrelce udała, i migreny nie wyleczyła; ale należy cenić dobre intencye.

Mój Boże! jakież to życie niezabawne!

Wieczorem spodziewam się Marylki i Janusza.

Niedziela.

Marylka kocha tego swego kuzyna, ceni go i szanuje. Dwa razy na rok przyjeżdża on na kilka tygodni do Sokolnik i wtedy cały dom zwykle ożywiony podwójnie się ożywia. Zdaje mi się, że to pierwszy ideał Julki, siostrzenicy jego. Sympatyczny bardzo, tego nie można zaprzeczyć, tylko ma swoje niewinne manie, jak np. namiętność do malarstwa. Wszystkich traktuje jako typy do obrazów, wiecznie patrzy na mnie, jak na model i to mnie denerwuje.

Dobry jest i bezinteresowny zresztą, wiem o tem. Marylka ma go za unikat i rzeczywiście może to unikat, bo myśli więcej o innych, niż o sobie. Najdziwniejsze w nim to, że czynem, a nie słowami się zasługuje. Marylka dowodzi, że w naszym kraju to jest najrzadsze.

Na pozór zdawałoby się, że to zwykły salonowy sybaryta. Rozmarzony, w ruchach trochę leniwy, mało mówi, a o ile mówi, to żartuje z siebie i ze wszystkich. W najpoważniejszych chwilach życia jeszcze żartować będzie, tego w nim nie lubię, choć ma swój indywidualny sposób pojmowania rzeczy i dziwnie śpiewny, harmonijny głos.

Nic mu zarzucić nie można. On Marylkę ratował w najcięższych chwilach pożyczkami i radą, wspiera młodzież na uniwersytetach,

abonuje wszystkie pisma, jakie w kraju wychodzą, by popierać literaturę, skupuje bez liku książeczki ludowe i rozdaje, by lud do czytania zachęcić, synów służby swej kształci na „pożytecznych ludzi,“ słowem ideał książkowy.

Ale mnie czasem drażni i niecierpliwi. Ma dziwny sposób odzywania się do mnie. Jak gdyby zapomniał, że jestem kobietą poważną i dojrzałą, dojrzalszą od niego, mówi do mnie jak do dziecka; w rzeczach donioślejszych nie liczy się ze zdaniem mojem, zawsze na żartobliwą nutę prowadzi ze mną rozmowę, choć w ogóle mało mówi, głównie patrzy, studyuje mnie widocznie, a to przecież jest męczące.

Gdy mnie tak w cichości ducha, ale z widoczną intencyą obserwował wczoraj, zawołałam na pozór żartobliwie, w gruncie zirytowana.

— Miło mi będzie, gdy sobie pan inny przedmiot do studyów obierze.

Nie raczył się tem zmieszać i patrzał spokojnie dalej. Na dobre rozgniewana zapytałam, czując, że się czerwienię.

— Jakże! czy już? czy dosyć?

— Nie pani, nie jeszcze, ani już, ani dosyć.

— Ale to niegrzecznie bardzo, to dziwna poza jakaś, pan wie, że mnie to irytuje.

— Co to panią może obchodzić? czy słońce się irytuje, gdy słonecznik w nie wpatrzony?

— Między słońcem a słonecznikiem taka olbrzymia odległość — odezwała się Marylka.

Spojrzałam na nią błagalnie, bo zrozumiałam aluzyę.

Nie mogę nie uznać, że Janusz ma piękne spojrzenie, tak spojrzenie, bo oczy ani w kolorze, ani w rysunku niczem nie frapują, ani są fijołkowe, ani mają rzęsy gęste, długie i ciemne, jednem słowem to nie są oczy z romansu, ale coś w nich jest, bo umie niemi mówić, to jedno, a to dużo; są oczy na pozór wymowne, ale na pozór tylko, które tę samą strofkę powtarzają bez końca, swojej Dulcynei i kucharzowi, pokojówce i koniom na pastwisku, a za takim pseudo-wymownym wzrokiem zwykle głupota się mieści.

Otóż oczy Janusza wszystko mówią, co chcą, ciągle mówią, gdy on milczy.

To mnie jednak gniewa, że nie dość mu imponuję. ma mnie za dziecko, odzywa się do mnie, jak do dziecka, patrzy na mnie, jak na dziecko, a ja muszę mu to przecież wybić z głowy, to upokarzające dla mnie.

Te kilka lat odmieniły mnie zupełnie, ja dziś jestem inną kobietą. Bo gdy odczytuję to, co pisałam wtedy w Kairze cztery, prawie pięć lat temu, pojmuję, że mój Staś, ten mój pan jedyny, dzieckiem swojem mnie nazywał, przecież taka byłam dziecinna, taka naiwna!

Ale dzisiaj.

To jakby 20 lat minęło od tej pory.

Wszysto zmienione. Świat inny—a ja na niego innemi oczyma patrzę.

Tak mi wtedy było dobrze.

Tak mi teraz smutno.

Tyle mnie osób kochało. Dziś nikt mnie nie kocha i ja nikogo.

I bałabym się pokochać—nie chcę; nigdy, nigdy nie przeniewierzę się pamięci Stasia.

Gdybym choć Andzię blizko siebie miała! Oną byłaby mi matką i siostrą i przyjacielem. Marylkę serdecznie lubię, ale po śmierci Stasia i mamy, tak mi jakoś dziwnie serce skamieniało, że jak na granicie nie wejdzie nasienie, tak nowa przyjaźń, nowa miłość nie puści głębszych korzeni w tem mojem nowem, twardem, jak opoka sercu.

Andzia mi siostrą była—a ja—ja bałamuciłam jej męża.

Na to wspomnienie gorycz w ustach czuję i takie oburzenie na siebie i taki wstręt do siebie, że nawet nie pojmuję, jak mogę na chwilę rościć jeszcze jakie pretensye do życia.

A jednak jaka ona dobra; jak słodko i wspaniałomyślnie darowała mi winy moje. Pisuje do mnie takie listy, jakbym najdroższą dla niej istotą była; i tak, jak dawniej powtarza, że tylko Wacław synek jej i ja druga życie jej wypełniamy.

Ale to tak daleko, ona z różnych względów wiecznie po szerokim świecie się błąka,

a ja—jej nawet nie zapraszam, bo to za prędko; jeszcze za świeża rana, jeszcze jej widzieć nie mogę; oczu przed nią podnieść nie śmiem, rąk do niej wyciągać nie potrafię, bo się wstydzę, może ona czeka, aż ją do siebie przywołam, pewnie, ona taka delikatna i rozumna.

Wtorek.

Czy ten Ksawery pozuje na dziwaka, czy też jest dziwakiem?

Nigdy, nigdy nie byłabym w nim poznała dawnego milutkiego Ksania o złotych loczkach i okrągłej pulchnej twarzyczce, arcy figlarza, ze śmiejącemi oczyma; śmiał się, gdy z rana oczy otworzył, śmiał się zasypiając.

Tak dobrze pamiętam te chwile, tak lubiłam je wspominać, to jedno z najmilszych wspomnień dziecinnych.

Ojciec Ksania, cioteczny brat mamy, stary pan Bielewski, angloman do szpiku kości, chorujący na postępowe pojęcia, demokrata, pragnący zrobić z syna człowieka pracy, bardzo mądre teorye wygłaszał, ale w praktyce podobno psuł jedynaka w niemożliwy sposób, nie umiał niczego mu odmówić, a głównie dawał mu dożo pieniędzy, już jako malcowi, aby „potrafił sam sobą kierować, aby nabrał niezależności, aby wyrabiał w sobie charakter, umie-

jąc wybrać i zdobyć to, co mu potrzebne, a odmówić sobie, gdy mu pieniędzy zabraknie."

Mama mi to później opowiadała. Tylko, że jemu w owych czasach nigdy nie zabrakło niczego.

Dłuższy czas bawił u nas przed ostatecznym wyjazdem do Anglii, dwanaście lat miał, gdy go tam ojciec odwiózł, a od tej pory przyjeżdżał do kraju tylko po pieniądze.

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiły na mnie słowa wuja, gdy mamie opowiadał o talentach i zaletach swego jedynaka. „On daleko zajdzie, wszystko potrafi co zechce, będzie z niego wielki inżynier, ciągle coś buduje, mosty, tunele, nawet z kart potrafi dziwnie zgrabnie budować.

Rzeczywiście karty miały być później głównem jego zajęciem, ale nietylko, że nic z nich nie zbudował, przeciwnie zrujnował cały majątek ojcowski na Litwie, coś tam jeszcze pozostało, ale nominalnie tylko; a gdyby nie sukcesya po stryju, starym Bielewskim, moim blizkim sąsiedzie, który niedawno umarł, nie wiem, coby się dalej z nim działo, a głównie z biedną matką i siostrą jego; te kobiety są pożałowania godne. Taki fantastyk. Nawet w tej krótkiej wizycie, jaką mi złożył, jako kuzynce i sąsiadce, dał dowody dziwnie chimerycznego usposobienia.

Gdy stanął przede mną, nie mogłam ukryć zdziwienia mego.

— To ty kuzynie!—zawołałam zdumiona— nigdy nie byłabym cię poznała.

— To ty Ninetko! a ja byłbym cię poznał natychmiast.

— Nie zmieniłam się, znajdujesz? może w głosie moim znać było trochę niezadowolenia, bo podobno nie byłam ładną i głupiutką miałam minę wtedy, gdyśmy się ostatni raz widzieli.

— Fizycznie nie — odparł, a moralnie prawdopodobnie tak — ale nie wiem, bo cię nie znam.

Przyglądałam mu się z ciekawością, bo zdawało mi się niemożliwem, aby tak żadnego rysu z lat dziecinnych nie módz w nim odnaleźć. Bardzo wysoki, bardzo szczupły, twarz brunatna i ściągła, oczy głęboko osadzone i wcale nie śmiejące, prędzej zmęczone, czy smutne; nie wiem nawet czy przystojny, tylko dystyngowany bardzo, a tem dawniej nie był.

— Czy myślisz zaaklimatyzować się w tych stronach? — pytałam, aby podtrzymać rozmowę, bo on nie zadawał sobie żadnego wysiłku w tym kierunku; usiadł głęboko w fotelu, oparł się głową o poręcz i patrzał na mnie, ale w ten sposób, że nie wiem nawet, czy mnie widział, czy też miał ochotę drzemać.

— Nie wiem jeszcze — odparł lakonicznie.

— A matka twoja i Madzia, gdzie są teraz?

— Na Litwie.

— Gospodarują za ciebie—dodałam trochę złośliwie, poirytowana jego zimnym, obojętnym, jakby znudzonym tonem.

— One wszystko dobre robią, gospodarują, modlą się, poszczą, oszczędzają, wszystko za mnie.

— A ty Ksaniu?

— Ja je także wyręczam, tylko w przeciwnym kierunku, dla zachowania równowagi w rodzinie.

— Dobrze ci z tem?

— To zależy—czasem dobrze, czasem źle.

— A im—twoim paniom?

— Nigdy ich o to nie pytałem. Przypuszczam, że im dobrze, bo zawsze uśmiechnięte.

Chwilowe milczenie—ale nie mogłam powstrzymać słów, które mi się ciągle na usta tłoczyły.

— Jak tyś się zmienił! Czy to ty, czy nie ty?

— W czem?—zapytał obojętnie.

— Zewnętrznie, wewnętrznie—do gruntu, do szpiku kości.

— Na awantaż przypuszczam?

— Niestety, tego nie mogę powiedzieć.

— Jesteś szczera, to wielka zaleta, jak na kobietę—odparł uśmiechając się po raz pierwszy, i wtedy cień dawnego Ksania zamajaczył w mej pamięci.

— Przepraszam cię, ale zdaje mi się, że nie należysz do ludzi drażliwych, nie wziąłeś mi mej szczerości za złe.

— Przenigdy! Lubię szczerość, bo mi to trudu oszczędza odgadywania, co kto myśli.

Znowu milczenie. Czułam się głupią; aby coś powiedzieć, pytałam znowu.

— Podoba ci się w tych stronach?

— O tyle, o ile się nie nudzę.

— Czemu się czem nie zajmujesz, nie nudziłbyś się.

— Bo mi się nie chce.

— To się nudź!—odparłam teraz już ostatecznie zniecierpliwiona, mając wielką ochotę wstać i pójść sobie od tego zanudzonego nudziarza; ale ku memu zdumieniu, ów nudziarz wybuchnął teraz szczerym, serdecznym śmiechem.

— O to! to mi się podoba. Ninetka! doprawdy, ta sama, dawna, urocza Ninetka, trochę to złe, trochę niecierpliwe, ale bardzo miłe i nic a nic nie szablonowe. Ha-ha-ha!—ale ty niegrzeczna jesteś kuzynko droga, któż swemu gościowi mówi przy pierwszej wizycie — to się nudź!—to się nudź!—to niegrzecznie, cóżby Castrelka na to powiedziała, — *a propos*, czy żyje jeszcze ta stara wiedźma?

— A! Ksaniu — daj pokój, to moja jedyna Opatrzność.

— No, winszuję; gdybym miał taką Opatrzność, tobym się powiesił.

Zadumałam się i odparłam dość melancholijnie.

— Czasem mam ochotę na tem skończyć.

— Tak ci źle?

— Nie jest mi dobrze.

— Czemu się czem nie zajmiesz? — zapytał, naśladując ton mój trochę mentorski—i znowu wybuchnął śmiechem.

— To ty jeszcze umiesz się śmiać? — zapytałam.

— Gdy takie, jak ty Ninetki, perorować zaczną.

— Wdzięczny z ciebie materyał do nawracania być musi.

— O tyle wdzięczny, że gdy kaznodzieja ma twoją postać, to chętnie go w obie rączki pocałuję, na znak wdzięczności.

— I koniec na tem?...

— Ach — naiwna istoto, pocałowałbym i w nóżki, ale to zależałoby od przyzwolenia ze strony jej kaznodziejskiej mości.

— Ksaniu! czy ty udajesz, że mnie nie rozumiesz? Czy ty seryo mówić nie chcesz, czy nie umiesz?

— I nie chcę i nie umiem.

— To cóż ty poczniesz w tych stronach?

— Wyniosę się co prędzej.

— Czy wolno wiedzieć, dokąd?

— Wolno, o tyle, o ile ja wiem, ale, że sam nie wiem...

Smutno mi się zrobiło, bo to była wyraźna zapowiedź, że trybu życia zmienić nie myśli, i, że dziedzictwo po stryju stopnieje, jak tamto po ojcu.

Ksanio miał już znowu swoją znudzoną minę, a ja w dalszym ciągu musiałam podtrzymywać rozmowę.

— Czy dużo wybudowałeś mostów i tuneli? — pytałam, by go znowu obudzić, choćby drażniąc jego miłość własną.

— Ostatnie były te, które tutaj sobie w Krusznicy budowałem—odparł flegmatycznie.

— A od tej pory co robiłeś?

— Interon — mruknął uśmiechając się pobłażliwie, to nic nie szkodzi—pytaj. Od tej pory nie robiłem nic o tyle, o ile nie byłem do tego zmuszony.

— Bywałeś zmuszony?

— Głupią ambicyą. Między kolegami lubiłem być pierwszym; ale te naiwności dawno minęły.

— Ty to nazywasz naiwnością?

— A ty jak?

— Poczuciem obowiązku.

— Hm...

I znowu milczenie.

Ale tym razem postanowiłam sobie solennie, że wobec jego oporu nie odezwę się więcej. Dobrze, będziemy tak siedzieli naprzeciw siebie, niemi oboje, choćby miał pająk uprząść pajęczynę dokoła nas, choćbyśmy w letarg wpadli, ja się nie odezwę. Zobaczymy mój panie, kto kogo przetrzyma.

Trwało to dość długo; pająk wprawdzie jeszcze prząść nie zaczął, ale mnie się zdawało, że wieki mijają.

Ksanio wstał, popatrzył na mnie uważnie, i dostrzegłam, wyraźnie dostrzegłam tłumiony śmiech w jego oczach.

— Żegnam panią, już późno—jak na pierwszą wizytę, to za długo.

— Nie moja wina, że ci się czas długim wydał.

— Mnie? któż to twierdzi? Dawno, już nie wydał mi się tak krótkim.

— Doprawdy? Widocznie w milczeniu znajdujesz największą przyjemność.

— Nie zawsze i nie wszędzie. Ale tu, tak. Najpierw sklejałem kawałki przeszłości, w tym oto pokoju, ten kominek, te portrety, *cela m'a fait rever.* Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że dawny „ja,“ to doprawdy ten sam dzisiejszy „ja.“ Ducha mego dawnego odszukiwałem, i miło mi było, że przy mnie siedzisz, bo lubię tak dumać ze śliczną kobietą obok milczącą. Ale widzę, że to egoizm—koń-

czył ironicznie, czy też pobłażliwie się uśmiechając. Pani tego nie rozumiałaś, pani jednocześnie się nudziłaś, szkoda! nie było harmonii dusz, a mnie w moim egoizmie zdawało się; że była. Szkoda i przepraszam — dodał całując mnie przelotnie i obojętnie w rękę.—No, ale teraz wybaczysz - kończył—gdy po nudnem milczeniu nastąpił taki długi monolog.

Odczułam ironię w głosie jego i przykro mi się zrobiło. Prawda, nie zrozumiałam go i wyrzucam to sobie. Skoro szukał strzępków dawnej, dziecinnej duszy, trzeba mu było dopomódz. Dziwny, dziwny człowiek!

Czwartek.

Jutro wigilia, do Sokolnik pojadę wieczorém. Nie było dla mnie dnia weselszego dawniej, teraz, niema dla mnie dnia smutniejszego.

Ciekawe życie!

Wczoraj był znowu Ksawery, już na święta spodziewa się przyjazdu swoich pań. Cieszę się z tego, „dobre są,“ a to najpospolitszy przymiotnik, ale między ludźmi najrzadsza zaleta. Nie są źli, nie są dobrzy. Ale być dobrym, trzeba nie mieć egoizmu, nie mieć próżności, ani zazdrości, ani drażliwości, a to tak szalenie trudno.

Skąd mi to na myśl przyszło?

No, bardzo naturalnie. Ksawery mówił w tym sensie o swoich paniach i dowodził, że poznał świat, ale na nim, oprócz matki i siostry, prawdziwie, t. j. w całem słowa znaczeniu dobrych nie znał. Czasem bardzo stare kobiety, mające życie za sobą wycofane z kursu, nie żywiące już żadnych osobistych ambicyi, wydały mu się dobremi, ale nie wie, bo ich bliżej nie poznał.

Nagle stanął przede mną, a patrząc mi w oczy—zapytał.

— A ty, czy jesteś dobrą Ninetko?

— Tyle zalet według ciebie mieć trzeba, by na to określenie zasłużyć, więc wolę się nie poczuwać do tej jednej, zamykającej w sobie wszystkie inne.

— Wątpię — dodał, jak gdyby sam sobie odpowiadał na swe pytanie, pomijając moje słowa—wątpię, za młodą jesteś na to.

— Przecież Madzia, siostra twoja, jest młodszą ode mnie.

— Tak, ale ona urodziła się dobrą; *c'est une prédestinée;* takich niezmiernie mało na świecie i takich nic zepsuć nie potrafi.

Mówiąc to chodził po pokoju z głową pochyloną naprzód, wpatrzony w ziemię, ale raptem zatrzymał się przed cudnym portretem Stasia, w którym artysta całą jego duszę uwię-

ził, i popatrzył przez chwilę w milczeniu, a potem dodał.

— Ten człowiek musiał być dobry, to typ idealny.

Mnie łzy zakręciły się w oczach i nie mogłam się zdobyć na słowa potwierdzenia.

Ksawery spojrzał na mnie.

— Przepraszam cię, kuzynko — zamilkł, t. j. urwał na tych słowach i po chwili dopiero kończył — widzisz, masz przed sobą absolutny kontrast idealizmu. Jestem egoistą. Ktoś dobry nie byłby szarpnął raptownie wspomnieniem twojem, nie chcąc bólu wywołać. Bardzo zły jestem? co? Nie żenuj się, nie zaprzeczaj, wiem, że jestem; ale to nas oboje mało obchodzi, więc, żegnam cię miła sąsiadko. Do widzenia.

Tak, w jego ustach, ustach obcego człowieka — bo cóż takie pokrewieństwa bez zażyłości znaczą?—przykra mi była uwaga, choć pochlebna, o tym moim ideale.

Mówił o nim tonem, jakim się mówi robiąc uwagi w galeryach obrazów. Zmroziło mnie to. Ten obcy intruz, studyujący wobec mnie portret mojego męża, którego niema już, niema...

Niema go...

— A wigilia za wigilią mija, i nigdy już, nigdy, jak swemu ukochanemu dziecku nie zajrzy serdecznem uśmiechem w oczy, aby odgadnąć życzenia moje, aby się nacieszyć uciechą moją.

Nigdy! to słowo to otchłań, bezdenna otchłań.

Wigilia.

Za kilka godzin pojadę do Sokolnik, mam czas jeszcze. Cicho i biało na świecie, a u mnie dokoła tak głucho, jak gdyby cały świat wymarł!

Mój świat wymarł... Stasia niema, mamy niema, racyi mego bytu niema.

Wtorek.

I już znowu święta minęły. Te śliczne święta, mające w sobie jakiś dziwny czar.

Gdy tak w wigilię spoglądam na świat Boży, coś nieopisanego dzieje się w mej duszy. Budzą się w sercu jakieś dawne, dawno minione obrazy, tak przez czas pozacierane, że błądzą we mnie tylko, jak duchy preszłości, sama już pochwycić ich nie mogę, i w całość ująć i dokładnie im się przyjrzeć. Ale się też o to nie staram.

Poddaję się urokowi chwili tajemniczej, gdy mrok zaczyna już padać na śnieżną ziemię.

Tak cicho! Tak uroczyście cicho.

Biało i czysto — i ten puch na ziemi taki miękki, taka cudna pościel niepokalana. Smutno

może—ale to jakiś słodki smutek, dobrze z nim i chciałoby się tak długo pozostać z temi majaczącemi wspomnieniami, z tęsknotą za tem, co minęło, z poczuciem znikomości wszystkiego.

Tyle lat przeżytych.—Przeżytych, czy prześnionych? Trudno orzec, tak się to powoli, w niewyraźny sen zaciera, to, co się łzami krwawemi opłakiwało i to, czego się żądzą wielką pragnęło i osiągnęło i te żale, i te radości, i te trwogi, i te nadzieje — i ci ukochani, których byt był naszym bytem, a których śmierć stokroć gorszą od naszej śmierci nam się wydała, to wszystko rzeczywistością było; a dziś snem się wydaje.

Ach to szczególniej.—To właśnie.

Więc i oni już do kraju snów należą, już majaczeją tylko; cicho, smutno, z rezygnacyą myśl snuje wspomnienia, bo ci ukochani, to wspomnienie tylko.

I całe życie to wspomnienie — i wczoraj, wspomnienie.

Chwila obecna nie istnieje, bo błyskawica trwalsza jest od niej — przyszłość? natychmiast w przeszłość się zmienia. I tak wszystko ucieka niepochwytnie, nic z życia tego do nas nie należy, przesuwa się tylko mimo, a to głupie serce nad tem, co takie przelotne, łzy leje.

A mój Boże!

W głowie mi się miesza od tych urywanych, a bezładnych pojęć, czuję ogrom niepoję-

tej tajemnicy, w której tonę, nic nie rozumiem, nic nie pojmuję. Jakże zazdroszczę tym mędrcom, którzy to sobie umieli związać w systemat, w porządku ustawić myśli, jak żołnierzy w szeregu, oni podobno wiedzą co, i dlaczego; ale ja, gdy ich czytam, jeszcze mniej wiem, niż przedtem.

Ja nie wiem i gubię się w tej otchłani, więc prędko szukam okiem pierwszej gwiazdy, jak za lat dziecinnych—gwiazdki.

Ach! te czasy — te dawne, dawne czasy, gdy się swięta zimowe tylko „gwiazdką“ nazywało.

Kiedy ta „gwiazdka“ zaświecała naraz w imaginacyi małej Ninki, setki światełek na drzewku, a drzewko, jak piramida lśniąca od brylantów i pereł i rubinów nagle za otwarciem podwoi stawało w jej oczach.

A duża sala wydała jej się cała w blaskach skąpana — i nagle świat ten, nasz marny, smutny, lichy świat, ten sam, na którym później tak trudno żyć i godzić się z życiem, ten sam świat stawał się rajem.

Drzewko było wcieleniem gwiazdki, gwiazdka identyfikowała się z drzewkiem; a wszystko razem płonęło, olśniewało, migotało takimi blaskami, że oczy Ninetki mrużyły się mimowolnie, choć się oderwać od tych cudów nie mogły.

Drzewko też stawało się rogiem obfitości, z którego płynęły maleńkie, już wtedy upra-

gnione lalki-córeczki, i już wtedy później główce miłe wstążki wzorzyste i trzaskające cukierki, które sprawiały małe emocye, gdy je rozrywała z Castrelką, i marcepanowe gruszeczki i jabłka, takie apetyczne i różne przeróżne figle czekoladowe, okręty i kołyski, domki zaczarowane i czarownice z miotłami.

Boże mój! Jak pożądliwie ręce moje dziecinne rwały się do wszystkiego, co się w tem gwiazdkowem świetle kąpało, jak w zorzy.

Od tej pory miałam już i piękniejsze ozdoby przez prożność upragnione, miałam i pałace zaczarowane, w których ze Stasiem mieszkałam.

Kołysałam się w wielkich okrętach po wielkich morzach — i tak, jak drzewko dawało mi klucz do Sezamu, które sama otwierałam, tak życie później było dla mnie otwartym Sezamem.

— I...

I to wszystko śniło mi się tylko.

A sny miałam tak piękne, że duszę do siebie przykuły; błąka się w nich teraz, w snach tych przebywa.

Ale to wszystko jedno, bo skoro wedle mego obliczenia rzeczywistości niema, skoro niema chwili obecnej, a zatem — wolę przeszłość, bo co mnie może przyszłość obchodzić?

Jednej rzeczy tylko późniejsze moje Sezam nie dało mi z tych, które drzewko zdawało się mi wróżyć.

Lalka w córeczkę się nie zamieniła, a kołyski pozostały puste.

Mam je wszystkie. Nikomu nie pokazuję, bo mnie wstyd, ale mam je wszystkie od najmniejszej czekoladowej z drzewka zerwanej, do tej, w której największa moja lalka sypiała. Lalkę podarowałam, ale kołyska jest u mnie, bo tak sobie myślałam, że może kiedy...

Ale „basta" — już sobie obiecuję nie rozwodzić się na tym tymacie. To maniactwo, a manie na wodzy trzymać trzeba.

Gdy pierwsza gwiazda zaświeciła, podumałam jeszcze chwilę; a, że już byłam ubrana, że sanki już stały przed gankiem, więc w kwadrans znalazłam się w Sokolnikach.

Marylka nalegała na mnie, bym dzień cały, wogóle święta całe z nią spędziła, ale tego obiecać nie mogłam.

Nie—ja już przywykłam do takiego wywoływania cieni z preszłości i tęskniłabym za nimi, gdybym choć godzin kilka w dniach uroczystych im nie poświęciła.

Mama i Staś Staś i mama—do nich wracam — oni do mnie — a gdy odchodzę, tak mi tęskno, tęskno!

Pierwsza gwiazda—tylko lat kilka ze Stasiem szukałam jej na niebie.

Teraz myślę, gdzie on? czy nie na tej gwieździe?

— Zyczycie mi świąt wesołych — zawołałam do moich ukochanych cieni—i odrywając się od nich przemocą prawie, dążyłam do Sokolnik.

Niezawodnie życzenia ich towarzyszyły mi, bo wesoło święta spędziłam. Tak wesoło, że wyrzucałabym to sobie, jako rodzaj sprzeniewierzenia; ale nie, tego nigdy nie robię. Stasia i mamy głos słyszę często, wyraźnie bardzo. Łają mnie, gdy się poddaje smutkowi, chwalą, gdy mi wesołość dawna wraca chwilami. Mówią mi, że im tam lepiej, gdy mnie tu nic nie gnębi, a że mój smutek ich gniecie; to takie do nich podobne.

Wierzę w to, że tak być musi, bo tak, jak oni mnie kochali, już mnie nikt kochać nie będzie.

I znów łzy! Ach Ninetko — wstydź się, wstydź—jakie z ciebie miękkie, słabe i nędzne stworzenie.

Środa.

Więc wesoło święta spędziłam. Dom w Sokolnikach pełen był gwaru, ruchu, wrzawy, a Marylka swobodna, ożywiona.

Jak ja tę kobietę podziwiam!... Przecież ona tyle zawodów przebolała, mąż jej wszystko zrobił, co mógł, by życie jej złamać. Tak, ale takich serc się nie łamie z łatwością, to stal.

Ot, ja, byłabym już dawno strzaskana, ale ona? odporną siłą tak się umie dźwignąć z wszelkich pogromów, po chwilowej burzy taka pogoda na jej jasnem czole! I nigdy skargi. Nigdy nikomu się nie zwierza, nigdy o sobie nikomu nie mówi.

Jej dewiza „Sama sobie.“

A przecież to „motto,“ którem odpowiada na podziw ludziom, że nie potrzebuje nikogo, to motto nie określa jej życia, bo dokładniej rzecby mogła: „Sama dla innych.“ Wszyscy jej się radzą, wszyscy się do niej garną. Dla swoich dzieci wyrocznia, dla sąsiadów gospodarzy przykład, dla mądrych ludzi niewyczerpany zasób wiedzy, z artystami artystka, ze mną, marną łupinką, na pełnej fali busola, ster, wszystko.

Ona suggestyonuje. Machinalnie słucham jej w wielu rzeczach, nie we wszystkiem, bo mnie z mego smutku nie wyleczy, ale gdy mi każe być wesołą — jestem; przy niej potrafię jeszcze ożywić się, jak dziecko.

Gdy zajechałam, całe towarzystwo już było zgromadzone. Marylka, jej trójka, pan Janusz, państwo Miecińscy. Ona także kuzynka Marylki, ale taka od niej odmienna, afektowana, pozująca, egzaltująca się nad lada drobnostką, sypiąca banalnymi frazesami, nudna baba, słowem, którą Marylka poskramia jak może, ale najtrudniej wytresować gęś, tak podobno mówią zoologo-

wie i właściciele cyrków. Osioł i muł mają być podatniejsi do tresury.

Jej mąż uważa za stosowne także mnie hołdy składać, czyni to dość demonstracyjnie, bo to teraz modny sport w okolicy kochać się we mnie. Żona jego udaje zazdrosną, ale nią nie jest. Najpierw nie jest dlatego, że jako puste pudło żadnego szczerego dźwięku wydaćby nie mogła, potem dlatego, że nadto dobrze wie o niewinności uczuć, jakie pan jej a mąż dla mnie żywi, nie żywi albowiem żadnych zgoła, lubi tylko dwie rzeczy na świecie: jeść i grać w winta.

Nie jest to posunięte aż do namiętności, bo i do tego stopnia nie jest zdolny posunąć przywar swoich. Przy stole był moim sąsiadem. Mogłam podziwiać dzielność, z jaką manewrował szczękami.

Rozumie się, że mnie natura nie obrała z daru, wszystkim kobietom udzielonego. Umiem doskonale widzieć nie patrząc, to też by nie tamować ruchów pana Miecińskiego, spoglądałam to w stronę Julki, to maleńkiej Jani, ale go studyowałam z pod oka i dobrze zrobiłam, bo po pewnym czasie byłam zdumiona, oburzona, olśniona!

Takie wrażenia coś warte na tym zblazowanym świecie i to zimą w dodatku. Mówię zimą, bo oprócz „Gwiazdki,“ zima ma dar wystudzania we mnie tej nikczemnej resztki pojęć,

idei i uczuć, jakie tam tleją jeszcze w mózgu, w duszy i sercu.

Ale nie o mnie mowa, tylko o panu Miecińskim. Prestidigitator! ni mniej, ani więcej. Ależ je! Dziewięć było potraw, a jakże! Tradycyjna liczba nieparzysta. Całe dziewięć! Co prawda, to na myśl o owych dziewięciu półmiskach wnoszonych uroczyście po kolei, w duchu truchlałam, szczególniej wiedząc, kto będzie moim sąsiadem, i dlatego uprosiłam Marylkę, by z drugiej strony Julkę posadziła. To moja faworytka, to śliczne długorzęse, wązkookie stworzenie. Nigdy nam tematu do rozmowy nie brakuje, tylko, że to jeszcze śmieszka wielka, śmiechu na wodzy utrzymać nie może. tryska on z cudnego źródła młodości, jak najcudniejsza kaskada.

I ja się tak kiedyś śmiać umiałam... Julka dowodzi, że i teraz potrafię, no, tak na pozór, ale to echo tylko. Źródło tak dawno zmącone, potem wyschło do szczętu.

Ale nie o to chodzi. Otóż zupa migdałowa i zupa rybna proponowane były do wyboru zgromadzonemu towarzystwu.

Gdy służący stanął przy moim sąsiedzie:

— Jaśnie pan migdałową czy rybną?

Zadumał się chwilę ten mądry człowiek, z rozwagą przystępujący do rzeczy.

— Migdałową—odparł – i zwracając się do mnie dodał: trzeba tradycye szanować, chociaż

—chwila pauzy—osobiście, jeżeli chodzi o moje zdanie, stanowczo rybną wolę.

I oczami pytał mnie o radę.

Najpoważniejszą, uroczystą także minę przybierając odparłam.

— Między uszanowaniem tradycyi, a upodobaniem osobistem nie wiem, co radzić.

— Daj migdałową.

Stary Jan postawił talerz.

Pan Mieciński głową pokiwał.

— Hm—mruknął raz—hm... hm—raz drugi—słuchaj przyjacielu, zabierz midałową, zjem rybną.

Zjadł rybną, tłumacząc się przede mną, że właściwie mówiąc, przy stole osobiste gusta powinny być na pierwszym planie.

— Zresztą migdały, to poezya — mówił — a ryba treść. Migdały lubię, szafirowe w oczach — dodał znacząco patrząc na mnie i obcierając wąsy i brodę po zupie.

Ach! gdyby panowie wiedzieli, jak wyglądają wąsy i broda po zupie! nigdy nie powinno się w chwili takiej rzucać na nie przelotnego nawet spojrzenia; to szczyt niedyskrecyi, i — śmierć miłości. Brrr...

— Migdały? — zapytałam niewinnie. — Ja wolę karpie.

— I ja wolę karpie od migdałów, stanowczo zgadzamy się z sobą.

— Ale pan mówił o oczach — otóż wolę karpie oczy.

— Karpie oczy? jakież to są karpie oczy?

Wtedy to moja mała sąsiadka wybuchła głośnym śmiechem; bo karpie oczy cechują najgłupszy gatunek ludzi, a niestety mój sąsiad był takiemi właśnie od przyrody obdarzony. Szczęściem wniesiono w tej samej chwili półmisek następny, więc wspaniałe karpie kąpały się w brunatnej sadzawce krajowego sosu. Skrzywił się mój sąsiad i szepnął mi na ucho.

— Herezya pani! herezya! karpie w szarym sosie! *Au bleu, au naturel*, tylko tak się podaje. To psucie ryby, szlachetnej ryby.

Był widocznie zmartwiony. Choć olbrzymia część karpia spoczęła na jego talerzu, zjadł z pewnym rodzajem melancholii. Na razie zupełnie mu to humor odjęło.

Julka, która rozmowy naszej ciekawie słuchała, ukryła całą twarzyczkę w serwecie, wybuchając ciągle śmiechem, co zwróciło uwagę pani Wacławy, żony mego sąsiada, a ciotki Julkowej.

— *Ma chère petite!* Nie śmiej się przy rybach, ości rzecz niebezpieczna. Wogóle dziecko drogie, w tak uroczystej chwili, jak spożywanie tej wzniosłej uczty, stosowniejsze jest pewne skupienie ducha, powaga pewna. To jest rodzaj dawnych chrześcijańskich „agapów.“

A że jej się wyraz spodobał, bo erudycyą trącił, więc powtórzyła:

— Przecież wy dzieci wiecie, co to chrześcijańskie „agapy.“

— Ja wiem, ciociu! — zawołał z wielkiem ożywieniem Karolek—to, to, to takie nierozgarnięte ludzie, takie, no, gapy, bo na takich mówią „gapy.“

Tedy już, mimo powagi, którą nam ciocia Winia przy agapach nakazywała, wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, ale pani Wacława widocznie nie była z tego zadowolona, bo przecięło to nić jej wymowy, a właśnie zabierała się do „*speechu.*“ Materyał był bogaty. Wszystkich nas pouczyć chciała.

— Takie agapy to dobra rzecz — zakonkludował mąż tej pani, zabierając się do duszonych karasi.

Od tej chwili tak utonął w swej misyi poważnej, że zapomniał, iż się we mnie kocha. Karasi dobrał po raz wtóry, monologując:

— Karasie udane, brawo, tęgi kucharz, już to Marylka hm... Marylka —ona tego... ona do wszystkiego.

A potem kolosalny szczupak, a potem i mak z łamańcami i owoce suszone, i przystawki różne. Pan Mieciński pomrukiwał „hm... hm“... ku mnie się zwracał, jak gdyby chciał coś interesującego powiedzieć, ale na „hm“... poprzestawał, bo „ryby jeść rzecz poważna,“ ości nie-

bezpieczeństwo życia, a zresztą „agapy" skupienia ducha wymagają.

Ale on jeden tylko, jako przykładny małżonek, zastosował się do rady swej dozgonnej towarzyszki. Dzieci takie były zelektryzowane tem, co ma nastąpić po agapach, że gdyby i sto par oczu krytykujących, jak sto armat, w nie wymierzono, to przecież nikt nie byłby powstrzymał wybuchów wesołości.

Pan Janusz tu i owdzie słówkiem jednem trójkę miłą drażnił.

— Spotkałem gwiazdkę po drodze—rzekł patrząc na małą Janię.

— Jak wyglądała? Gdzie szła? dokąd? gdzie była?—posypały się pytania z ust dwojga młodszych, a oczy ich iskry sypały.

— Siedziała pod świerkiem na śniegu.

— W ogrodzie?

— W ogrodzie.

— To szła do nas?

— Do was.

— Co niosła? jak wyglądała?

— Gwiazdę miała nad czołem, suknię z łabędziego puchu i oczy takie — o! takie jak waszej cioci.

— Cioci Waci?—pytały na minorową nutę nastrojonym głosem, nieufnie w stronę „poważnej cioci" spoglądając.

— Nie, cioci Ninetki.

— Ach! cioci Ninetki—zawołały chórem na mnie zwróciwszy bystre, wesołe spojrzenia, co naturalnie mocno zmieszało starszyznę, mnie przedewszystkiem. Wiedziałam, że Janusz jako mistyfikator umyślnie w kłopot chciał wszystkich wprowadzić. Ten koncept nie udał mu się, byłam zła, ale to tak, że chętnie byłabym na razie wymyśliła specyalne dla niego tortury; czułam, że pani Wacława była do żywego dotknięta.

Dzieci już uspokojone pytały:

— I co? I co niosła?

— Dla Jani katarynkę.

— Katarynkę! — i dziewczątko w rączki klaskać zaczęło, bo to jej marzenie miało się spełnić.

— A dla mnie?

— Dla Karolka łyżwy.

— Hurra!

— Nie krzycz, chłopcze, bo nic nie powiem. Dla Julki lalkę.

Julka z wyrzutem spojrzała na niego. Jest on pierwszym bohaterem jej snów młodziutkich, podziwia go, nie kocha jeszcze, bo Marylka umie dziwnym sposobem mieć wpływ na nią. I pod tym względem jest fenomenem, tak mało matek ma wpływ na córki swoje! Jedna na tysiąc. Gdyby Marylka nie wzbudziła w córce nieograniczonego zaufania, jużby się dziś Julka

w wujaszku swoim kochała, ale, że głośno myśli w matki obecności, więc delikatnie, jak złotą nitką powoduje matka myślami córki i kieruje niemi, jak chce.

Julka dojrzała jest bardzo i ambitna, ambicyą lat 14-tu. Janusz przyglądał jej się uważnie, pragnąc ją poirytować.

— Dużą, ogromną lalkę dla Julki — powtórzył.

Namyślała się Julka, co odpowiedzieć, w końcu wyrzekła:

— Jeżeli podobna do cioci Ninetki, to przyjmę.

— A ciocia, ciocia Ninka, co dostanie? — pytał ciekawy Karolek.

— Córeczkę, pewnie córeczkę — zawołała z entuzyazmem Jania, słyszałam, jak mamusia mówiła do cioci, że jej potrzeba córeczki i wiem, że ciocia chce mieć córeczkę.

Wybuch śmiechu przyjął to zapewnienie. Wszyscy na mnie oczy skierowali, a ja poczerwieniałam, jak pensyonarka, na gorącym uczynku czegoś zakazanego złapana. Tym razem Janusz ulitował się nade mną i zręcznie wybawił mnie z kłopotu, zwracając rozmowę na inny przedmiot.

I siano rozrzucone było pod obrusem, i wyciągaliśmy po słomce, długie życie z długiego źdźbła wróżąc. A w narożnikach sali duże snopy słomy, a na dużym starym kominie duży

ogień oświecał po rembrandtowsku część towarzystwa. Ach, i to dzielenie się opłatkiem, chlebem miłości, i te wszystkie stare, stare zwyczaje! Sto lat temu i dwieście i trzysta, te same były wróżby z źdźbła siana, te same snopy w narożnikach odwiecznych komnat, to samo łamanie opłatka. Może i dlatego, że taką dawną, zamierzchłą przeszłość przypominają te wszystkie symboliczne ceremonie, może dlatego taki w nich urok.

Ale to niemodne. Wszyscy ludzie postępowi drwią z tego, jako z nudnych, śmiesznych zaściankowych ceremonii. Zresztą to rzecz osobistych zapatrywań, bo dla mnie jest w tem coś poetycznego, wzniosłego i jedynego w swoim rodzaju, bo to jedyna chwila, gdzie i w pałacach i w małych dworkach i w chatach wiejskich ten sam ceremoniał się odbywa, jedyna chwila, w której serca łączą się jakąś wspólną myślą, dobrą myślą, serdeczną i życzliwszą dla świata całego.

I jedne, a te same pieśni brzmią wtedy od wschodniego do zachodniego krańca naszej ziemi, i od północy do południa, i w pałacu i w chacie.

Hej Kolenda, Kolenda!
W żłobie leży, któż pobieży?

Czyż to nie cudne pieśni i nie cudne stare zwyczaje? Jaki też głupi, i oschły, i bez-

barwny umysł musi być tego, kto nic wtedy nie odczuwa i nic pięknego w tem nie widzi?

Ja widzę. I tak jakoś łzy mi się w oczach zakręcą, że przemocą muszę je na wodzy trzymać. Ale ja teraz tak często płaczę.

Potem taka nieopisana, gwałtowna radość przy drzewku i wszystkie twarze, nietylko dziecinne promienieją, i wszystkie są ładniejsze, nawet pani Wacławy. A potem hurmem cała setka drobiazgu wiejskiego się wysypuje. Wrzawa, zgiełk, jak na jarmarku! Dzieci Marylki rozdają pierniki, jabłka, orzechy, sukienki, różne różności, a setka par oczu świecących biega ciekawie od iskrzącego się drzewka do zabawek, od naszej twarzy i strojów do młodej trójki, która ich obsypuje darami.

Ot, pewnie w takich chwilach jedyne szczęście na ziemi! Czy jest inne? czy jest lepsze? czy jest czystsze?

I tak się cieszyłam ze stoczka kolosalnego, który od Karolka dostałam i z robótek dziewczynek, jak dawniej cieszyłam się z naszyjnika z turkusów. Mój Boże! te turkusy! Jakie to dawne, dawne dzieje! Jak ja się zmieniłam. Jaka stara jestem!

Nazajutrz pojechałam do kościoła znowu do Sokolnik, tam już dzień cały spędziłam. Na noc mnie zatrzymano.

Ku naszemu zdziwieniu, wbrew oczekiwaniom, bo przy pierwszem święcie, nie spodzie-

waliśmy się wizyt, zjawił się hrabia Solecki, mój konkurent także. Pewny siebie, zawsze z siebie zadowolony, trochę arogant, mający się za mędrszego od wszystkich mędrców, a raczej mający wszystkich mędrców za dość ograniczonych i naiwnych ludzi, kocha się przedewszystkiem w bogactwach.

Imponować chce i umie, ale dla sprawiedliwości dodaję, że podziwiać w nim trzeba energię i zabiegliwość. Do jakichże on interesów nie należy? Wspólnik, prezes, dyrektor, członek, zakłada, wznosi, projektuje, komenderuje. Imponujący, słowem. No, ten, zdaje się, musi się znać na serwitutach, hipotekach, parcelacyach, komplikacyach. Pływa w tem, jak ryba w wodzie. To też gdy o tem rozprawia, hypnotyzuje mnie zupełnie. Nietylko uszami, ale i szeroko otwartemi oczami go słucham w nadziei, że przecież rozjaśni mi te różne rebusy i że ostatecznie się w tem połapię. Ale zanim jasno zarysuje się w tępym umyśle moim, nić przewodnia tego galimatiasu, już mnie senność ogarnia. Dziwna i smutna rzecz, jak u mnie rzeczy takie na sen działają.

Właściwie mówiąc, pan Tadeusz przydałby się w życiu mojem. Jużbym nie potrzebowała myśleć o ratach, dywidendach, tralesach, osuszkach i t. p. wstrętnych rzeczach, sprawiających najgorszą osuszkę w mojej głowie. Prawda, że i bez tego mogłabym usunąć się od tych spraw

i nic o nich nie wiedzieć, ale Marylka zmusza mnie do tego, dowodzi, że to mój obowiązek, że wstyd dla kobiety, aby umysłem nie starała się sprostać mężczyźnie i aby zawsze żyła w zależności od niego. Prawda, że wstyd. A ja ambitna jestem.. To też mój stary składa mi raporta o wszystkiem. Wiem kiedy wychodzą transporty z okowitą i wiele fornalek, i o rewizorach i o tem nastawianiu zegara etc. etc., ale choć udaję, że się znam na tem wszystkiem, to przecież do dziś dnia nie doszłam jeszcze co to jest ten trales; dawniej myślałam, że jakiś rewizor tak się nazywa, ale to coś innego, liczba czy miara, czy kubeł, czy wiadro, bo w tej gorzelni raz mówią „tyle wiader,“ potem znowu „tyle tralesów.“ I wiadra wielką w okowicie grają rolę, i zaciery, i deklaracye. Wiem tylko, że się sama na deklaracyach podpisuję i, że mnie to nudzi. „Przyszło do deklaracyi,“ „zdeklarował się“ etc. Ale to ma inne znaczenie, dużo więcej interesujące. Dziś znowu pytałam Marylkę o wyjaśnienie tych wszystkich tajemnic. Nie mogę powiedzieć, że mi ich nie wyjaśniła, przeciwnie, długo mi to kładła w głowę, już mi się zdawało, że rozumiem, ale pod koniec gorszy się z tego zrobił chaos, i już mi wstyd było pytać.

Otóż Tadeusz jedyny do takich rzeczy. Ale ja się go boję. Nieraz bierze mnie na egzamin, co się u mnie w gospodarstwie dzieje. Wtedy

sprytnie wykręcam na konie, konie to moja specyalność, znam się na tem, więc dotychczas nie skompromitowałam się jeszcze.

Naturalnie pierwszym staraniem Tadeusza jest zgnębić rywala; rywal to Janusz, ale i Janusz cięty. Najczęściej w takich maleńkich zapasach, lilipucich zapasach, Janusz górą.

Mój Boże! jak też to na świecie wszystko zmalało teraz i spowszedniało także. Dawniej tacy dwaj rycerze byliby sobie rzucili rękawicę, nie taką miękką, skórzaną, furmańską, ale taką jak na gobelinach i starych sztychach, dziwną i groźną, a potem byliby się potykali konno w zbroicach, w przyłbicach. A teraz co? Całą bronią, zbroją, zręcznością i siłą — język tylko.

Marny świat!

Tadeusz przydałby się do moich interesów, wszystko załatwiłby za mnie. Janusz, hm... gdyby dzieci do mnie i do Janusza były podobne, byłyby po prostu urocze, bo Janusz ma dużo uroku, kobiecy wdzięk prawie. A córeczka dajmy na to, córka podobna do Tadeusza? Rysy grube i pewna wrodzona szorstkość, mimo powierzchownej ogłady. To niebezpieczne.

Zresztą, jaka ja niedorzeczna jestem! kto mnie zapewni, że miałabym dzieci? Ale marzyć o tem wolno. Czytałam niedawno „*Contes drôlatiques*" Balzac'a. Bajeczny humor i dowcip, choć straszliwie *shocking*, sama się nieraz wstydziłam. Jedno tylko opowiadanie cudne w swej

prostocie, a historycznie prawdziwe, zaczyna się od słów: „Najpiękniejsze dzieło ludzkie, to nie poemat, nie płótno malowane, nie muzyka, nie pałace, nie statuy, choćby najlepiej rzeźbione, nie okręty różnych form i pomysłów, ale dzieci.“ W głowę mi zajechało to zdanie. Podobno mieć dzieci to rzecz najtrywialniejsza i najpospolitsza. Któż niema dzieci? Najswobodniej, najłatwiej, przychodzą one przekupkom ryb i jarzyn, żonom kominiarzów, a w niższych sferach rodzą się, jak grzyby po deszczu.

Tak, to prawda. Ale z drugiej strony, gdy niema woli Bożej, to i królowa, choćby oddała królestwo swoje, nie potrafi tego dokazać. Nikt mi tego nie wyperswaduje, to trudno! czuję w sobie powołanie. Gdyby nie to powołanie, dawno byłabym zakonnicą. Dla zbawienia duszy byłoby to dużo pożądańsze, ale cóż! kiedy różowy dziobek przeszkadzał by mi do rozmyślań, a pokusa i w nocy i we dnie chodziłaby za mną.

Sobota.

Na Nowy rok wszyscy do mnie do Krusznicy byli proszeni. I ja razem z nimi z Sokolnik dążyłam, gdzie byłam na mszy. Castrelce poleciłam wszystko na nasze przyjęcie przygotować. Trzeba przecież korzystać z cudnej san-

ny, jedynej rzeczy, jaką zima nagrodzić nam może udręczenia przeróżne.

Tadeusz, który jako sąsiad pod pozorem mszy, także się znalazł w Sokolnikach, zaprosił nas do swoich sanek, a i Janusz siadł z nami. dzieci z nauczycielką w drugich sankach dążyły za nami. Słońce świeciło takim blaskiem, że trudno było oczy otworzyć, a miriady drobnych brylancików migotały na pokładzie z śnieżnego puchu, łamiąc się w mikroskopijne światełka wszystkich kolorów, jakie na niebie i ziemi istnieją. Oddałam się urokowi tego porywającego ruchu. Pędziliśmy, jak śród błyskawicy w tej olśniewającej światłości, bijącej z góry i z dołu. Prąd powietrza oddech hamował. Zapomocą autosuggestyi starałam się strącić poczucie rzeczywistości i bujać w kraju fantazyi.

Fantazyę tę psuł mi mur dwojga pleców, które ciemno się odcinały przede mną w ogólnej światłości. Więc wyobraźnią nadrabiając wmówiłam w siebie, że ta szeroka, ciemna plama tuż przed memi oczyma to nie Tadeusz i Janusz, ale zapora do szczęścia, do wolności. Zamieniłam tych panów w alegoryę, a wszystko zresztą w świat eteryczny, gdzie się stopą ziemi nie dotyka, gdzie się godzinami czasu nie liczy, gdzie przestrzeń niezmierzona, świetlista, w której dusza obrana już z ciała buja swobodnie, sama w światło zmieniona, przejrzysta

i taka lekka, lekka, że sama siebie nie czuje, ale wciela się w ogólną przejrzystość i blaski.

Milczeliśmy przez czas długi; Marylka z pewnością, choć może na inny sposób, oceniała urok chwili i tonęła w zachwycie dla dzieł Bożych. Janusz duszą artysty odczuwał niezawodnie skończoną piękność prześwietnego tła, na którem sanki nasze sunęły pośpiesznie. Tadeusz zaś, nie wiem, czy jako dalszy ciąg swych dumań, czy też niespodzianie, odezwał się do mnie, głowę zwracając.

— Mam reproduktora tej samej rasy; jeżeli hrabina zechce, to służę, to jest za tanie pieniądze sprzedam—dodał po chwili.

— Ja zechcę—odparł flegmatycznie Janusz —za tanie pieniądze kupię chętnie, tylko muszę wiedzieć, co pan nazywasz tanim pieniądzem?

— Dla pana 2,000 rubli.

— Hm... a dla hrabiny?

— To zależy. Czy pan występuje jako jej pełnomocnik?

— Nie, tylko prosta ludzka ciekawość. Chcę wiedzieć, jak się ceni różnicę między zwykłą znajomością, a innemi uczuciami.

— *Attrape!* — pomyślałem — a Marylka uśmiechnęła się trochę złośliwie, ale tego ci panowie widzieć nie mogli. Ona dyplomacyjnie nadała żartobliwy ton niebezpiecznej rozmowie.

— Bierz przykład z hrabiego, Januszu, ty dla mnie żadnych ustępstw nie robisz. Ostatnia partya krów, którą od ciebie kupiłam, jest śmiesznie droga, wyzyskałeś słabą niewiastę.

Janusz się roześmiał, wołając:

— Ty słabą niewiastą! bogowie!

Marylka udawała obrażoną, Tadeusz zaś zwracając się do niej dodał:

— Pozwól pani hołd sobie złożyć. Energia pani i jej dar do interesów, po prostu głośnemi się stają.

— Czy to zasługuje na hołdy?—pytała Marylka — ja myślałam, że to wada wielka, brak kobiecości.

— Brak kobiecości w kobiecie? naturalnie, że jest wadą i to kapitalną, tak, jak brak męskości w mężczyźnie, ale zaradność i energia, wogóle intelligencya, żadnej ujmy kobiecości nie przynoszą.

— Powiedz pan — odparł Janusz, lubiący polemikę z Tadeuszem—zazdrość i energia, ale nie dodawaj intelligencya, bo intelligencya wytwarza się z esencyi całkiem innej.

— Co ty wiesz o esencyach innych, jak z bzu białego, z kwiecia jabłoni i t. p.—pytała Marylka.

— O te esencye właśnie chodzi mi w tej chwili, gdy mówimy o intelligencyi kobiecej. Intelligencya kobieca ma tyle wspólnego z kwiatami, powinna mieć przynajmniej. Gdy pan Ta-

deusz zmieszał pojęcie energii i zazdrości z pojęciem intelligencyi niewieściej zaprotestowałem i protestuję.

— Na jakiej zasadzie? proszę mi dowieść, bo ostatecznie pana protest choćby bardzo energiczny nikogo nie przekona.

— Panie już wiedzą, a o to tylko chodzi— odparł niedbale Janusz.

— Nie, nie wiemy, pojęcia nie mamy, dalej Januszu! nie leń się, zabrnąłeś w dysputę to się jaśniej wytłumacz — napominała go Marylka.

— *Chacun son gout*. Ja wolę słuchać, niż mówić, szczególniej kobiet o kwiatowej intelligencyi.

— *Voyons*...

— Boże mój! przecież to jasne. Energia i zapobiegliwość, są to rzeczy świetne w rezultatach, ale te się wytwarzają z innego materyału, niż intelligencya, tak jak okowita wytwarza się z kartofli.

— Aha! i na panu gorzelnie się odbijają w tej okolicy?

— Naturalnie, że w tej okolicy ludzie nawet w gorączce majaczą o gorzelniach. Co ja temu winienem? Otóż, są rzeczy wytłaczające się z kartofli, inne z buraków, inne z rzepaku, korzystne, dające się spieniężyć, materyalnie praktyczne; są inne, jak szampan z winogron, jak perfumy z kwiatów, służące tylko do nada-

nia uroku życiu, otóż te pierwsze grubsze, ale i donioślejsze wyroby, to owa energia i zapobiegliwość, a te drugie to intelligencya prawdziwie kobieca. Przyznajcie panie, że jedno z drugiem niema nic wspólnego.

— Jestem pobity — odparł sarkastycznie Tadeusz—na takim elastycznym gruncie można wszystkiego dowieść.

— A ja jestem zgnębiona — odezwała się Marylka—bo skoro wszyscy mają mnie za istotę praktyczną i energiczną, to znaczy, że trzymając się porównań, jestem wytworem z kartofli, lub buraków.

— Nie ja powiedziałem, że jesteś energiczną, nigdy nie byłbym się ośmielił, nienawidzę tej cnoty w kobiecie. Brrr...

— To już klęska prawdziwa, bo jestem energiczną, to trudno, sama temu zaprzeczyć nie mogę. Sąd twój jest na mnie wyrokiem.

— Jeżeli jesteś, to wyglądasz, jak gdybyś nią nie była, nigdy cię energiczną nie widziałem, ani słyszałem, przeciwnie, masz wdzięk kobiecości w sobie.

— Więc ekstrakt z lilii japońskich?

— Nie, i to nie! Muszę być szczerym. Jesteś kobietą przemiłą i idealnie dobrą, ale nie jesteś typem kobiecości.

— Dobrze, już, dobrze. Nie potrzebujesz kłaść kropek nad i, esencya intelligencyi niewieściej typowa, kwiatowa... to...

— To pani Ninetka. Tak, to typ rodu szampańsko-motylo-kwiatowego.

Smutno mi się zrobiło, gdy Janusz myślał, że mi pochlebi.

Więc zawsze jeszcze, wiecznie to samo? Takie dawne echa obudził zwrot ten w mojej głowie! Szampan, motyle, kwiaty! Wtedy mimo tła śnieżnego, mimo białych ram, w które byliśmy ujęci, blask wschodu zamajaczył w mych oczach. Śnieg znikł, palmy i mury, w pnące kwiaty spowite, i zapach polnych narcyzów i mandarynek — to wszystko zamigotało w mej wyobraźni. W takich chwilach coś dziwnego mi się robi. Jedno mgnienie oka, a taka zmiana dekoracyi i wrażeń. Świat inny.

— Czemu on to powiedział? Czy ja doprawdy zawsze tylko motyle i kwiaty przypominać będę? To przecież upokarzające, w moim wieku i po moich przejściach.

Z tym zapachem i świetlistością wschodu, miesza się głos dzwonu pogrzebowego. Więc czemuż doznaję przytem jakiegoś rozmarzenia, czegoś, czego nie umiem nazwać. Czy można powiedzieć „bolesna rozkosz?“ Pewnie nie można, ale to nic nie szkodzi, bo to właśnie czuję. Na myśl o tym mirażu, pełnym zapachów i blasków, doznaję uczucia bolesnej rozkoszy.

I wyrzucam to sobie, bo przecież oprócz zgrozy i cierpienia, niczego innego odczuwać nie powinnam.

Upokarza mnie sąd Janusza. Mnie się zdawało, że już dojrzałam, że nikt przy mnie o żadnych eterach, ptakach, kwiatach nie myśli; przecież on powinien wiedzieć, że spoważniałam, że sama swemi interesami się zajmuję.

Przez sekundę tylko majaczył wschodni miraż w pamięci mojej. Taką potęgę ma wszystko, co się do owych chwil odnosi, wyraz jeden, a wszystko zmartwychpowstaje jakąś tajemniczą siłą wywoływania. Ale tego nikt po mnie nie odgadnie. Prawie bez wahania odparłam pozornie żartobliwym głosem.

— Proszę mnie nie obrażać, biorę to wprost za impertynencyę, te pana poetyczne porównania.

— Jakto? jeszcze pani niezadowolona? Przecież Heine, wielki poeta, wołał do pani swych marzeń: „Ty maju, ty raju, ty wiosno!“

— Bo ta pani była sobie młodą panienką, a ja...

— O! rajem, majem i wiosną można być nawet w pani podeszłym wieku.

— Pan wiecznie żartuje. Wogóle dziwne masz pan pojęcie o kobietach; ambicyi w nich nie przeczuwasz. Każda kobieta pragnie być braną na seryo.

— Tłumaczysz z francuskiego — poprawiła Marylka.

— A jak się mówi? zapytałam przestraszona, bo Marylka często mnie poprawia.

— Jak? Jak? Jak? Owe potrójne „jak“ trojga moich towarzyszy były odpowiedzią na moje pytania, które też innej odpowiedzi nie otrzymało, bo zanim mnie nauczyli, jak się mówi, ja kończyłam:

— Tak, i ja mam ambicyę dojrzałości umysłowej, i ja do poważnych kobiet pragnę raz nareszcie być policzoną.

— Ależ naturalnie. Któż by ośmielił się nie zaliczać pani do istot poważnych? A przecież w piękności też jest powaga, powaga harmonii czegoś doskonałego. Raj, maj i wiosna też mają swoją powagę. Stara, brzydka i energiczna kobieta, bardzo radaby usłyszeć porównanie takie, o które motyle i kwiaty się obrażają.

— Pan jest uparty; proszę pana dowieść mi, że motyle i kwiaty zajmują się ważnemi sprawami, że kierują interesami, opartemi na kartoflach, opasach, etc.

— Nie, tego nie dowiodę.

— A jednak, ja niemi kieruję.

— Hm... hm...

Usłyszałam złośliwe mruknięcie i głośny śmiech reszty towarzystwa. Zirytowało mnie to do reszty. Niestety, bo to spowodowało, że się nędznie skompromitowałam i w chwilowem rozdrażnieniu nieopatrznie sama pod sobą dołek wykopałam, wołając.

— Jakto? czego się śmiejecie? Przecież tak się zajmuję, że już zidyociałam od tralesów, hypotek, tantiem, dywidend i t. p. okropności, które mnie śmiertelnie nudzą; tak, z tem się nie taję. Ale tem większa zasługa, skoro się tem zajmuję.

— Oni się śmiali z mego niedowiarstwa—tłumaczył Janusz—nie z pani, broń Boże! Ale, że ja jestem nieuk wielki, do niczego, ekstrakt niedołęstwa, więc niech mnie pani oświeci, co to jest hypoteka?

— Hypoteka? Popatrzałam na niego badawczo, jestem pewna, że wiedział, tylko mnie chciał „wpakować.“ Nie rozumiem, skąd pan przychodzisz do tego, by mnie egzaminować, boć pan wiesz doskonale, co to znaczy?

— No tak, przyznać muszę, że wiem, co jest hypoteka. Ale tego nie wiem, czy na Kru-sznicy są hypoteki na serwitutach, czy serwituty na hypotekach, i to właśnie chciałbym wiedzieć, jeżeli pytanie to nie jest niedyskretne.

Zdawało mi się, że serwituty z hypotekami nie mają nic wspólnego, ale nie byłam pewna, a skoro mnie pytał, to widocznie myliłam się, szczególniej, że hypoteka to dla mnie mityczne pojęcie. Wiem tylko, że się pożycza na hypotekę. Wyraz ten przypomina mi tylko hipopotama i nudzi mnie straszliwie. Okazało się że ten nikczemny Janusz łapkę na mnie chy-

trze zastawił, bo gdy odpowiedziałam wprost na jego pytanie, tak, aby nie okazać wahania i niepewności: „U mnie jest hypoteka na serwitutach,“ taki wybuch śmiechu nastąpił, że o mało konie nas nie poniosły. Nawet poważny Tadeusz śmiał się szalenie. Janusz wykręcił się, jak na sprężynie frontem w naszą stronę i znalazł się naprzeciw mnie, a pochwyciwszy obie ręce moje tak, że mufka niespodzianie na śnieg się stoczyła, pocałował mnie w jedną i drugą z taką werwą, w jakiej go jeszcze nie widziałam.

Dobrze, niech i tak będzie. Na takie liche, nędzne pułapki, mędrsze myszy się brały ode mnie, ale Janusz wpadł sam w najgorszą, przez swój własny dowcip sobie samemu zastawioną. Stanowczo wykreśliłam go z pomiędzy moich pretendentów. Nie, za niego nie pójdę. Nie i nie! Lekceważyłby mnie, drwiłby, nie miałabym u niego głosu, ani wpływu. To lekki człowiek.

Lekkomyślny i koniec...

Marylka starała się potem ratować mnie poczciwie, łając Janusza, który tak pogmatwał rzeczy z natury swej już zagmatwane, że łatwo się było pomylić, ale niemniej „wpadłam“ co się nazywa, a najgorsza, że nie wiem, na czem to „wpadnięcie“ polega. Po prostu rozpacz mnie ogarnia nad sobą samą. Stanowczo kompromituję ród niewieści... *Oh! là là...*

Mój Boże! Baronek mi się przypomniał;

to on zawsze wołał *„Oh! là là!“*, gdy był czem zmartwiony.

— Moja mufka! stój pan! moja mufka! — wołałam rada, że się rozmowa na inny przedmiot skieruje. Janusz wyskoczył, przyniósł mi ją w susach i lansadach, na które irocznie zwróciłam uwagę:

— Pan też pewnie więcej gimnastykę studyował, niż gospodarstwo.

— Pochlebia mi to. W wesołości niewinnej pierwszy raz w życiu podskoczyłem sobie i już genialne okazuję zdolności.

— Panu wszystko pochlebia — odparłam złośliwie.

— Taką mam poczciwą naturę. Tylko fantastyczny ekstrakt kobiecości potrafi wszystko brać za złe, gdy nań zła chwila przyjdzie.

Ale nie miałam czasu odrzucić tego pocisku, bo konie, gwałtownie w ruch puszczone, skręciły raptem w bok nastraszone stadem wron, zrywającem się wrzaskliwie nieopodal, i, nagle, o zgrozo! wszyscy leżemy na śniegu!...

Było to małe urozmaicenie jazdy, więc też oprócz śmiechu nie miałoby innych następstw, gdyby nie to, że Tadeusz nie chciał lejców z rąk wypuścić, konie wylęknione rwały naprzód bez opamiętania, i wlokły go po śniegu, co z daleka wyglądało i strasznie i śmiesznie zarazem. Strasznie o tyle, że ta ciemna masa wlokącego się po śniegu ciała, mogła natrafić na kamień lub

drzewo i roztrzaskać głowę, śmiesznie, bo i cóż to za komiczna ambicya, jednemu słabemu człowiekowi mierzyć się z siłą już rozkiełznanych dwóch rosłych koni?

Janusz wołał z daleka.

— Puszczaj pan, nie utrzymasz, to trudno.

Ale Tadeusz upierał się jeszcze; pewnie go wcale głos Janusza nie doleciał, Janusz zaś przez zaciśnięte zęby wycedził:

— Ten i w chwili śmierci rachować będzie. Woli siebie zabić, niż stracić na koniach.

Jakie były zachcianki Tadeusza, nie wiem, ale mu się nie udały. Ostatecznie musiał jednak dojść do przekonania, że nic mu po koniach, gdy sam się roztrzaska i puścił cugle z rąk, a sam zdala od nas, na skraju horyzontu, jak punkcik czerniejący na śniegu, a jednak widny na tej bezbrzeżnej płaszczyźnie, począł się z białego puchu otrząsać, otrzepywać, powoli ku nam się kierując. My zresztą posuwaliśmy się również naprzód, dopóki dzieci nie nadjechały swemi kucami, bo trudno było usiąść na drodze i czekać, a tylko kuce mogły nas chwilowo ratować.

Gdyśmy się zrównali z Tadeuszem, oczy jego formalne snopy groźnych światełek rzucały. Niemiłe miał spojrzenie, o, nie! Przyczajony zwierz dziki podobno siedzi na dnie duszy każdego mężczyzny. U jednych, tych wyższych, silniejszych wolą i charakterem, zwykłych pa-

nować nad sobą, zwierz ten tak bywa okiełznany, tak spętany wolą pana, że po trochu traci swą wrodzoną dzikość i z latami przeistacza się zupełnie; ale to u wyjątkowych tylko ludzi się dzieje. Znaczna większość, przy każdej sposobności pozwala odezwać się dzikiemu zwierzęciu, a wtedy — Boże mój! jak się też odmieni fizyognomia najprzyzwoitszego na pozór „gentlemana.“

Gotów rzucić się na kogoś, ktoby mu w drogę wszedł w chwili takiej. Ryś, żbik, pantera, ale nie człowiek — to pewna.

Tadeusz był wściekły; hamował się tylko. Drżałam, by Janusz nie zrobił jakiej uwagi niebezpiecznej w danej chwili, ale taka elektryczność ciążyła w powietrzu, że każde z nas obawiało się pioruna. Janusz z innej gliny ulepiony niż Tadeusz, a raczej nie z innej gliny, bo podobno glina dla wszystkich ta sama, ale inny w nim temperament. Nie naraził się niepotrzebnie. To płonna obawa.

W takich chwilach poznaje się ludzi. Tadeusz pasyonat, despota, tyran, pedant, wyrachowany, niebezpieczny. Gdy na niego popatrzyłam z boku, od niechcenia, tak, że o tem nie wiedział, to powiedziałam sobie: „I ten nie dla mnie. Nie, nie.“

Ja taki tchórz jestem. Bałabym się całe życie. Nie, o tem mowy być nie może.

I Janusz nie. Lekkomyślny, egoista, zaro-

zumiały. Dziś mówi do mnie za poufale, bo mu się zdaje, że ma wyjątkowe prawa w życiu, że na wszystko może sobie pozwolić. Otóż w imię tej pewności siebie dziś mówi do mnie: „Ty raju, ty maju, ty wiosno,“ a za kilka lat dałby mi do zrozumienia, że jestem jesienią, ale wiecznie niedojrzałą, bo to przecież da się łatwo na prozę zamienić, że intelligencya motylowa znaczy to samo co bezmyślność, co bezduszność. Tymczasem pan się myli! Ja wiem, ja czuję, że mam intelligencyę, tylko do rzeczy ścisłych nie mam upodobania i danych odpowiednich. Ale na to nie trzeba być jeszcze motylem Wielu mędrców i filozofów pewnie niedokładnie zrozumiało, co to hypoteka. On nie jest mędrszy ode mnie, choć to właśnie rozumie, nie Jestem pewna, że o wielu rzeczach ani pomyśli, które mnie do głowy przychodzą, a przecież dlatego nie wynoszę się i nie chcę mu imponować i lekceważącym tonem nazywać go: „Rajem, majem i wiosną.“

Tak, bardzo jestem rada, że już raz nareszcie wiem, czego chcę, t. j. wiem, czego nie chcę, bo czego chcę, tego jeszcze nie wiem. Nie chcę być żoną ani Tadeusza, ani Janusza. *Alea jacta est.* Kości rzucone, tak mówił Cezar przed przejściem przez Rubikon. Co prawda niebardzo pamiętam, czemu on to mówił, ale wiem, że mówił, bo mi się bardzo ten frazes łaciński podobał, jako uroczysty i płynny.

Notabene konie Tadeusza dopiero wtedy raczyły się zatrzymać, gdy ów „reproduktor“ mnie wspaniałomyślnie za nizką cenę ofiarowany, uderzył łbem o pal od niegdyś istniejącego w owem miejscu płota, i padł na przednie nogi tak gwałtownie, że już się podnieść nie mógł. Biedakowi skrócono cierpienie kulą z pistoletu.

To czarna strona całej tej przeprawy. Przyznaję, że pod tym względem żal mi Tadeusza, bo stracić takie piękne zwierzę, to doprawdy nad wyraz przykre. Humor mi to popsuło zupełnie. Nie mogłam jednak nie spostrzedz, że Tadeusz ma cierpki charakter. Ostatecznie mógł nie okazywać swej irytacyi tak wyraźnie, bo i cóż to pomogło? Tymczasem chodził jak struty i ciągle wracał do tego przedmiotu. Gdy Janusz i Marylka skręcali rozmowę na inny temat, on do siebie mruczał pod nosem: „A to bestye! a to bestye, zapamiętałe kanalie!“ co nie było miłą przygrywką do wlokącej się leniwie rozmowy.

— Trzeba było skorzystać z chwili, nie miał nosa—mówił do mnie Janusz, gdy Tadeusz wyszedł raz jeszcze odwiedzić pozostałego konia, i przekonać się, czy rzeczywiście nie był skaleczony. Nie miał nosa — chciałem z nim handel zrobić. Za tysiąc rubli byłbym ową „bestyę“ kupił od niego, a wtedy byłaby się już moja „bestya“ zabiła, a nie jego.

— Pleciesz Januszu, nie byłby się nigdy

zgodził na odebranie pieniędzy po tym wypadku —odparła Marylka.

— Byłby.

— Nie byłby.

— O co zakład?

— Przegrasz, a jak przegrasz, to pojedziesz za mnie w misyi do Pełczyna, obejrzeć i stargować trzy zarodowe barany, na czem ty się znasz, a ja się nie znam.

— Uff! ciężkie zadanie! Nie cierpię jeździć i targować, no, ale że wygram, więc zgoda; a gdy wygram, ty pojedziesz za mnie w misyi także.

— Dokąd?

— Do Krusznicy.

— Majaczysz! Przycież jesteśmy tutaj.

— Tak, ale od dziś za tydzień nie będziemy, więc przyjedziesz.

— Poco?

— W misyi do pani domu tego, aby ją o coś prosić, o coś zapytać, o co ja sam się boję.

— Czy także obejrzeć i stargować? — zapytałam trochę impertynencko.

— O! pani!—złośliwość? to takie do kwiatów niepodobne. Proszę, bardzo proszę nie psuć mi najmilszyć wrażeń, jakie w życiu odbieram.

Powiedział to poczciwie i szczerze. Zawstydziłam się, bo ostatecznie wiem, że jeżeli, on coś na kształt uczucia żywi dla mnie w sercu,

to nie pewinnam nazywać tego „targiem.“ Jest pogatszy ode mnie i mało rachuje. Nie zasłużył na moją odpowiedź, więc chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie, zaciekawiona także, bo mnie owo „za tydzień“ intrygowało, a jestem ciekawa z natury, zapytałam nieopatrznie ze zwykłem mojem niepoprawnem roztrzepaniem.

— Dlaczego za tydzień?

— Czy wolałabyś pani, aby dziś?

— O! nie! nie!—zawołałam uszy zatykając i uciekłam z salonu, bo doprawdy się zlękłam.

Łatwo sobie powiedzieć „Nie!“ ale komuś! Aj! żeby to można obejść się bez tej ostateczności. Szczególniej dla Janusza strasznie trudno będzie na owo „nie“ się zdobyć.

Słysząc Tadeusza powracającego i ja wróciłam śpiesznie, bałam się, aby do starcia z Januszem nie przyszło.

— Jakże się Kanclerz miewa?—pytała Marylka.

Zdrów, temu nic nie będzie. Ale to pech, co się zowie, bo Kanclerz niema połowy wartości Odyna.

— Szkoda, że mi go hrabia nie sprzedałeś o godzinę wcześniej, byłbym dał tysiąc rubli.

Tadeusz popatrzał uważnie na Janusza, poczerwieniał z lekka i znowu te same złe błyski w oczach jego zaświeciły.

— Szkoda — odparł — skoro pan żałujesz, tem większa szkoda. Takich oryginałów nie-

wielu, którzy żałują, że nie stracili tak sobie, na wiwat, tysiąca rubli.

— No, przecież myślę, że pan byłbyś podzielił stratę na nas dwóch — odparł na pozór dobrodusznie Janusz.

— O nie! — zawołał z ironią w głosie Tadeusz—pan tak szczerze żałujesz, żeś za mnie straty nie poniósł, że nie byłbym chciał pozbawiać go tej przyjemności.

— Wygrałem—mruknął Janusz, zwracając się do Marylki.

— O co chodzi?—zapytał Tadeusz, spoglądając złowrogo.

— Mówię, że wygrałem, mając węch i nie dobijając targu.

— O targu nie było mowy, bo nie było mowy o sprzedaży panu — dodał Tadeusz dobitnie.

Magnetyzowałam błagalnem spojrzeniem Janusza, gdy szczęśliwie dzieci wpadły i zażegnały burzę, wołając:

— Mamo, ciociu, z cudną szopką przyszl chłopcy ze wsi, czy możemy zobaczyć?

— Jeżeli wiecie, że cudna, toście już widzieli —odparła, Marylka przekomarzając się, by dzieci dłużej zatrzymać.

A ja myślałam sobie, tak bez osobistego zainteresowania, obojętnie, jak gdyby nie o mnie chodziło, jak bardzo dwóch mężczyzn, walczą-

cych o jedną kobietę, przypomina dwa dogi, gdy warczą i kły pokazują, o jedną kość walcząc.

Środa.

Przez cały wczorajszy wieczór siedziałam nad cennikami nasion W ten sposób czwarty rok już próbuję oszukać zimę. Wszystko pozamykane, cicho, ciepło, za cicho, ale nie za ciepło. Otwieram katologi i wypisuję nasiona bez liku, wszystkie możliwe odmiany gwoździków, lewkonii, maków i scabiozy, i bratków i chryzantemów, oprócz modnych georginii, których nie lubię, i pnące wyki i powoje, i pnące róże i mchowe. Używam, oj! używam pełnią rozbudzonej fantazyi, bo już to wszystko widzę kwitnące i pachnące i patrzę na cały łan gwoździków, żółte i nakrapiane, ogniste, jak gdyby małe stosy płomyczków i białe, eleganckie, wiotkie, delikatne, i campanule kołoszą się na bardzo wysokich łodygach i dzwonią w duże różnobarwne dzwonki. Pełne żardiniery samych campanuli „grandiflora," jak zaczarowane ogródki się wznoszą

A potem te łacińskie nazwy; mam pasyę do tego; chętnie uczyłabym się po łacinie, takie to wspaniałe. Dla nas „bławatek," a po łacinie „*centaurea cyanus*;" dla nas „Powój"—po łacinie

„ipomea grandiflora.“ Ten język ma w sobie coś imponującego; trudno pomyśleć, że dawniej w tym języku takie Castrelki do swoich kotów na codzień mówiły, zato łatwo zrozumieć, że, aby tak mówić, trzeba było w togę się drapować.

Więc to jedno z ulubionych moich zajęć, po łacinie uczyć się nazwy kwiatów różnych, a także używać bez opamiętania, wybierając, co tylko da się wybrać.

To też mój ogród roznosi latem zapach daleko dokoła, i nie pytam, czy moda na te lub owe kwiaty.

Nie stosuję się do rady Tadeusza, który dowodzi, że „szanujący się“ ogród powinien mieć tylko ogromne trawniki i drzewa, kwiatów jak najmniej gdzieś w kącie dla zapełnienia żardinier.

Mój ogród, to jedna „żardiniera“ pełna kwiatów; wszędzie są, gdzie tylko wcisnąć się dadzą.

Póty w katalogach wybieram, póki mi się w oczach nie zaćmi. Zmęczona, rzucam stosy cenników, ale co użyłam, to użyłam! kwiaty migotały mi w oczach we wszystkich barwach i odcieniach, i zimowy wieczór przeszedł, jak jedno kwieciste marzenie.

Wiem, że wkrótce po ukończeniu konferencyi z Sędzickim, stary chrząknie i odezwie

się najpierw trochę wahająco, potem coraz zapalczywiej:

— Bo proszę pani hrabiny, prawdziwy rozbój dzieje się na wiosnę. Ten ogrodnik niema opamiętania, sto fur nawozu tu pod inspekta, tam pod winogrona, tu pod warzywa, tam pod kwiaty, a na truskawki, a na szparagi, już i końca niema. I proszę pani hrabiny, samych nasion za 50 rubli.

— Mój Sędzio dobry, już się nie gniewaj, przecież tylko jednokonki zabiera, sto fur to znaczy pięćdziesiąt.

— Bodaj tak prawda była! Para nasza nie uciągnie tego, co ogrodniczki na jednego konia wpakują. Sami pchają, byle ograbić, a potem to koszt, taki niepotrzebny za przeproszeniem pani hrabiny, bo ani się tego nie zje, ani się to sprzeda, owoce to nie mówię, ale te kwiaty! Torf i drzewo, dawaj a dawaj, gorzelnię by opalił. Mnie się widzi, że pani hrabina powinna to skasować.

Oburzam się.

— Mój panie Sędzicki, to już chyba i mnie skasujesz razem z kwiatami. To moja jedyna pociecha.

Sędzicki nie cierpi, gdy go „panem" nazywam i umyka, czując, że na to jedno nie ma lekarstwa.

Środa.

Kilka tygodni minęło od świąt.

To karnawał. Życie po wielkich miastach wre i kipi. Echo do nas dochodzi. Dziwna rzecz, jak smutny, bezdźwięczny, martwy ma odgłos echo takie, gdy z salonów napełnionych światłem, muzyką i gwarem rozmowy, gdy z ulic ruchliwych, dzwoniących i szumiących odmętem fal ludzkości, gdy tak ze świata głośnego dochodzi na głuchą pustkę wiejskiej ciszy.

Bo też choćby najgłośniejsze były wybuchy oszołomienia ludzkiego, to zanim echo zgiełku do nas dopłynie, już i kona. Przez taką dal, przez takie ciche stepy śnieżyste przebić się musi, że już jakby zmęczone, jakby zniechęcone zimną, a smutną przestrzenią, odbija się o uszy nasze już szeptem tylko, a my w całun śniegu spowici, nie umiemy już odczuć tego wysiłku, tego naprężenia życiowego, w jaki wpada mieszkaniec miasta, jeden przez drugiego suggestyonowany i powtarzający uparcie:

— Karnawał! niech też raz w rok zapomnę o troskach, obawach, trwogach, zgryzotach; niech też, choć raz użyję!...

No, i oszałamia się, aby użyć...

A my na wsi, zdala od suggestyi, oszołomienia tego pojąć nie możemy, i wedle swej indywidualności zapatrujemy się na to.

Wczoraj kiedy nas kilka osób zebrało się w Sokolnikach u Marylki, każda inny wyrok na karnawał wydawała. Było to o tyle interesujące, że do naszego bardzo ograniczonego zwykłego kółka, przybył nowy żywioł, złożony aż z trzech osób: z Ksawerka, jego matki cioci Lorci, i niéładnej, ale o niebiańskich oczach i łagodnej twarzyczce siostry Ksawerka, Madzi Bielewskiej, Te panie wkrótce po osiedleniu się w Rudzience, były u mnie z Ksawerkiem i od razu do nich całem sercem przylgnęłam. Widujemy się często. Wczoraj były po raz pierwszy w Sokolnikach, poznały Marylkę u mnie i chciały ją odwiedzić jak najprędzej, bo pojutrze wielkie polowanie w Rudzience i wszyscy jesteśmy proszeni, t. j. wielu panów znanych i nieznanych, z pań zaś ja i Marylka, jako najbliższe sąsiadki.

Wogóle ożywił się trochę głuchy nasz kącik z przybyciem Bielewskich, ale tylko na tyle, że budzimy się z odrętwienia i ze zdziwieniem stwierdzamy, jak bardzo jesteśmy blizcy letargu zupełnego. Co prawda, to ja to głównie stwierdzam, bo Marylka taką ma werwę w sobie, że wcale nie chce przyznać, aby na wsi było głucho i pusto, Tadeusz zaś ciągle zajęty interesami, najczęściej w ruchu między Warszawą, Petersburgiem, Kijowem, a nawet Odessą, w egoistyczny sposób kamienuje tych, co się nudzą w jednostajności życia.

— Te karnawałowe szały—perorował Ta-

deusz—to zabytki barbarzyńskie. Kafrowie, hottentoci, etc. wyprawiają harce taneczne na różne pamiątki, a my, pseudocywilizowani, kompromitujemy się po prostu, naśladując dzikie plemiona.

— Przepraszam pana—przerwał Ksawery — ale mnie się zdaje, że my cywilizowani niczem nie jesteśmy wyżsi od tych, których dzikimi nazywamy. Najpierw dzicy otaczają się poezyą, czego o cywilizowanych powiedzieć nie można, potem ów wyraz „trywialny,“ tak dosadnie malujący ohydną prozę życia codziennego, nie da się zastosować do dzikich, tylko do cywilizowanych.

— O! teraz ja się z panem nie zgodzę! Co pan cierpisz do życia codziennego, co wogóle nazywasz życiem codziennem, że je prozą i to ohydną mianujesz? — zapytała trochę podrażniona Marylka.

— Tak, pani, dla mnie życie, to zwykłe, szare, monotonne, jednostajne, jest ohydne, jest prozą zabijającą, jest zmorą dławiącą i żywego człowieka zamieniającą w mumię.

Teraz chórem odezwały się protesty. Matka i siostra Ksawerka wołały zgorszone:

— O, Ksaniu!

Janusz pomrukiwał „ho-ho“ wąsa kręcąc, Tadeusz „Hola-hola!“ jak wtedy na swego ponoszącego „reproduktora.“ Marylka jednak w żart to chciała obrócić i odparła:

— Pan pewnie chcesz po prostu znęcać się nad biedną przedstawicielką prozy życia codziennego, jaką ja jestem, bo przecież na seryo nie wyglądam pewnie na kobietę dławioną przez zmorę, ani na mumię.

Że z Marylki zdrowie tryska, w bystrych oczach płomienie jaśnieją, a w pełnej, wzorowej figurce, kształtnej i wybujałej, siła się uwydatnia, więc wszyscy roześmiali się wesoło, gdy pytała oczyma zgromadzenie, czy jest do mumii podobna.

Ksawerek skłonił głowę w pokorze, ale z ironicznym ust wyrazem odparł:

— Gdybym był rzeźbiarzem, wziąłbym panią za model do typu, któryby nazwał „Spełniony obowiązek,“ że jednak rzeźbiarzem nie jestem, a obowiązek dla mnie ma w swem brzmieniu powiew chłodniejszy od wiatru północnego, więc...

— O! o! o! protesty odezwały się powtórnie, a matka Ksawerka ku mnie się zwracając— rzekła półgłosem...

— Nie wierz mu, on tak tylko siebie obmawia, i tak sobie szkodzi. Mój Boże! Nie wierz mu, on nas tak kocha, a przecież gdy się jest dobrym synem...

Ksawerek usłyszał słowa matki, obok mnie siedząc.

— Niech mama nie nazywa miłości synowskiej „obowiązkiem,“ bo gdybym wierzył, że to obowiązek, to gotówbym już mamy nie kochać.

— Ach! jaki ty masz antypatyczny sposób żartowania — przerwała Madzia, która zbliżyła się do naszego kółka i stanęła za mojem krzesłem. My ciebie znamy, ale kto cię nie zna...

W tej chwili podniosłam ku niej głowę i spotkałam się z jej wzrokiem. Oczy jej te czyste, dziecinne oczy, były łez pełne. Zdawało mi się na sekundę, że Ksawerego znienawidzę ale to trwało mgnienie oka, bo i z jego wzrokiem, spotkałam się w tej chwili. Takie miał tęskne, smutne, także, jakby łzą zasnute oczy, że pomyślałam:

— Kto takie ma wejrzenie, ten złym być nie może.

Głośno zaś odezwałam się:

— Przeproś Ksawerku twoje panie. Jakże można dręczyć rozmyślnie tych, których się kocha.

— A, tylko w tem leży przyjemność; co mi za satysfakcya dręczyć tych, co mi są obojętni? Jeżeli grać to na dźwięcznych strunach, a nie na głuchych.

— No, teraz to już nie wierzę—odparłam —widocznie cierpisz na imaginacyę tak zwaną „*morbide*.“

— Nie wiem, na co cierpię, wiem tylko, co odczuwam. Umiem określić moje wrażenie,

chociażbym choroby nazwać nie potrafił. Tak, więc doznałbym wrażenia kolosalnego, gdybym miał do studyowania struny twojego naprzykład serca.

— Dziękuję.

— Nie przerywaj. Ja nie mówię „twojego,“ tylko „naprzykład twojego“—to znaczy, że takie właśnie interesowałoby mnie, i doznawałbym wrażeń, a wrażenia, widzisz, to życie, życie człowieka, nie polipa, albo wcielonego „obowiązku,“ jakiem jest twoja przyjaciółka.

— Nie cierpię tego wyrazu „przyjaciółka,“ nie używam go nigdy. Nadużyto jego brzmienia. Pensyonarki i panny służące tyle mają przyjaciółek, że śmiesznie byłoby tak nazywać swoich najbliższych.

— To stwórz inne określenie, Ninetko.!

— Nie potrafię; myślę: „pokrewna dusza,“ ale nie mówię, bo to pretensyonalne i pedantyczne.

— Masz słuszność, ale nie wmawiaj we mnie, że pani Maryla to pokrewna ci dusza; antypody jesteście; ona to kirasyer za kobietę przebrany, a ty, no, nie chcę ci w główce przewracać, bo aż nadto dobrze wiesz o tem, że...

Chciałam zaprzeczać i pokłócić się w obronie Marylki, ale matka Ksawerego przerwała mi mówiąc:

— Daj mu pokój; on ma zmysł kontrowersyi; gdy na niego przyjdzie napad taki, to sam

nie wie, co bredzi; a im więcej z nim się sprzeczać i prawdy mu dowodzić, na tem kolosalniejsze paradoksy się zdobywa.

— Pozwól mamo Ninie przekonywać mnie —błagalnym tonem z żartobliwym uśmiechem prosił Ksanio. Czy mnie już masz za tak dalece straconego, że nie warto pracować nade mną? A gdyby znalazł się taki głos czarodziejski, któryby mnie hypnotyzować potrafił? i takie oczy, któreby mnie suggestyonowały? może wyszedłbym jeszcze na jakie „ciche jagnię.“

— Bógby to dał, moje dziecko, Bógby to dał! — odparła z westchnieniem biedna ciocia Lorcia — wielką miałby zasługę przed Bogiem głos taki i błogosławiłabym go życie całe.

Gdyśmy się rozjechali, słowa cioci Lorci dźwięczały mi w uszach uparcie. Dużo myślałam o wczorajszej rozmowie. Ksawerek desperacko naraża się na sądy ludzkie. Brawuje po prostu. Jestem pewna, że te jego parodoksalne teorye, są tylko „brawadą,“ bo na chwilę nie wątpię, że ma serce. Jak on otulał matkę i siostrę przy wyjeździe, jak przypominał Marylce, by mu dała jaką receptę na newralgię, na którą ciocia Lorcia cierpi. Słowem widać, że kocha głęboko te swoje najbliższe istoty. Swoją drogą na nerwy czasem działa, tymi cynicznymi popisami.

Szkoda go! szkoda wielka. Taki zdolny, taki intelligentny! Nawet w gruncie rzeczy dużo

poważniej na świat patrzy od Janusza. Zupełnie seryo ze mną rozmawia. Janusz ma mnie za dziecko, Ksawery wierzy we mnie jako w kobietę. Na Ksawerka mogłabym w danym razie mieć wpływ jakiś, na Janusza żadnego. Tylko to mnie boli, że Ksawery uprzedzony jest do Marylki, że jej nie lubi. Dlaczego? nie rozumiem.

Swoją drogą, jeżeli to prawda, że on jest graczem?... Straszna rzecz! To podobno najzgubniejsza namiętność. Zresztą co mnie to może obchodzić? Przecież jemu nie w głowie starać się o mnie; on się nigdy nie ożeni, tak twierdzi ciocia Lorcia i Madzia, które go znają najlepiej. Nudzi się na wsi i mnie jedną uznaje za odpowiednią, by na chwilę nudy zażegnać. Gdyby nawet było inaczej, to przecież nie rzucałabym się dobrowolnie w otchłań, bo chociaż niezawodnie nie jest tak zły, jak się sam maluje, to jako mąż, głowa rodziny, nie daje żadnej rękojmi.

Mój Boże! Jaka ja już stara jestem! Czyż dawniej w ten sposób zapatrywałam się na małżeństwo? Rękojmie, gwarancye, poręczenia! Przejęłam się już tym wstrętnym dla mnie żargonem, którym Tadeusz tak się chętnie i umiejętnie posługuje.

Zawsze już, do śmierci pewnie, pozostanę miękkim materyałem, woskiem czy gliną, z którego każdy co chce lepi.

Najlepszy dowód, że nawet określenia giełdowe przylgnęły do mnie, choć ich nienawidzę.

Poniedziałek.

Tadeusz odwiedzał mnie wczoraj. Ten mój konkurent zrobiłby ze mnie istotę wyrachowaną, oszczędną, może nawet, tak jak on i skąpą nareszcie? Brrr!... Mówilibyśmy o kuponach, listach zastawnych, akcyach, etc., zrozumiałabym nareszcie co to hypoteka, ale stałabym się antypatyczną dla siebie samej, znienawidziłabym się.

Kończyć życie jako żona Tadeusza, to rzeczywiście byłby koniec, koniec absolutny, zupełny, koniec wszystkiego! Zadusiłabym się, zaczadziałabym. Tylko na tamtym świecie mogłabym się jeszcze spodziewać jakiegoś wyjścia, no, a jeżeli pozostaje nam tylko na drugi świat przenieść swoje marzenia, to lepiej wstąpić do klasztoru.

Ach! gdyby nie te główki dziecinne, których, jak na pokusę dla mnie tyle, tyle snuje się po świecie! Tu po wsi roi się tego, plącze się pod nogami: płowe, kędzierzawe, lniane, złote, kasztanowate, srebrno-popielate. Moc cała! A dla mnie nic? ani jednego? ani jednego?

To dopiero minęłam się z mojem powołaniem! Jakoś mi się nie może w głowie po-

mieścić, aby Bóg dobry, znający najtajniejsze tajniki serca, chciał mi odmówić rzeczy tak godziwej do pragnienia dla kobiety, takiej drobnej, maleńkiej, i cudnej, skoro tyle, tyle takich skarbeczków ma do rozdania. Przecież sypie on tego z góry na ten padoł płaczu, jak maku w dzień zasiewu.

Boże! a dla mnie nic?

Znajdźże tam, Panie, w błękitach jedno takie stworzenie, któreby z owym błękitem w oczach, na dół do mnie spłynęło. Możesz mi Panie i więcej wyszukać, więcej jak jedno. Ja przyjmę. Mamo droga, wyproś mi u Wszechmocnego anielską istotkę, do bardzo wielkiego, do ogromnego kochania, a wtedy twoja Ninetka znowu będzie szczęśliwa.

Tylko z tym mężem, to taki kłopot! Jeden był Staś dla mnie, a wszyscy inni mają jakieś „ale.“ Janusz pasyami też dzieci lubi. Co on wyprawia z tą trójką Marylki. Kilka dni temu przez większą część wieczoru z nimi się bawił, a tak mu było wesoło, że aż mnie zazdrość brała. Gdy ktoś zapytał, czy mu nie przeszkadza hałas dzieci—odparł:

— O nie! cały batalion może naraz krzyczeć, ja to lubię. To mi werwy dodaje. Jak się ożenię, będę miał dwanaścioro.

To obiecujące..

Pani Wacława nieopatrznie poruszyła ten temat drażliwy. Właściwie nie rozumiem, cze-

mu drażliwy, bo to przecież rzecz czysta i święta. Otóż na ową deklaracyę Janusza, oczami wskazała na młode panienki, w celu ostrzeżenia o niestosowności rozmowy, zawsze afektowanym tonem rzekła, bardzo zgrabnie podkreślając to, co niezawodnie nie mogło pannom złych myśli nasunąć.

— To pan dla bocianów będziesz musiał osobne sadzawki z żabami założyć, 'bo nie podołają robocie.

— Marny bocian nie podoła, ale dobry wystarczy—odparł Janusz.

Panowie radzi z Balzakowskiego obrotu rozmowy, roześmiali się głośno, panienki nie wiedziały z pewnością co w tem dowcipnego, ale zato niezawodnie zastanawiały się, czemu tak chodzi o tajemnicę w tej sprawie i o pozorowanie bocianami, w które naturalnie dawno nie wierzą. Skoro tę jakąś wielką prawdę, osłaniają dla nich w tyle mizernych osłonek i głupich kompozycyi, to widać, że coś bardzo złego, albo gorszącego w prawdzie tej się mieści. Imaginacya galopuje idyotycznie, a niemożliwych kombinacyi się czepia.

Przecież pamiętam moje znajome panienki kilka lat temu! A skoro w Zdrowaś Marya mówimy „Błogosławiony owoc żywota Twego,“ to chyba dokładnem określeniem rzeczy niema się co gorszyć.

No, ale ja na to może nie mądrze się zapatruję; dla mnie stan matki to rzecz święta, narodziny dzieciątka to rzecz święta, więc po prostu nienawidzę, gdy na tym temacie snują ludzie najtrywialniejsze, najpospolitsze, najbardziej płaskie, niesmaczne i niezgrabne koncepta. Podług mnie, żarciki obracające się na tej osi, są największym tryumfem Darwina, bo nic chyba nie dowodzi lepiej zwierzęcości natury ludzkiej, jeżeli tak świętą i wzniosłą, a przez narodziny Boże podniesioną rzecz, tylko z jednego czysto małpiego, stanowiska, roztrząsają i wstydem okrywają ten najwspanialszy cud Stwórcy. A te miny panów i pań, gdy o tem mowa, te spojrzenia zmysłowe... A te tajemnicze uśmiechy, gdy przy młodych stworzeniach zdarzy się sposobność dowcipkować na ten temat!

Nienawidzę tego, nienawidzę!

No, ale to może dlatego, że ja tak dzieci kocham i macierzyństwo na takim stawiam piedestale, wydaje mi się wspaniałem wszystko, co z macierzyństwem ma wspólnego.

Ksawery powiedziałby, że wyszłam na moralizatorkę. Ale nie! ja wszystko wybaczam, lubię bardzo dowcipną rozmowę, tylko nie lubię cynizmu i brudu i pseudo-konceptów, w których nic zabawnego niema.

Środa.

Stanowczo Tadeusz nudzić mnie zaczyna. Jego zarozumiałość i pewność siebie, zawsze pobudza mnie do przycierania mu rogów. Ale to taki gruboskóry „specimen“ rodu ludzkiego! Wszystkie moje aluzye, by mu dać do zrozumienia, że nie powinien się trudzić, o ile to mej niegodnej osoby dotyczy, pozostają niezrozumiałe. Takie zadraśnienia na jakie ja się względem niego zdobywam, mogłyby chyba słonia obrazić, ale nie jego. Przeciwnie, wytrwałością, która jest jego zaletą znamienną, dąży do celu na oślep, bo przecież gdyby nie był tak niesłychanie krótkowzrocznym, to dawno powinien był zmiarkować, że ów cel niezdobytym pozostanie. Co mnie najwięcej gniewa, to jego ton protekcyonalny, mentorski i pozory opiekuńcze, jakie sobie nadaje, gdy o mnie chodzi. Jakby chciał zaznaczyć wobec świata, że ma prawo do tego.

Nieraz już, gdy była mowa o moich interesach, gdy zapytywano mnie, jak w tej, lub owej sprawie postąpię, on w mojem imieniu odpowiadał: „Hrabina tego nie zrobi,“ albo też: „Hrabina tak pewnie zadecyduje.“

A gdy ja odzywałam się dość niegrzecznie:

— Skąd pan o tem sądzić możesz?—uśmiechał się tajemniczo.

— Bo znam rozsądek pani i wiem, że postanowisz zawsze to, co najodpowiedniejsze w danym razie.

Tem zwykle usta mi zamyka, bo nie śmiem wchodzić z nim w dysputę, w sprawach dotyczących gospodarstwa, sprzedaży, kontraktów i t. p. A gdy podstępnie zasłania swoją decyzyę moim rozsądkiem, jak tu sprzeciwiać mu się, jeżeli nie chcę publicznie popisywać się z moim idyotyzmem w takich rzeczach.

I doszedł do tego, że niby od niechcenia narzucał jednak swoją opinię i mnie i Sędzickiemu. Co prawda, to Sędzicki jego oczami widzi i słyszy jego uszami. Dla niego Tadeusz, to uosobienie mądrości. Zdaje się zresztą, że rady jego rzeczwiście zawsze nam wychodziły na dobre, nam t. j. mnie i Sędzickiemu. My stanowimy firmę?

Ja i Sędzicki! Ha-ha-ha, bajeczna para, niebywała, klasyczna! Ale głową „dominium“ faktycznie jesteśmy ja i Sędzicki.

Dominium, hm... to także ziółko w życiu marnej kobiety, takie dominium. Nie śmiem się przyznać do tego, ale dla mnie owo określenie wywołuje w głowie obraz czegoś do bestyi apokaliptycznej podobnego. Hydra o stu głowach, o stu gardzielach, stu brzuchach! Z jakich się to komplikacyi składa, z jakich śrubek najrozmaitszych, czego to nie pożera! Kiedy nad tem zgłodniałem, chciwem, nienasyconem stworze-

niem głowy sobie łamać nie trzeba! Na wiosnę pośpiech szalony. Nigdy koni niema, nigdy ludzi do parku, nigdy majstrowie kotlarze, bednarze, blacharze, stelmachy, kowale i t. p., hufiec formalny, nastarczyć nie mogą z robotą. Nawożą, orzą, sieją, bronują, posypują, pieprzą, solą, przyprawiają, a gorączkują się, a śpieszą, a dyszą, a rwą!

Gdyby mieli kotły, zamiast głowy na ramionach, toby z wszystkich para buchała. Wiosną śpieszą, bo lato nadchodzi. Latem znowu żną, tną, koszą, grabią, wożą, stożą, a prędko, a prędko, a dalej, a dalej, bo jesień nadchodzi. Jesienią znowu *da capo* włóczą, drapią, grzebią, kopią, nawożą, koszą, sieją, zwożą, prędzej, prędzej, bo zima nadchodzi. Zimą tłuką wszystko, co zebrali, groch z kapustą, jęczmień z kartoflami, jedno „parówką,“drugie w gorzelni, trą deski, mielą mąkę, ważą siano, sieką sieczkę; mierzą wywar, doją krowy, karmią woły, pasą braki, piszą kontrakty, sprzedają cielęta, sprzedają ziarno, sprzedają wódkę, sprzedają deski, sprzedają siano, sprzedają braki, sprzedają woły, sprzedają koniczynę, sprzedają wszystko, sprzedają tak ciągle, ustawicznie, bez wytchnienia, targują, frymarczą, handlują, kłócą się i łają, na tylu kontraktach podpisać się muszą, a pieniądze napływają, wartko, szumnie, jak potok wezbrany.

A o iluż to rzeczach zapominam pewnie?

a chmiel? a ryby? a propinacye, a dzierżawy? Mój Boże! kolos, stu głowy kolos. No tak, to wszystko „dominium“ daje i gdyby się na tem kończyło, nigdy nie ośmieliłabym się nazwać takiej dającej istoty hydrą nienasyconą. Ale w tem sęk, w tem właśnie dziw nad dziwy, i stąd właśnie urodził się w mej głowie ów obraz w guście apokaliptycznego zwierza, pod którym sobie wywyraz „dominium“ przedstawiam.

Sprzedali wszystko, co mogli, wszystko, co było do sprzedania. A gdzie pieniądze? *Ni vu, ni connu.* Zamiast pieniędzy, dają mi rachunki. Dziękuję!... I myślą, że ja w tych warunkach dopatrzę się czego mądrego i zbadam tajemnicę! Naiwni! Cóż mi z tego, że trzeba było postawić nową stodołę na Bylicach, że w Darowie konie padły na zołzy, że w łeb im postrzelano, i trzeba było kupić pięć czwórek, że w Salinkach ziemie wynędzniałe i za kilka tysięcy rubli potrzebują sztucznych nawozów, superfosfatów, kainitów, guanów, gazów, azotów, miazmatów — *sapristi!* ktoby tam zliczył te nowe kompozycye, do wysysania krwi z „dominium“ przeznaczone.

A cóż mi z tego, że na Kalinówce stawiamy dwa sześcioraki postępowe i, że kupujemy pługi postępowe, i że zaprowadzamy chmiel na drutach postępowy, że kocioł w gorzelni musi być nowy i pewnie też postępowy, bo z ich rozpraw przypuszczam, że wszystko musi być po-

stępowe od motyki do kotła, od grabi do konia, od płotu do rowu.

Cóż mi z tego, że na Rakówku nowe groble na wylęgarnie dla karpi usypali, i że dwa nowe stawy przybędą, że kupiliśmy świetnego stadnika i że...

Ach Boże mój! Co mi potem? Przecież ja się kotłem bawić nie będę, ani go sobie w salonie nie postawię, ani na pługach jeździć nie będę, ani superfosfatem się nie nakarmię, więc co mi z tego.

No, czy nie mam słuszności, że to stugłowy potwór takie „dominium?“ tylko w tem jego największe „misterium,“ że zjada sam siebie, zjada doszczętnie, co rok w kółko, zaczyna od ogona, kończy z końcem roku na głowie, ale odrasta i znowu *da capo al fine* zjada to, co sam wydał, poręby, łąki, ryby, chmiel, ziarna, okowity, zjada bez litości, bez zastanowienia, nienasycona, niezgłębiona, nielitościwa, potworna beczka Danaid.

Oh! là, là!

I powiedzieć, że ja tak gospodaruję zawzięcie już od lat czterech, sumiennie, pilnie, uczciwie. Z Sędzickim do spółki, naturalnie, bez niego już by jeden włos na mojej głowie nie istniał. Sędzicki wprawdzie myśli, radzi, mówi i decyduje za mnie, ale ja słucham, muszę słuchać, a to chyba dosyć, przyzna każdy, kto wie, co jest „dominium.“

Nie wszedł do mnie jeszcze ten człowiek oprawca, oprawca, bo się pastwi nade mną, nie wszedł jeszcze, by nie zaczął od „Licho nadało, z przeproszeniem! Licho nadało ten żar, deszczu od tygodnia ani śladu, wszystko przepadnie.“ Albo „Licho nadało ten deszcz, od tygodnia leje, wszystko przepadnie!“ Albo „Licho wiatr nadało,“ albo „Licho grady nadało,“ albo „Licho błoto nadało,“ albo mróz, albo odwilż, albo śnieżyca, albo burza, ale zawsze „Licho nadało!“

Dziwię się bardzo, że ci panowie od maszyn postępowych nie wymyślili jeszcze jakiej postępowej siatki, jakiego woalika dla słońca, gdy za bystro świeci, albo rur, któremiby upusty żar słoneczny na bok odrzucały, na pole sąsiada, bo przecież pole sąsiada jest właśnie od tego, by mu słońce wypiekało, albo deszcz psuł, co się da spiec, lub zepsuć. Zresztą od biedy, choćby już nie wypadało na sąsiada złego odwrócić, to niechby się wprost do słońca zabrali i zrobili je postępowem, funkcyonującem racyonalnie.

W moim sceptycyzmie co do żarłoczności dominialnej przypuszczam, że mimo postępowego słońca jeszczeby hydra stugłowa potrafiła się uwinąć ze znacznie większymi strumieniami złota, niż te, które Sędzicki zamyka co wieczór w swej ogniotrwałej kasie na to, by nazajutrz wypróżnić ją do szczętu.

Wogóle te ogniotrwałe kasy, to też ory-

ginalny pomysł w dominiach. W bankach nie mówię, ale w dominiach, to też taka postępowa maszyna, która na to jest, by w niej nic nie było. Właściwie taka kasa ogniotrwała przypomina mi hotel w wielkiem mieście, albo tramway, t. j. przypływ i odpływ.

Ach! jak mnie to nudzi.

Od czterech lat nie dało mi jeszcze dominium z czego kaplicy wybudować. Marne 60,000 rubli, to przecież jednoroczny dochód z gorzelni, wełny i tartaku. No tak, ale dominium pożre i to i wszystko i mnie w dodatku. Sędzicki nazywa to regulowaniem interesów. Ale, że dominium wiecznie interesa reguluje, więc...

Już kilka razy zwracałam uwagę Sędzickiego, by nie pozwalał się mieszać osobom trzecim w nasze sprawy. Ale on zawsze spotka gdzieś Tadeusza, czy w powiecie, czy w mieście gubernialnem, czy w Warszawie, a rezultat ten, że właściwie Tadeusz w Sokołówce rządzi. Mocno posądzam Sędzickiego, że on Tadeusza proteguje jako kandydata do mej ręki. Co kilka dni wyjeżdża z pochwałami cudów udoskonalenia, postępowości, praktyczności, doniosłości w dobrach Tadeuszowych.

— Pan hrabia ma duże kapitały w bankach, w akcyach, w różnych przedsiębierstwach. To jeden z najbogatszych ludzi w kraju, mówi przez nos Sędzicki.

— Proszę się na niego nie oglądać, mój dobry panie, bo choćby dominium, będąc przy dobrym apetycie, zjadło jeszcze dwa razy tyle, to od niego nie pożyczymy.

— Uchowaj Boże! pani hrabino, uchowaj Boże! Kto mówi o pożyczce? My przecież spłacamy ciężary. Któż by chciał nowe zaciągać? Ja tylko tak mówię z życzliwości, tylko z życzliwości, hm... hm...

— Z życzliwości dla pana Tadeusza?

— Dla pani hrabiny, hm... hm...

Chrząka stary i jest mocno zakłopotany, bo jako mizerny dyplomata nie umie zgrabnie wywiązać się z misyi.

Misyi? Nie, co prawda nie posądzam Tadeusza, by wyraźnie używał Sędzickiego, jako deputata do mnie, ale, że mu dał zręcznie do zrozumienia, iż w razie danym i t. d..., to bardzo prawdopodobne. Ja zawsze podejrzywam, że Tadeusz ma większą ochotę na Klinowę niż na moją osobę. Klinowa wrzyna się rzeczywiście klinem w jego dobra i to klinem wspaniałych łąk, których mu podobno brakuje w tym kluczu. Klinowa jest jego klinem. Już jego ojciec z mamą o to się targował. Ale u nas mowy o sprzedaży tego być nie może, więc tylko razem ze mną klin ów przestałby pokutować w jego głowie.

— My wiele zawdzięczamy panu Tadeuszowi—dodaje znacząco Sędzicki.

Stary wie, że mu dużo wolno, bo jako bardzo doświadczony, bardzo wierny sługa domu naszego, przypuszczony jest do poufałości. Mama przed śmiercią za opiekuna nieledwie mi go wyznaczyła. Ale gdy tak Tadeusza zachwala, to mnie irytuje, więc mu odparłam dosyć sucho:

— Ja mu nic nie zawdziączam i zawdzięczać nie chcę... Nie powinien pan brać na siebie zobowiązań względem tego pana.

— Przepraszam pokornie — zawołał stary, mocno zmieszany — nie chciałem obrazić, uchowaj Boże! tylko tak z życzliwości. .

Pogodziliśmy się prędko, bo ja staruszka nietylko lubię, ale nawet kocham, jako zabytek przeszłości, tylko, że dziwnie usypiająco na mnie działa. Gdybym była Argusem, to mógłby śmiało bez maku do mnie się zbliżyć, uśpiłby mnie za pomocą rozpraw i dominium.

Luty.

Ostatnie tegoroczne polowanie. Ostatnie i najświetniejsze.

Ksawerek umie wystąpić, umie robić honory, umie strzelać, umie grać w karty. Niestety, to ostatnie umie najlepiej...

Z dalszych i bliższych okolic wszyscy pa-

nowie stanęli do apelu. Ciekawe między nimi egzemplarze, bardzo ciekawe. To dziwna, jak w miejskich zebraniach zanikają cechy charakterystyczne. Wszyscy do siebie podobni, a razem ze stołecznemi formami salonowemi, wszyscy wkładają maski banalności i szablonu, tak samo się kłaniają, rękę podają, sztywnie uśmiechają się, z roztargnieniem rozmawiają — i nic o nikim powiedzieć nie można wybitnego, czy choćby indywidualnego. A tu na wsi same oryginały! O każdym chodzą anegdotki, do każdej osobistości przypięta jakaś opowieść.

Zresztą, sami czują się tu u siebie swobodniejsi, pewniejsi siebie, znają jeden drugiego od dzieciństwa, więc się nie krępują, nie kryją ze swemi upodobaniami, nie przywdziewają stroju moralnego, zastosowanego do fraka. W mieście pewnie obawiają się narazić na śmieszność, na złośliwe uwagi i tają się z tem najwięcej, co tworzy właściwość ich natury. Tutaj wiedzą, że tajenie się na nic się nie zdało, bo wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, więc im z tem wygodniej, swobodniej. Do pewnego stopnia stanowi to urok zebrań wiejskich.

Ksawery pesymistycznie zapatruje się na takie zjazdy.

— To po prostu ponure, to mnie przeraża, jeżeliby się to miało powtarzać.

Widzieć taką galeryę raz i drugi w życiu, bardzo ciekawe, ale sąsiad, gdy się na wsi miesz-

ka, tak jest związany z sąsiadem na życie całe, że to aż groźne. Mąż, żona, dziecko, to towarzysze dozgonni, codzienni, i to zraża do małżeństwa, a cóż dopiero do sąsiedztw wiejskich, bo taki sąsiad, to także dozgonny towarzysz, choć, dzięki niebu, nie codzienny. Żonę można sobie wybrać wedle upodobania, dziecko wychować wedle myśli, ale sąsiada, ani wybrać, ani wychować nie moża, dozgonnym zaś być nie przestaje, więc... *faites vos conclusions.*

Po polowaniu i po obiedzie, panowie, *cela va sans dire,* grali w pokera. I myśmy grały, ale jest to jeden więcej narkotyk działający mi na sen, a i do tego także mam tępą głowę.

Boże mój! Jednak ja mam z natury tępą głowę. To takie smutne, gdy trzeba stwierdzić rzecz tak upokarzającą.

Widząc, że z nas niema pociechy, opuścili mnie i Marylkę, a potem jeden za drugim przychodzili nas bawić. Więc przyszedł jeden pan, sąsiad daleki Ksawerka, maleńki, bardzo elegancki, ostatnie słowo szyku, od uczesania do obuwia, wonie tak odurzające wydając ze swych modnych „aturów,“ iż po prostu w głowie się mąci. Gdzie stanie, gdzie usiądzie, gdzie się obróci, w godzinę później mówią podobno sąsiedzi „Wojnicz był tutaj.“ Ja sama stwierdziłam, że niema w tem złośliwości, tylko prawda. Ale sąsiedzi przysięgają, że w tydzień później czują Wojnicza w przedpokoju, w którym paltot

jego wisiał. On się zresztą nie kryje ze swojem upodobaniem, przeciwnie; kolekcyonista przytem rzadki w swoim rodzaju, lubi o zbiorach swych opowiadać, i nas tem zabawiał.

— Bo proszę pań, niktby nie uwierzył, jak dalece Europa zacofaną jest pod względem perfum. Wszyscy francuscy i angielscy fabrykanci są po prostu wyrobnikami w swym fachu. Do Chin jechać trzeba, do Indyi.

— Co? był pan w Chinach i w Indyach po perfumy?—zawołałam zdumiona.

— Nie, pani, żałuję, dotąd nie byłem, ale pojadę, o! pojadę, bo gdy się raz czemuś człowiek poświęci, to powinien systematycznie, pedantycznie rzeczy badać, inaczej, to tylko zwykłe amatorstwo.

— Ach! więc pan nie jesteś tylko amatorem?

— Ja pani?—odparł widocznie zgorszony, no, już co do tego, to wolno mi rościć wyższe pretensye. Nie słyszała pani o moich zbiorach? Mam kilka tysięcy odmian; wątpię, by istniały jeszcze zapachy, którychbym nie posiadał. Mam „Soniok“ oryginalny tybetański. Proszę pani, buteleczka „Sonioku“ kosztuje 75 rubli. Mam chiński „Ing Ing,“ mam ceylońskie „Madżi,“ mam wprost z Bramaputry sprowadzane „Vengali,“ których tylko rajasowie używają. Paryasom dotknąć tego nie wolno pod karą śmierci! Proszę pani, zbiór mój jest w Europie jedyny i ma

swoją cenę, o ma! — dodał, uśmiechając się na pozór skromnie, ale znać było, że duma rozsadza jego męską pierś, śnieżnie opancerzoną.

Zaimponował mi. I to człowiek z namiętnością, i ten wie, czego chce, dokąd dąży i cel ma w życiu. Ale skoro żyje w takim laboratoryum chemicznem, to nie dziwię się owej gęstej, wonnej atmosferze, której obłokiem jest otoczony! Mam dla niego wielki podziw, ale niebu dziękuję, że ten nie jest moim sąsiadem dozgonnym.

W tym wypadku słowom Ksania przyznawałam słuszność, bo pomyśleć tylko, jakie to niebezpieczne taka dozgonność; dziś cię widzę mój panie i mam ciebie dosyć na życie całe, tymczasem nic nie pomoże. Dziś cię widzę, a za tydzień u Iksów, za dziesięć dni u Igreków, za miesiąc, za rok, za dziesięć i za dwadzieścia choć mam ciebie dosyć, ach! jak dosyć! to przecież widywać cię będę musiała, aż po koniec żywota mego.

Tragiczne!

To jest czarna strona zjazdów wiejskich i życia wiejskiego, no, ale tyle rzeczy, wszystko nawet ma swoją czarną stronę.

Rezygnacyi!

Otóż pan z perfumami „exit,“ jak piszą w tragedyach Shakespeara, wypłynął zaś na teren dam ku ich bawieniu pan Morzecki. Z nim rozmawiając, na niego patrząc wpadałam w scep-

tycyzm co do rasowości istot ludzkich. Czy rasa, t. j. czyste *„folbluty,“* wegetują u ludzi, jak u koni, nie wiem doprawdy, bo np. Tadeusz, choć przystojny nawet i z nazwiska *folblut*, a przecież ciągle go się podejrzywa o dorobkiewiczostwo. Typu perweniusza trudno inaczej sobie przedstawić. Przechwałki ze świetnych interesów, jakie mu się udaje robić, cytowanie cyfr dochodowych, popisywanie się nabytymi przedmiotami wartościowymi, cytowanie bez potrzeby najgłośniejszych nazwisk. „Moja ciotka księżna W.,“ „moja kuzynka księżniczka P.,“ „mój wuj książę S.“ i t. d. No i ośmiesza się. Jużbym wolała, aby perfumy kolekcyonował, to oryginalniejsze, a on razi właśnie taką trywialną, pospolitą, na wszystkich scenach ośmieszoną wadą.

Pan Morzecki zaś, pomimo swojej niewinnej manijki (przepada za trąbką), to wielki pan, nawet ta jego sławna trąbka, zdaje się fantazyą wielkiego pana i nie razi.

Kocha się w zaprzęgach, dobiera czwórki, w których koń od konia dla znawcy trudny do rozróżnienia. A, że również silnie kocha się w muzyce, więc nie umiejąc sam grać, upatrzył sobie w jednej z zagranicznych orkiestr jakiegoś chudego pachołka grającego na trąbce, skusił go pensyą, jakiej trąbkowy artysta nie byłby zaznał w żadnej ze stolic świata, wyuczył go konno jeździć, i odtąd zwykły zaprzęg tego ory-

ginała, to jakaś czwórka bajeczna. Na lejcowym koniu, w typowem ubraniu, sadzi trębacz, trąbiąc najpiękniejsze reminiscencye ze swojej artystycznej karyery, a pan jego rozłożony na wygodnem posłaniu sprężynowem, puszcza wodze fantazyi i marzeniom.

Trochę się wahałam, czy go wprowadzić na ten temat, bo mógł to wziąć za chęć żartowania z niego, ale tak się samo z siebie złożyło, że mogłam zacząć podstępnem, niewinnem:

— Pan lubi muzykę?

Oczy jego, bystre zresztą i sympatyczne bardzo, odpowiedziały za niego, bo entuzyazm w nich zabłysnął.

— Czy lubię, pani? — to dla mnie rzecz niebezpieczna, powinienem jej się wyrzec, jak ten, co czuje pociąg do alkoholu. Czy ja lubię muzykę? Otóż powiem pani, że gdybym znalazł kobietę, najbrzydszą nawet z pięknym głosem, lub pięknie grającą, to z jednym tylko warunkiem, by chodziła zawsze zawoalowaną, uczyniłbym z niej najszczęśliwszą istotę, byle mi tylko grała.

— Nie wiem, czy ten woal nie przeszkadzałby jej mocno do szczęścia — odparłam rozbawiona.

— Ach! to taka drobnostka — rzekł naiwnie — przecież, gdy się wsłuchuje w harmonię, wprost bogom z Olimpu wykradzioną, to się

staje obojętnem na takie bagatele, przynajmniej powinno się stawać.

— Musiałeś pan jednak nie znaleźć takiej?

— Tak pani, niestety! i kontentuję się trębaczem. Piękne kobiety, mające ten dar boski w udziale, mają świat u nóg swych i królują, jak żadna panująca nie króluje, więc do nich nie miałem się co zwracać; brzydkie zaś nie chcą woalu, a to znowu psułoby mi doskonałość wrażeń. Dziwne te kobiety, obrażają się po prostu o taką propozycyę, a przecież ja do nich nie mam pretensyi za ich brzydotę. Że brzydkie, to nie ich wina. Ale próżność, to taka uparta, nierezonująca wada. Więc mam trębacza.

— Pięknie trąbi?

— Archanioł na sądzie ostatecznym lepiej nie potrafi.

— To przerażające porównanie.

— Wcale nie. Myślę, że archanioł ten cudownie zatrąbi, tak pięknie, tak wzniośle, tak śpiewnie, że wszyscy umarli na głos ten głowy z grobów wychylą, aby słuchać. Bo gdyby miał zahuczeć, jak wicher opętany, to przecież pochowaliby się nieboszczykowie. Czyż to moje przypuszczenie nie logiczne?

— Najzupełniej się z panem zgadzam. Jeżeli pana trębacz ma równie wzniosłą duszę, jak talent, to może z biegiem wieków i doskonalenia się, zostanie tym archaniołem.

— Śmiem niestety powątpiewać, zanadto lubi piwo i panienki.

— I dobrze już konno jeździ?

— Jak gdyby się na koniu urodził. Nie umiem pani wypowiedzić, co to za rozkosz. Naprzykład noc księżycowa w czerwcu. Natura cała w takie uroki spowita, że zdaje się tłem odpowiedniem nie dla ludzi, ale dla elfów, sylfów i t. p. istot eterycznych. Konie niosą mnie z szybkością wartkiego potoku, uderzenia rytmiczne kopyt o ziemię, to jakby batuta niewidzialnego kapelmistrza wsłuchanego w pieśń nocną. A w ciszy wielkiej śpiew rzewny, przeciągły, o metalicznem brzmieniu, dźwięk różny od zwykłych, codziennych dźwięków muzycznych, obliczony na przestrzeń szeroką, nie rozłamujący się pod stropem niebieskim, jak się rozłamuje głucho, a bezdźwięcznie pod naciskiem sklepień mieszkań ludzkich. To zajęczy głośnem łkaniem, to zabrzmi kaskadą śmiechu wesołego, to nuci spokojną balladę, szerokostylową, gdzie kołysanki słychać i życie ludzkie w skardze i rozkoszy się odzywa, to zatętni hymnem tryumfalnym, od którego krew w ukrop się zamienia, i ręką oręża się szuka. Ach, pani, jak to można marzyć, dążąc tak bez opamiętania przed siebie, przy dźwiękach takiej muzyki. Trąbka to jedyny instrument na dalekie przestrzenie. Stłumiona ramami ścian, zaporą ciasnoty, traci swoją metaliczność i przytępiona nie wyda tego

z siebie, co wydać może. Ale jej jednej struny brak, struny miłosnej, chociaż w części tylko; trąbka nie potrafi wynucić pieśni *„dolce suave misterioso,“* nie potrafi mówić „kocham,“ ale zato umie opowiedzieć, jak to serce boli, jak pęka nawet, trzeba się w nią tylko wsłuchać.

Zajęła mnie mocno ta apoteoza trąbki i sam jej wielbiciel. Zwierzyłam się z zachwytu mego Ksawerkowi, ale Ksawerek nie był w humorze. Ogół zaproszonych nie spostrzegł tego, bo gospodarz domu uprzejmością swoją, chciał sobie wszystkich ująć, mnie jednej tylko raczył się przyznać, że mu smutno, nudno i że dałby wiele, aby zgłupieć.

— Czy to z nadmiaru rozumu tak ci smutno?—zapytałam.

— O! Ninetko! tak nienawidzę złośliwości w tobie, to nie twoja nuta, to mnie w tobie razi, nauczyłaś się tego od tej twojej pseudo-pokrewnej duszy, od tego kirasyera w spódnicy.

— Proszę cię Ksaniu, może zechcesz stosowniej o Marylce się wyrażać, inaczej zapewniam cię, że na moją przyjaźń nie zasłużysz.

— Ha-ha-ha! znakomita! O matrono, o biblijna niewiasto, takiemże to nieszczęściem mi grozisz? jak ona to pysznie powiedziała!

I naśladował komicznie głos mój, tak, że sama śmiać się musiałam, mimowoli, gdy falsetem powtarzał — „Na moją przyjaźń nie zasłużysz.“

— Kto cię nauczył tak się wzniośle wyrażać? ależ kuzynko przedziwna, ja ani myślę chcieć na nią zasługiwać, a co mnie po twojej przyjaźni kobieto? *en voila un sentiment qui m'exalte!*

— Grzeczny jesteś!

— To nie jest wybitną moją zaletą. „Grzeczny“ w właściwem rozumieniu grzecznego dziecka, niekoniecznie da się do mnie zastosować. Ale to, co ci powiedziałem, nie ma nic wspólnego z grzecznością. Co mi po twojej przyjaźni? powtarzam. Jesteś śliczną kobietą, nie mówię piękną, bo to nieodpowiednie do twej urody i wogóle, „piękna kobieta,“ to nie mój typ. Kobieta, widzisz, musi przedewszystkiem posiadać fetysz, a wtedy jest uroczą, otóż ty jesteś od stóp do głów jednym fetyszem.

— Cóż to znowu za absurd?

— Powiedz, co to za tajemnica? bo to jest wynalazkiem buddyjskim, a buddyzm to mądrość nad mądrościami.

— Wracajmy do fetyszu. Cóż to jest w zastosowaniu do kobiet? — pytałam mocno zaciekawiona. Dotąd wiem tylko, że fetysz to rodzaj amuletu. Ząb fakira zmarłego, może być fetyszem, więc...

— Więc o to chodzi właśnie.

— Przecież chyba ząb fakira nie dodaje uroku kobiecie.

— Ach! jakaś ty niedomyślna, tak ci

wszystko długo trzeba wykładać! Jeżeli kto nosi dajmy na to ząb fakira, to w celu zdobycia serca niezdobytego, lub ustrzeżenia się od jakiego nieszczęścia. Otóż kobieta ma wrodzoną sobie przynętę, od natury jej daną, która zdobywa serca męskie, czy zmysły, czy umysły, czy imaginacyę, zależy od rodzaju fetyszu; fetysz zaś chroni ją od największego dla kobiety nieszczęścia, od obojętności męskiej, teraz rozumiesz?

— Rozumiem.

— Nareszcie. A zatem jednej białogłowy fetysz spoczywa w jej oczach, innej we włosach, innej w ustach, w figurze, w nodze, w ręce, w paznokciach nawet fetysz potrafi się ukrywać; a z osobników męskich ten ginie najłatwiej, kto jest najwrażliwszy na taką właśnie niewieścią ozdobę, kto ten urok, właściwy swemu temperamentowi, odkrywa w niewieście. A więc, Ninetko, jesteś jednym fetyszem, masz fetyszowe oczy, usta, nosek.

— *Abrégeons*...

— Wszystko! I dlatego każdy w tobie znajduje coś dla siebie specyalnie pociągającego, i dlatego tak się wszyscy w tobie kochają, że to aż na epidemię zakrawa.

— Jakto wszyscy? Ja tego wcale nie widzę.

— Wszyscy. Już się w tobie zakochał pan pachnący, i pan od trąbki, i mąż tej kolosalnej magnifiki, która tak pięknie mówić umie o bo-

cianach, i ten spekulujący hrabia, i ten raczący żyć, mówić i mieszać się do tłumu śmiertelników twój zdeklarowany konkurent, kuzyn twej wiernej, jak ty to mówiłaś? jakoś inaczej, solenniej,—aha! tak, twojej pokrewnej duszy...

— Janusz?

— Hm... mówicie już sobie po imieniu?

— Ależ mój Ksaniu, przecie, gdy on nie słyszy, to wolno. No tak, Janusz, on jeden, przyznaję. Ale nikt inny.

— Spytaj się ich. Wcale się z tem nie kryją. Przy pokerze nawet usiedzieć nie mogli. Powtarzam: epidemia.

— A, teraz już rozumiem, po prostu o pokera chodzi i dlatego te ku mnie pretensye niesłuszne, że ci karta źle szła?

— Mnie w domu nigdy karta nie idzie, to moja zasada drogie dziecko! Może głupia zasada, ale każdy ma swoje.

— To dla mnie niespodzianka. Myślałam, żeś ty mistrz całkiem z zasad wyzwolony?

— Nie myliłaś się. Kto ma trochę oleju w głowie, ten nie zatrzymuje dobrowolnie kajdanków na rękach i nogach; ale tę jedną zasadę mam przecież, że we własnym domu ludzi nie ogrywam.

— Szlachetne!

— Może być. Szlachetność, to też dość elastyczne pojęcie. Podług mnie szlachetnie byłoby, gdyby Wojnicz choć we własnym domu

się nie perfumował, ale tam właśnie kadzielnica formalna w każdym zakątku, dławi. Na statku parowym nie choruję, a tam o mały włos.

— Oryginał.

— Powiedz „idyota.“ Za dobra jesteś dla innych, za surowa dla mnie, o pani! Bo i ten drugi, trębacz, to też idyota, choć cię zachwycił, no i *vice versa,* ty jego; gotów ci swoją trąbkę proponować aż do śmierci, *Amen;* a ten chiński błazen, swoją kolekcyę perfum. Obaj są „paff!,“ o dwóch konkurentów więcej.

— Szyderstwo, to twoja broń Ksawerku oby się przeciw tobie nie obróciła.

— Gdzie szyderstwo widzisz? Przecież ci z góry mówiłem, że zazdroszczę tym kolekcyonistom i wogóle ludziom pragnącym czegoś, dążącym do czegoś. Każdy z tych panów tu obecnych ma swojego ulubionego konika, na którym jeździ. Ten z „tykiem“ w oku, który wygląda, jak gdyby co chwila robił tajemnicze miny, w celu zwrócenia czyjejś na coś uwagi, to urodzony blagier; jego bronowłoki, w ustach jego, zamieniają się na lotne wyścigowce, jego piaski na podolskie niwy, jego błota na stawy złotodajne. Weźmie za co 100 rubli, powie 1,000, zbierze 200 korcy, powie 2,000; jedzie do Warszawy, powie, że do Londynu; kupi krawat w Berdyczowie, powie, że w Paryżu, itd. itd. Ot, na takich lichych, marnych tematach, uprawia fantastyczne pomysły i życie sobie ubarwia rozra-

dowany, że wszyscy wierzą na słowo, gdy każdy za jego plecami w homeryczny śmiech wpada, powtarzając „Bożecki mówi, że...“ i t. d. Przecież wart zazdrości, tak go żywo zajmują jego własne pomysły, aby nie powiedzieć kłamstwa. A tamta kulka, o! ten mały człowieczek wiecznie spocony i zasapany, to najgorszy język pod słońcem. Gotów pod cudze okna i drzwi się podkradać, by wydobyć tajemnicę sąsiadów. Wszystko o wszystkich wie pierwszy najdokładniej i wszystko wszystkim powtarza pod sekretem; tyle go kosztuje oszczerstwo, co mnie wypalenie papierosa, właśnie tyle, bo mu to przyjemność sprawia, więc „ta płaci rocznie tyle a tyle za toalety,“ więc „ten dostał policzek i schował go do kieszeni,“ więc „tamta przyprawia rogi mężowi,“ więc „ten bankrutuje,“ „tamci żyją nad stan,“ „ten wygrał“ a tamten „przegrał;“ i powiedzieli sobie „to a to,“ i odpowiedzieli sobie „owo“ i wyniknie stąd „tamto.“ Wstrętny! mówię ci Ninko, wstrętny! Ale godzien zazdrości, bo znalazł odpowiednie zajęcie dla swego ropuszego usposobienia i bawi się.

— Dlaczego „ropuszego.“

— *O carissima!* dlaczego? tobie wszystko trzeba tłumaczyć! Dlatego, że kogo dotknie, tego pali swoją jadowitą śliną; domysły zamienia na fakty. Splamiłby słońce, gdyby je mógł językiem swym dostać.

— *Horreur!*

— *Horreur!* A teraz dziw się, że można zostać sceptykiem i zmarnieć w takiem społeczeństwie i tęsknić za Nirwaną.

Ksawery często wraca do owej Nirwany; podróżował w swoim czasie po Indyach, ratował zadżumionych, jeździł na słoniu, grał w karty z rajasami i angielskimi gubernatorami, dysputował z fakirami i z bikszusami. Nawrócili go na buddyjską wiarę. Podobno w Paryżu chodził nawet na obrządki buddyjskie, ale nie wiem, czy to prawda.

Biedny Ksawerek! Jest w nim coś pociągającego, ale i przerażającego zarazem. Interesuje mnie i boję się go. Nizkie instynkta w ludziach, „meskinerye,“ płytkość umysłowa, śmieszności różne, znajdują w nim nieubłaganego sędziego, bez litości jest dla bliźniego, a przecież sądu nie zwróci przeciw sobie. Zrobiłam mu wprawdzie ten zarzut, bo na jego sceptyczne poglądy odparłam:

— Czy znasz Ksaniu cudne słowa: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni?“

— Może powstrzymałoby mnie od sądów to przekonanie, że gdy ja innych potępiać nie będę, to oni mnie winy darują, ale jestem spokojny, że bliźni moi doraźniejsze sądy na mnie wydają, niż ja na nich, więc wolno mi sądzić, skoro sam sądzony jestem.

— Niestety, do ludzkiego tylko sądu odnosisz te słowa, one zaś pewnie odnoszą się do wyroków znacznie sprawiedliwszych nad wyroki ludzkie.

— Oh! gdybym się chciał zapatrywać z tego punktu! To za wysoko; nie widzę, nie słyszę, nie rozumiem.

Biedny, biedny okaz sceptycyzmu, godzien pożałowania.

Poniedziałek, marzec.

Był u mnie Tadeusz. Zdaje mi się, że przyjechał z intencyą oświadczenia się o moją rękę. Jakie to zabawne, „o rękę!“ czemu nie o całą osobę od razu? Ale mniejsza o to. Zdaje mi się, że po to przyjechał, bo był jakiś inny, niż zwykle, mniej pewny siebie, trochę roztargniony, jakiś tajemniczy.

Naturalnie to wystarczyło, bym się trzymała „*sur la défensive.*“ Przedewszystkiem prosiłam Castrelkę, by mnie na sekundę nie odstępowała, ale ona razem z Sędzickim stanowczo są sprzymierzeńcami tej „solidnej firmy.“ Dla nich Tadeusz daje gwarancye; to wyjątkowy „obywatel,“ to wzór „obywateli.“ Tak go nazywa Sędzicki. Ale wielka moja stanowczość w żądaniu od Castrelki pilnowania mej osoby w niebezpieczeństwie, sprawiła, że do pewnego stop-

nia nagięła się do mego życzenia. To nie przeszkadzało, że kilka razy ulatniała się od mego boku pod różnymi pozorami. Ale te strategie na niewiele się zdały, bo ja z góry byłam zdecydowana, że do wygłoszenia strzelistego afektu nie dopuszczę. Dziś żałuję tego, byłoby to już za mną. Tadeusz przestałby mnie prześladować i odetchnęłabym swobodniej.

Ale to moje tchórzostwo! Boję się.

Boję się, bo się jeszcze w gruncie rzeczy waham, więc może, może nie chcę palić mostów za sobą, choć mi się zdawało kiedyś po owej awanturze z koniem, że stanowczo i Tadeusza i Janusza wykreśliłam ostatecznie z mego życia.

Trzeba jednak zastanowić się, o co mi chodzi?

Nie śmiem spojrzeć w głąb samej siebie, by się tam dawnej, niepoprawnej, lekkomyślnej kobiety nie dopatrzeć. A przecież znowu, raz, kiedyś rachunek sumienia i to uczciwy zrobić należy, bo inaczej sama w złudzeniu co do siebie, gotowa jestem paść ofiarą jakiej desperackiej chwili. A przychodzą na mnie chwile desperackie, temu zaprzeczyć nie mogę.

Przychodzą...

I co gorsza, co dla mnie upokarzające nad wyraz, co jest dowodem mej zapamiętałości w złem, niepoprawności mojej spaczonej, marnej natury, że owe desperacye, owe bezbrzeżne, rozpaczliwe smutki nie są już wynikiem tęsknoty

za przeszłością. Nie, raz trzeba prawdę wyznać przed sobą. Tęsknota swoją drogą i ta mnie nawiedza, ale to jest uczucie prędzej moją wolną wolą wywołane. Ja chcę tęsknić, to moja ambicya, ambicya lepszej mojej natury. Więc gdy siadam do „piano orgue“ to z intencyą wywołania w sobie żalu za tem, co minęło, za tym, którego już niema. Jemu się to ode mnie należy, po koniec życia mego. Więc dobrowolnie wskrzeszam w sobie obrazy z przeszłości, a wtedy ogarnia mnie melancholia, w której jest nawet słodycz, jest dużo, dużo uroku. Zapominam w chwilach takich o prozie życia mego, o pustce, o bezcelowości, o samotności, o szarem, a dławiącem mnie pasmie dni długich, takich bezbarwnych, takich ogołoconych z wrażeń, jak te oto brzozy biedne, na które z okna patrzę, z liści są ogołocone.

Ale dla brzozy, gdy wiosna przychodzi, takie przemiany się gotują. Tak się jej szata mieni z dnia na dzień: z różowych pączków, na drobne piórka, z piórek na maleńkie źdźbła listków takie jasne, przejrzyste prawie, i cała brzoza na tle błękitu taka leciuchna, taka młodociana, niby drzewo, a przecież to koronka ręką wróżki utkana, albo pajęczynka we wzory gałązek misternie zahaftowana, a może cień tylko wysnuty niewidzialną ręką sylfów, który za lada podmuchem w nicość się rozpłynie. Ach Boże! jak ja się tym brzozom na wiosnę przyglądam,

jak one mnie interesują! jak metamorfozy ich czarują mnie i... zasmucają beznadziejnie.

A potem owa mgła, owa tkanka, tak kunsztownie a lekko usnuta, coraz wyraźniejsze kontury przybiera, pod koniec maja już jasne, srebrne listki w kształcie drobnych serduszek szemrzą z lekka kołysane na wiotkiej gałęzi. A w końcu czerwca już ciemna, połyskująca barwą zieloną. Najpierw brzoza dziecię nowonarodzone, potem brzoza panna młoda, a ta nareszcie zamienia się w brzozę młodą kobietę, i „z cienkich gałązek włosy splecione“ szumią z powiewem wiatru, a warkocze ku ziemi płyną ozłocone milionem brylancików przez słońce podarowanych.

Słońce takie hojne, tak sypie brylantami i szafirami i rubinami. A ja tak lubię i brylanty i szafiry i rubiny.

— Ach, lubię, lubię jeszcze!

I dlatego wstręt czasem i pogardę czuję do siebie, że taki urok mają dla mnie rzeczy marne, a błahe. I właśnie te brzozy co wiosna, co wiosna, przyprawiają mnie o rozpaczliwe chwile. Coś mnie za gardło chwyta i dławi, literalnie dławi. Co mi jest? nie wiem. Ale zła jakaś godzina przychodzi na mnie i wprost rady dać sobie nie mogę.

Pierwszej wiosny tu w Kruszniczy samotnie spędzonej, był to tylko jedynie żal za przeszłością, tylko Stasia brak mi było. A tak mi go

brakowało, taką bezdenną pustkę po nim czułam. Czasem zdawało mi się w mej rozpaczy, iż głową naprzód wpadam w otchłań jakąś duszną i ciemną i że ginę po prostu, i zginę albo oszaleję.

Ale druga wiosna, to już było co innego; smutek mnie dławił, żal toczył zawsze, jak kleszcz w serce wpity, ale to już było co innego, nie tylko żal za nim, za tym moim jedynym, za tym ideałem, za tym świętym, za tym bohaterem...

Do tamtego żalu już się łączył i strach przyszłości. W pierwszym żalu o przyszłości nie myślałam, bo nie rozumiałam. bym bez Stasia istnieć mogła.

A teraz... teraz...

Ach Boże! Teraz jest coś niewypowiedzianego, sama nic nie rozumiem.

Ale to marzec. I słońce od czasu do czasu tak świeci, jak gdyby sobie postanowiło lodowce nawet na ciepłe potoki zamienić. I czasem bywa dzień taki, w którym choć nic jeszcze niema na ziemi, ni kwiata, ni listka, to płyną zapachy i zdaje się, że to chyba blaski i światła i opar z łąk siny, tak pachnie. A skowronki dzwonią, dzwonią na wiosnę, na radość!

No, i co się ze mną dzieje? Sama pytam, co się ze mną dzieje? Bunt w sobie czuję, i ferment, i gorycz, i trwogę, i gniew, a oburzenie na siebie samą, i żal, a współczucie dla siebie

samej. Co to będzie? Bo gdybym dzieciątko miała, nie byłoby tego; byłby tylko spokój! Byłby raj! byłaby wiosna, ta sama wiosna, co na ziemię z nieba spływa, a wszystko jak w naturze, tak w mej duszy zabarwiłoby się, przystroiło, promieniało.

Ale... otóż to nieszczęsne „ale.“ Ale Tadeusz. Ja wiem, że on mnie po swojemu kocha, narówni z Klinową prawdopodobnie. Rozsądek odzywa się wprawdzie nieraz: „Co ci to szkodzi? jeżeli będziesz miała dziecko, to ci będzie wszystko jedno, a ostatecznie to przyzwoity człowiek; uprzedzasz się do niego, nic na seryo zarzucić mu nie możesz.“ I ten cichy głos rozsądku sprawia, że nie spaliłam jeszcze mostów za sobą. Choć to pewnie całkiem niepotrzebna zwłoka. Bo, że u mnie nigdy rozsądek nie jest doradcą, co do tego łudzić się nie mogę. Martwię się tem, ale na samą myśl wiosny przy Tadeuszu znowu czuję ową stalową obręcz na gardle zaciśniętą i pozbawiającą mnie tchu.

Ostatecznie, pomimo manewrów Castrelki, nie udało się memu pretendentowi wygłosić sentymentów swoich. Byłoby to wprawdzie dość ciekawe, w jakiej formie przedstawiłby mi swoją petycyę, ale ciekawość moja, choć zwykle silna w tej mierze ustępuje strachowi. Ten, „solidny człowiek,“ jako przenikliwy *„homme d'affaires,“* odgadł, że lepiej będzie na przyszłość odłożyć ostateczne wyjaśnienie; a że grunt był niebez-

pieczny, to spostrzegł bo ja nie byłam zachęcającą, co nie, to nie.

Powetował sobie zawód, znęcając się niemiłosiernie nad Ksawerkiem, pastwił się nad nim, szarpał.

Przypomniały mi się słowa mego sceptyka-kuzyna „mnie nikt nie oszczędzi, choćbym ja drugich oszczędzał.“ Byłabym prędzej koniec temu położyła, bo nie nawidzę, gdy się tak ludzie zniesławiają podstępnie za oczy, ale przyznaję, że tym razem niepomiarkowana ciekawość, chęć dowiedzenia się jak najwięcej o kimś, co tajemnicę, zagadkę dla mnie przedstawia, powstrzymała mnie od położenia tamy wymowie hrabiego.

— Smutne to dla naszego społeczeństwa— deklamował z patosem Tadeusz, że wydaje takie anormalne, zdenerwowane specimeny. Taki Ksawery Bielewski więcej robi złego, niż zwykły rozbójnik.

— O! o!

— Tak pani, niż zwykły rozbójnik; bo ten ostatni tylko tu i owdzie znajduje sposobność do zabójstwa i zabija tylko ciało.

— No, przecież tego pan nie dowiedziesz, że Ksawery zabija dusze.

— Ależ tak, z pewnością. Zresztą on ludzi w błąd wprowadza, to obłąkaniec, dużo normalniejszych zamykają.

— O! o!

— Niezawodnie. Gdyby był tylko złym, to byłoby pół niebezpieczeństwa, ale on niestety bywa i dobrym.

— Oryginalne „niestety."

— Pani po kobiecemu sądzisz, czyli nielogicznie.

— Pomyślałam sobie „miła arogancya," ale nie przerwałam.

— Bo — ciągnął dalej z ferworem. Dobre chwile Ksawerego są gorsze w rezultacie od złych; złemi odstrasza, a dobremi przynęca. Oddając każdemu wedle ścisłej sprawiedliwości, przyznać muszę, że przynęcac umie. Zdolny jest, ale cóż z tego, kiedy zdolności na złe obraca.

— Truje ludzi, czy coś podobnego? — pytałam zawsze trochę ironicznie.

Mnie ironii życie nauczyło, tej ironii, której tak Ksawery we mnie nie lubi, dowodząc, że to nie harmonizuje z moją całością; co prawda, nie wiem, co on przez moją całość rozumie.

— Tak pani, truje moralnie — odparł zapalczywie Tadeusz. Gdy na niego przyjdzie dobra chwila, to z wymową sobie właściwą, głosi szlachetne teorye. Unosi się zapałem dla rzeczy świętych, wzbudza oburzenie do złych, czaruje słuchaczy oryginalnością poglądów i choć zawsze paradoksalny, ale gdy paradoksami posługuje się, by ośmieszać to, co godne ośmieszenia i z błotem zmieszać to, co godne zmieszania, wtedy wszystko w porządku.

— Więc czego pan chcesz od niego? Przecież na mocy tego, że bywa natchnionym kaznodzieją, trudno żądać od niego, by został misyonarzem u ludożerców.

Spojrzał na mnie z wymówką w oczach, trochę obrażony, mówiąc mi spojrzeniem: O! ty kobieto, puchu marny, co ty zdolna jesteś zrozumieć w prostocie swojej; i tłumaczył cierpliwie dalej:

— Nie, tego nie żądam. Notuję tylko dla sprawiedliwości te jego wzniosłe zapały, by pani dowieść, na czem polega ich niebezpieczeństwo. To człowiek nienormalny, on jest opętany, po prostu opętany, w dawnem zrozumieniu tego słowa. Otóż dobre jego chwile są tylko chwilami, a życie jest złem życiem. Mówią ludzie „nerwy.“ Najwygodniej! Wcale estetyczna, interesująca i wszystko tłumacząca wymówka. Teraz i zabić wolno w imię nerwów, i kąsać, i zgrzytać zębami. Otóż Ksawery w imię nerwów kąsa i zgrzyta zębami.

— O! o!

— Tak, pani. To niebezpieczny człowiek. Tych samych naturalnie nieopatrznych, wpływowych, o słabym charakterze ludzi, których tumanił dzień naprzód swymi ideałami, nazajutrz dużo więcej olśnionych zostawia pod urokiem wytwornego swego cynizmu. Wtedy nic się nie ostoi; niema rzeczy świętej, niema rzeczy niedozwolonej, niema praw, niema sumienia. Wszystko

wolno. Gotów sprzedać wrogowi ojcowiznę, gotów za pożyczone pieniądze naszyjniki tancerkom kupować, gotów w przystępie szału własnemu koniowi i psu faworytowi w łeb palnąć, i nietylko gotów to wszystko popełnić, ale co gorsza, gotów wymownie, sofistycznie, paradoksalnie, a porywająco przekonywać, że to wszystko popełniać wolno. Opętany i koniec.

— Trzeba być bardzo pewnym swojej wyższości—odparłam trochę porywczo—aby tak kamieniem rzucać w bliźniego.

Zmieszał się Tadeusz, uważnie na mnie popatrzał i po chwili wahania odparł:

— Nie potrzeba wielkiej zarozumiałości na to, by się poczuwać do trochę większej wartości, niż wartość moralna tego pana; a choć jestem może lepszym członkiem społeczeństwa od tym podobnych typów, jeszcze sobie nie przywłaszczam prawa do doskonałości. Ale przecież opinia publiczna istnieć musi, inaczej gdzież się podzieje porządek społeczny?

— Och! w imię tej opinii publicznej kamienujemy na prawo i lewo, bez litości, bez zastrzeżeń—miłe, a nie trudne zajęcie.

Tadeusz znowu i to jeszcze przenikliwszem przeszył mnie wejrzeniem.

— Pani w złym humorze?—zapytał.

— Nie, bronię tylko bliźniego.

— Ksawerka wszystkie panie bronią, trud-

no go do „bliźnich“ zaliczać gdy o panie chodzi; ma szczęście do kobiet.

— A! więc w tem grzech śmiertelny? no, teraz rozumiem, czemu niema szczęścia do mężczyzn.

Tadeusz raczył się roześmiać i w rękę mnie pocałować protekcyonalnie, pobłażliwie.

— Pani droga jest typem kobiecości, zawsze słuszność mieć musi, choćby niesłuszność w niebogłosy krzyczeć miała.

I na tem skończyła się nasza pod koniec dość ostra dysputa, ale na swojem postawiłam i mimo dyplomacyi Castrelki, Tadeusz nie oświadczył mi się. Tem lepiej dla niego, może się łudzić jeszcze, choć dziwna być musi zarozumiałość jego, jeżeli pomimo wszystkich moich oblewań zimną wodą, jeszcze nie zmroziłam w nim nadziei; przeciwnie, zdawałoby się, że ta zimna woda dla jego afektów jest tem, czem rosa dla wschodzących kwiatów, im więcej chłodu z mej strony, tem on, zda się, gorętszym się staje.

Co prawda, musiał się dość nasłuchać o tem, jak świetną jest partyą. Niejedna mama, a i córka pewnie, dawały mu do zrozumienia, że jest unikatem, więc z trudnością dostaje się do jego zarozumiałej głowy, iż jest taka, dla której „solidna firma“ niema uroku. Coś mnie od niego odpycha; w jego prawość, w jego wyższość nie wierzę, jego frazesy brzmią pustką. To Fary-

zeusz. Gdy z nim rozmawiam myślę o Faryzeuszach.

Zazdrosny o Ksawerka...

Czemu nie o Janusza? To dziwne, przecież Janusz ma u mnie zupełnie te same widoki, co Ksawery. Najpierw Ksaweremu ani w głowie starać się o mnie, powtóre, mimo ujmowania się za nim, trudno nie przyznać słuszności temu, co Tadeusz o nim głosił. Do pewnego stopnia tylko, naturalnie, bo dużo przesady było w słowach jego, ale, że Ksanio jest, jeżeli nie opętany, to fantastyk, że na niego trudno liczyć, że nie daje gwarancyi...

— Ba! te gwarancye! Sędzicki cieszyłby się, że jego pupilka żargonem jego tak już biegle mówi.

Ostatecznie Janusz jest przemiły. Im lepiej go poznaję, tem sympatyczniejszy dla mnie; to taka zacna, prawa, poczciwa natura. Znowu przyjechał do Marylki, znowu na kilka tygodni. Wiem, dla kogo i powtarzam sobie: „Ninetko, czego ty szukasz, kogo ty wyglądasz? Zmartwychwstałego Stasia? Przecież on nie wróci. Niema go, niema.“

A ta wiosna się zbliża, i mnie tak okropnie smutno, coś mnie przeraża, życia się boję. umrzećbym chciała, i czuję, że tak dalej być nie może, nie może.

I znowu patrzę w okno... Ach! te brzozy! Wyciąć je, czy co? One już pod wpływem słoń-

ca inaczej wyglądają, już widać metamorfozę; czary, zachwyty przed niemi!

A dla mnie?

Nic, nic, nic...

Maj, czwartek.

Wiedziałam, dla kogo Janusz znowu przyjechał w te strony, a teraz wiem od niego samego i dziwię się sobie, dziwię coraz bardziej; sama siebie nic a nic nie rozumiem.

Wyszłam dwa dni temu, tak, we wtorek, przedwczoraj, wyszłam swoim zwyczajem o tej samej codziennej porze do lasu, zdążając na moje zwykłe miejsce. Zastanawiałam się głęboko, jak tę kaplicę postawić. Tylu mam doradców. Tadeusz poleca mi jakiegoś młodego budowniczego, który ma talent wielki, a jeszcze nie wyzyskuje. Marylka radzi inaczej. Wolałaby styl „odrodzenia,“ niż gotyk, jako zbyt kosztowny, a na niewielką skalę budując, dowodzi ona, że gotyk jest nietrwały, ozdoby wieżyczki ulegną prędko zniszczeniu. Ale ja „*renesance*'u“ nie lubię; to już takie zbanalizowane. Bizantyński z kopułką? Niebrzydki, ale jakżeby to tu wyglądało? Więc grecki? szalenie trudny. Proporcye zachować to prawie rzecz geniuszu. Harmonia linii! kto to potrafi? Ach Boże! Maurytański, co to za cudo styl ten! ale toby się pew-

nie Stasiowi nie podobało. Nie, to wspomnienie byłoby mu pewnie niemiłe. Nie można. I uparcie wróciłam do gotyku. Cała jestem tej myśli oddana. Za pół roku będą pieniądze, więc można plany przygotować i wybrać. Mam o czem myśleć i jakoś mi lepiej na świecie. Naturalnie, że mi lepiej, powino mi być lepiej, choćby dlatego, że to maj

Ta kaplica, którą nareszcie w rzeczywistość zamienię, gdy dotąd trapiła mi tylko imaginacyę i prześladowała mnie jako *votum* niespełnione, uśmiecha się do mnie, już ją widzę. Za mną dążyło sześć mopsików „moich.“ Castrelka zawsze je nazywa „mopsami Ninki“ i zachęca mnie do pełnienia względem nich obowiązków właścicielki, do wyprowadzania ich na przechadzkę, ale tylko wtedy, gdy zbytnio szpitalem zajęta, sama wyjść nie może.

Otóż szłam tak zatopiona w myślach, a przed oczami coraz to inna kaplica mi się rysowała. Nagle z sześciu psich gardzieli wydobyło się sześć przeraźliwych pisków, do szczekania podobnych, i wszystkie razem pobiegły ujadając przeraźliwie z pozawijanymi w górę ogonkami w stronę zarośli, za któremi ja nic jeszcze nie widziałam. Ale po krótkiej chwili wydobył się stamtąd łeb koński, znam go, to Werwa wierzchówka Marylki, a na niej nie ona, tylko Janusz. Bardzo się ucieszyłam i okazałam to wyraźnie, bo dawno już przebaczyłam

mu owe przewinienie w czasie styczniowej szlichtady; po zastanowieniu, trudno przecież brać za złe człowiekowi, gdy kobietę rajem i wiosną nazywa. Czemu w tem upatrywać lekceważenie, gdy może on rzeczywiście widzi we mnie to wszystko.

Choć mnie to dziwi.

Ale mniejsza o to. Gdy Janusz z konia zeskoczył, wesoło podałam mu rękę, mówiąc:

— W samą porę pan się zjawiasz, może przetniesz węzeł gordyjski.

— Tem lepiej, i tem oryginalniej, bo ja właśnie z tą samą prośbą do pani dążę.

— To pan do Krusznicy jechał?

— A dokądże? przecież jestem na gruncie Krusznicy i tędy droga do pałacu.

— Tak, ale tędy droga także do Bielewskich.

— Och! zapomniałem o ich istnieniu.

— Bardzo pan niewdzięczny, ciocia Lorcia tak pana ceni

— Pochlebia mi to, i ja ją cenię, ale to taki cichy, nienarzucający się sentyment. Wogóle rzadko myślę o „ciociach“

— Tam jest córka cioci!

— Doprawdy? nie wiedziałem.

— Jakto nie wiedziałeś pan? przecież rozmawiałeś z nią tyle razy.

— Być może, ja tak często rozmawiam machinalnie, ani wiem z kim. Ale niech mi pani

powie przedewszystkiem, jaki jest ten węzeł gordyjski, który mam przeciąć?

— Chodzi o kaplicę. W jakim ją stylu stawiać? Nie mogę się zdecydować.

— Coś malowniczego naturalnie. Gdzie ma stanąć?

— Tutaj, między temi dębami i lipami, to jest z jednej strony ma być prawie w cieniu tych powag leśnych, a z drugiej polanki, wogóle front, tył i jedno skrzydło, mają być całkiem odsłonięte dla perspektywy.

Janusz pomyślał przez chwilę.

— Czy to stosowne miejsce na kaplicę? Choć bardzo malownicze, ale trochę za ustronne.

— Myślę, że nie, tylko kwadrans drogi od wioski. Gdy będzie msza, bo co kilka tygodni ksiądz przyjedzie, niedaleko dla ludzi i dla mnie również.

— O! dla pani! pani tu przecież całe życie mieszkać nie będzie w tej samotni.

— Naturalnie, że tu, a gdzież? — zawołałam mocno zdziwiona, nie namyślając się na razie o co chodzi.

On zamilkł, a to milczenie wyjaśniło mi jego intencyę, więc prędko na neutralny grunt kaplicy wróciłam.

— Więc jaki styl pan radzisz? i wszystkie „*ale*" stylów chodzących mi po głowie przedstawiłam.

— Tu jest idealnie odpowiednie tło dla stylu Maryi Tudor.

Ucieszyłam się ogromnie jego pomysłowością. Przypomniałam sobie mój zachwyt nad starymi kościołami, gdy mnie Staś do Anglii zawiózł i podróżowaliśmy trochę po kraju całym. Okrągłe wieżyczki do baszt podobne, oryginalnie i jakby bez planu do sterczących, szpiczastych daszków poprzyczepiane, wszystko razem ma wygląd taki archaiczny, a taki malowniczy, niby ruina odwieczna, a przecież odporne to na wszystkie ciosy i niebezpieczeństwa.

— Ma pan słuszność. Jak to dobrze, że pana zapytałam, a mnie to na myśl nie przyszło, tego u nas w kraju wcale niema; po wsiach albo gołębniki, albo stodółki, zamiast kapliczek, albo też pretensyonalnie ciężkie, bez fantazyi i rysunku pseudorenaissanse. Naturalnie, że taka tu stanie kaplica, taka, a nie inna.

Janusz patrzał na mnie i uśmiechał się do mego zachwytu i milczał swoim zwyczajem. Ja również zamilkłam, bo nagle jaśniej zarysowała mi się w głowie myśl, że gdybym... gdybym...

Trzeba byłoby Krusznicę opuścić, ten ktoś zabrałby mnie z sobą, a ten ktoś nie byłby Stasiem... Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad tem.

I tak siedzieliśmy przez długą chwilę, głęboko zadumani oboje, na moim pniu brzozowym,

białą korą tak czysto odzianym; pnia tego ruszyć nie pozwoliłam, bo mam na nim takie wygodne siedzenie, nizkie jak otomanka, a w miejscu gdzie duży konar w górę się wygiął, mam oparcie, jak w wygodnym fotelu.

I nastała cisza. Nawet mopsy rzędem posiadały naprzeciw Werwy i przyglądały jej się bacznie, uważnie, z powagą, wziąwszy ją pod najściślejszy egzamin. Czasem tylko który łapką podrapał się w głowę albo szczeknął krótko, robiąc głośną, a niedyskretną uwagę nad wierzchówką. Werwa niedbale skubnęła czasem trawy, ale zresztą ciekawie a spokojnie spoglądała na sześć par mopsich źrenic w nią wlepionych, i pewnie dumała nad tem, do czego to mogą służyć takie małe kółka, do zwierzęcia trochę podobne, śmieszne psiątka, jeżeli to psiątka, bo takie różne od wiejskich kundlów, hałasujących i skowyczących zapamiętale, ile razy wynajdą powód ku temu. Ordynarne, źle wychowane psiska, których Werwa nienawidzi i z pogardą bardzo wyniosłą traktuje, ale te oto całe pół tuzina, do czego to służyć może i co komu po tem?

W naszem przydługiem milczeniu machinalnie uwagę zwróciłam w stronę Werwy i mopsów i zastanawiałam się, co te nieme stworzenia wzajemnie o sobie myśleć mogą, gdy Janusz się odezwał:

— Jak tu ślicznie, jak tu dobrze, jak tu cicho...

— Spojrzałam dokoła siebie i ponad siebie. O! prawda, że i ślicznie i dobrze i cicho. Nad nami obłoczki karbowane, srebrne, cichutko płynęły po głębokim błękicie, podobne do nieprzeliczonego ciągu mew z rozwiniętemi skrzydłami, zawieszonego prawie nieruchomie w przestrzeni. Dokoła las. Las liściasty, całą gamą zieleni szumiący z cicha, całą gamą szeptów i szmerów. W głębi polanki pięć wspaniałych świerków, w powłóczystej, żałobnej jeszcze szacie. Zaledwo na samym koniuszczku ich gałązek, słońce zaczynało zapalać światełka złoto różowe, ale jeszcze nie miały na sobie świeżych, jasnozielonych pędów pachnących, które tak mi przypominają choinki gwiazdkowe, zdobne setkami świeczek. W pobliżu świerków, niby nieopodal matron poważnych, grono wystrojonych panienek: kilka czeremch biało odzianych i bardzo silnie pachnących, kilka kalin z liściem świecącym i z drobnymi paciorkami na sukni, i kilka brzózek młodych, a giętkich, najswawolniejszych, bo lada podmuch, a już gałązki kołyszą się z lekka, falują, kokietują nawet z motylami, które lubią rojem się bujać pomiędzy panienkami. A tam gdzie dęby, tam liści niema jeszcze, tylko nabrzmiałe pąki na pół rozchylone i między ich konarami, posplatanymi w dziwaczne wzory, niebo przegląda, jak przez gęstą siatkę,

a światłość z góry, przedarłszy się między ogniwa dębowej sieci, pisze na trawie u stóp olbrzymów złote litery. Któż je wyczyta?

Ale to wiosna. Nawet te literki, z słońca utkane, tańczą cichutko po miękkich ziołach, ślizgają się i czołgają, jak po aksamicie, bez szelestu, bez szmeru i w tył i naprzód, i w górę pełzną po pniach dębowych, to schodzą śpiesznie i huśtają się na leśnym goździku strzępiastym. A puste panienki, brzozy i kaliny, czeremchy i wierzbina, szepcą sobie, śmiejąc się do siebie: „Patrzcie no, patrzcie, na tych staruszków! Już nawet te owdowiałe matrony świerkowe, wieczną żałobę zdołały ożywić, już i modrzewie prątki w piórka ustroiły, już olchy zdobyły się na zieloną, przejrzystą osłonkę, i jesiony, choć marudy, przecież coś tam na nich widać nakształt ozdoby, i te babcie lasu całego, lipy odwieczne, ot tam na lewo brząkać zaczynają w listeczki, pszczołom kwiaty obiecując. A stare dęby ospałe, gnuśne, leniwe, zapleśniałe kolosy, jedne świecą jeszcze nagością, aż sromota bierze, kiedy las cały się stroi!...

— O czem się pani zadumała tak głęboko?— przerwał milczenie Janusz.

— O lesie.

— Dobre miejsce wybrała pani, aby wyrzeknąć: Zbudujemy tu świątynię.

— Dobre, tylko nie proponowałabym tak, jak apostołowie, aby Danielowi...

— Oni nie proponowaii Daniela, tylko Eliasza.

— Ach! to wszystko jedno, i to prorok i to prorok, a ja proroków nie lubię, chociaż Daniel, jako mąż biednej Zuzanny, jest dla mnie sympatyczny.

— Przebóg! Daniel nie miał żony; on był obrońcą Zuzanny, nie mężem.

— Ach! to wszystko jedno. To tak dawno. Jak pan to wszystko pamiętasz! Podziwiam, lepiej od Castrelki.

— Przecież na to pamięci nie trzeba, to się już z mlekiem matki wyssały takie wiadomości biblijne; wstyd nie wiedzieć.

— Nie wstydzę się, ani myślę. Nlech pan nie moralizuje, nie marudzi...

Znów chwila ciszy zaległa, takiej względnej ciszy, leśnej, wiosennej, gdzie wszystko, co w lesie żyje, gadatliwem, pełnem wylania, zwierzeń i serdeczności wzajemnej się staje.

Więc też nagle wilga swoje melodyjne „Fiju Fiju, Fiju Fiju" wynuciła — to wilga mąż, a głosik pokorny wilgowej żony, bardzo uniżonej i przykładnej żony, odparł nieśmiało: „Na twoje rozkazy, na twoje rozkazy."

— Słyszała pani wilgę?—zapytał Janusz,— zapamiętale lubię głos tego ptaka.

— Słyszałam i jego wołanie i jej odpowiedź.

— Ba! to pani jest *au courant* rozmowy?

— Jestem. Ja ich tu wszystkich rozumiem, wilga—to mąż sułtan, padyszach, despota; wilgowa—to pokorna służka.

— Ilu pani językami mówi! I ptasie i kwiatowe i ziół i motyli, wszystkie pani rozumie.

— Rozumiem, ale nie mówię niestety.

— Czemu: niestety?

— Ach Boże! Gdy mi bardzo, bardzo nudno, co się tak często zdarza, to tak chętnie porozmawiałabym z mopsami choćby, a cóż dopiero z jaskółkami naprzykład!

— Tak pani nudno?

— Nie zawsze, ale czasem okropnie!

— Pani Ninetko.

Spojrzałam na niego z wymówką, on wie, że mu tak mnie nazywać nie wolno.

— Przepraszam — już nie będę, chociaż, chociaż właściwie—i począł się zacinać —chciałem panią prosić, by mi było wolno, by...

Zaciął się na dobre, ja mu nie podałam ręki na ratunek.

— *Voyons, c'est trop bête*—mruknął sam do siebie dość wyraźnie.

Mnie siła magnetyczna przykuła do pnia brzozowego, choć mętne jakieś, niewyraźne uczucie dyktowało mi, iż najlepiej byłoby wracać do domu.

— Pani Ninetko —zaczął nareszcie mówić Janusz, teraz już płynnie—sama mówisz, że ci nudno, naco się skazujesz na taką samotność?

Tyś nie do samotności stworzona. Młoda jesteś i czas wielki do świata żyjących powrócić. Szkoda nam pani, smutno światu bez ciebie; taki świat pusty, gdy pani brakuje, ach taki pusty!

— Co się panu zdaje? panie Januszu! ani świat spostrzegł, że mnie w nim niema, wiruje naprzód, zawsze pełen, zawsze głośny, aż mi żal czasem, że jedna istota ludzka tak bardzo mało znaczy i taką mikroskopijną gra rolę, ot, taką, jak te płomyczki świetlane, zwijające się na murawie — i zapalają się, i gasną, i błysną, i znikną, i słońcu to różnicy nie robi, ani ciemniej na świecie dlatego.

— Tego pani nie wiesz, trzeba pytać roślin, na których płomyczek spoczął, gdy się w cień zapadną po jego odejściu.

— Panie Januszu...

— Słucham panią.

— Jeszcze nie dzisiaj...

— Czemu nie dzisiaj?—zapytał, od razu rozumiejąc, o co mi chodzi.

— Bo tak nam dobrze!

On nagle pochwycił obie ręce moje i przykląkł, naprawdę przykląkł, choć mi się to dziś nieprawdopodobne wydaje, i zapytał tak błagalnie, że mi się serce ścisnęło.

— A tak nie lepiej? o lepiej, lepiej!

Nie śmiałam wyrwać mu rąk przemocą. Więc on odbył spowiedź swoją, i dusza moja wdzięczna mu jest za miłość taką.

— Słuchaj Ninetko, mówił patrząc mi z blizka w oczy, słuchaj, a nie broń mi choć raz jeden w życiu nazwać cię tem najsłodszem dla mnie imieniem. Słuchaj prośby mojej. Oddaj mi te rączki na wieki, oddaj mi je, będę je czcił jak świętość, będę ci przyjacielem i opiekunem, jeżeli czego innego nie chcesz jeszcze, będę ci wszystkiem, wszystkiem, gdy zechcesz. Nie przerywaj, dziecko moje serdeczne, nie przerywaj; ty nie wiesz, bo wiedzieć nie możesz, boś ty dzieciątkiem jeszcze i zawsze, i zawsze ukochaniem mojem, mojem maleństwem, co to nic nie wie, nie rozumie, pozostaniesz dla mnie. W tem czar twój, nie gniewaj się na mnie, bo ja tobie, takiej właśnie duszę oddałem. Oddałem, jedyna! I żyć bez ciebie, to żyć mi bez duszy własnej. Więc nie odpowiadaj mi teraz, jak to dziecko nieświadome, bo mogłabyś błąd popełnić. Cicho! cicho! nie mów — kończył głosem stłumionym, z trwogą w oczach — gdybyś mnie odepchnęła! o! nie, Ninetko! nie rób tego. Żałowałabyś potem. Tyś taka dobra; ty w świecie naszym szarym, pełnym kobiet płytkich, złośliwych, próżnych, ograniczonych, zepsutych, ty kochanie moje jesteś takim wyjątkiem, ty jesteś piękno, ty słodycz, ty dobroć, ty jedyna! Zostaw te ukochane rączęta twoje w moim ręku, na zawsze, co Ninko? na zawsze!

I tak błagał, tak rzewnie, tak serdecznie

patrzał na mnie. Serce mnie bolało jakimś ostrym, nieznanym bólem, nie czułam w sobie odwagi jednem krótkiem, banalnem słowem druzgotać nadziei tego człowieka. I łzy zaczęły mi do oczu napływać i toczyć się wielkie a ciężkie, coraz prędzej i prędzej po twarzy. Musiałam odebrać mu ręce, aby te nieznośne łzy osuszyć. On wtedy usiadł obok mnie znowu i patrzał na mnie, a ja płakałam coraz goręcej, tak, że w końcu płacz ten w łkanie się zamienił.

Czego płakałam? sama nie wiem.

Widocznie nie śmiał pytać, bo znowu cisza zaległa i dopiero gdy tak długo utulić się nie mogłam, schwycił znowu rękę moją, a całując ją mówił:

— Nie chcę cię męczyć, pani moja. Uspokój się. Czemu płaczesz, ukochana? Czy ci przykrość zrobiłem?

Głową poruszyłam przecząco.

— Patrz dziecko — i wskazywał na bukiet leśnych storczyków — widzisz te kwiaty? widzisz te motyle nad niemi? Kwiaty samotności nie znają, ani motyle, ani ptaki, ani drzewa. Słyszysz słowika?

Już się miało ku wieczorowi, a słowik od chwil kilku zaczął nucić swoją pieśń majową.

— Słowik ma komu śpiewać i drzewa do kogo szeptać i kwiaty mają komu pachnieć, a ty samotna, jak taki koliber złoty, samotna czyż to możliwe? A droga moja! gdybyś ty choć

przeczuć mogła, czem jest taka miłość silna jak życie, głęboka jak otchłań i wzniosła. Tak, wzniosła, Ninetko, bo ja ciebie kocham świętą miłością, jaką niewiele dziś kobiet natchnąć potrafi i mało mężczyzn odczuć umie. Ty we mnie budzisz uczucia, o których pojęcia nie miałem; coś dziwnego na widok twój dzieje się we mnie; chciałbym cię błogosławić, chciałbym cię w przestrzeni unosić zdała od ziemi, i siebie i ciebie duchem uczynić. Czy ty to rozumiesz? to przecież czysta jest miłość taka. Ty dla mnie gdzieś w błękitach taka świetlana, i niepochwytna.

Puścił rękę moją i ukrył głowę w dłoniach i westchnął głęboko, i przyciszonym głosem, więcej zdawało się do siebie, niż do mnie mówił dalej.

— To dziwne, ale ty prawdziwie niepochwytną mi się wydajesz. Nie umiem wyobrazić sobie ciebie moją, zanadto cię kocham, więc na myśl samą, że ty przestałabyś być mojem marzeniem tylko, a stałabyś się rzeczywistością, to mi tchu w piersi brakuje; nie zdaje mi się, żebym mógł znieść szczęście takie, to chyba nie z tego świata.

Cisza znowu, 'przerywana ujadaniem znudzonych mopsów, upędzających się za muchami, a Werwa oczy przymknęła i stała zadumana.

Ja płakać przestałam; słuchałam uważnie.

Jakieś echa budziły się we mnie i rytm pieśni słowiczej kołysał mnie słodko, a Janusz, czyż i on nie nucił pieśni słowiczej?

— Ale przecież czas już wiedzieć i boję się. O Ninetko! jak ja się ciebie strasznie boję, choć ty tego nie przypuszczałaś nigdy. Pomyśleć, że w takiej maleńkiej rączce może się taka potężna siła mieścić; że w takich dziecinnych oczach taki magnes, przykuwający silniej, niż wszystkie pęta, przez człowieka obmyślane. Co ty masz w sobie, kobieto, powiedz, co w tobie takiego, że tak jednem spojrzeniem zabierasz sobie duszę człowieka, serce jego?

I patrzał na mnie takim wzrokiem, że oczy spuściłam, nie mogąc wytrzymać spojrzenia.

I znowu to samo echo. Już wiem, już rozumiem, to on, on jeden tak mnie kocha, jak Staś. Nikt inny tak mnie kochać nie będzie.

— Słuchaj ty moja — mówił słowik, czy Janusz—słuchaj, zanim odpowiesz. Tyś cudna, a przecież ja wiem, że nie ciało twoje kocham, tylko duszę. Tyś bogata, a wiem, że gdybyś była ubogą i pozbawioną wszystkich potrzeb życia, to poszedłbym za tobą na kraj świata i klęczałbym u nóg twych i modlił się do ciebie, jak dzisiaj. Tyś podziwiana, a na drodze twej same hymny na cześć twoją i pochlebstwa a zachwyty; ale gdyby cię nikt godną uwagi nie znalazł, to kochałbym cię tak, jak dzisiaj, a mi-

łość moja nie wypali się nigdy, nigdy, tak jak słońce wypalić się nie może.

Na chwilę zamilkł—i szeptem mówił:

— Odkryłem przed tobą duszę moją, ani wiedziałem, że się na to zdobędę. To pewnie ten słowik dodał mi odwagi—rzekł uśmiechając się, dobry przykład dużo znaczy.

I ja się uśmiechnęłam, bo taką harmonią oblana byłam zewsząd, w takich blaskach zachodzącego słońca wszystko było skąpane, takie uroki, jak tajemnicze fontanny biły zewsząd, takie kaskady kryształowych dzwonków płynęły z gardziołka słowików, taki się zapach unosił balsamiczny od konwalii i macierzanki, i tak było dobrze, tak cicho, taka się czułam utulona, spokojna, że gdy Janusz wyciągnął do mnie dłoń otwartą i zapytył tak cicho, tak cicho, że nie słyszałam, tylko czułam co mówi: „Tyś moja?“, wsunęłam rękę w tę jego zacną dłoń opiekuńczą, a on mnie przygarnął do siebie, jako własność swoją, ostrożnie, delikatnie, trwożnie prawie, aby mnie nie spłoszyć, ja zaś po głupiemu! ach! tak po głupiemu zaczęłam znowu płakać i płakać bez końca i uspokoić się nie mogłam.

Po włosach mnie całował i tulił serdecznie, i tak jakoś, tak, że się ani zażenowaną, ani zdziwioną nie czułam. I dobrze mi było wypłakać się na jego ramieniu, a tak namiętnie, że zdawało mi się, iż duszę wypłaczę.

— Może żałujesz? — pytał Janusz zdławionym głosem, a zanim domówił ostatniego słowa, głos ten złamał się i prawie w jęk zamienił.

Znowu ruchem głowy tylko zaprzeczyłam i powstałam z miejsca.

— Zimno ci? — zapytał.

— Nie.

— Chcesz wracać?

— Już późno.

— Czy cię odprowadzić?

— Nie, wolę, wolę sama — odparłam, wahając się.

— Jak każesz.

I pochwycił znowu moje ręce i pytał znowu, w oczy mi patrząc błagalnie.

— Więc moją jesteś? doprawdy moją?

— Tak.

— Powiedz Ninetko „twoją" — powiedz „jestem twoją."

— Jestem twoją — powtórzyłam jak echo.

Jakoś smutno spojrzał na mnie, długiem, tęsknem spojrzeniem obrzucił mnie raz jeszcze, skoczył na Werwę i pojechał.

I pojechał... Przedwczoraj to było... Pisał wczoraj zapytując, kiedy może być u mnie? — Odpowiedziałam: „Jutro." Czuję wielką delikatność w tem jego zapytaniu i bardzo mu jestem wdzięczna, bardzo, bardzo i za tę miłość

jego szlachetną i za wszystko. Powinnam być szczęśliwą.

Dziś będzie tu wieczorem.

Niedziela.

Już wiadomoś o zaręczynach moich z Januszem rozeszła się po świecie. Oprócz Janusza, codziennego gościa i Marylki, nikt u nas nie bywa. Chcą nas „naszemu szczęściu" zostawić.

Jak się to dziwnie a prędko, i wbrew moim oczekiwaniom zrobiło! To pewnie ten maj, i to tło czarowne, i te zapachy upajające...

Chociaż ja upojoną nie byłam...

Co się to stało, mój Boże? Co się stało? Stało się, że jestem szczęśliwa. Jestem? Jeżeli nie jestem, to powinnam być. Ba! powinnam, gdy o szczęściu mowa! Promień słońca nie pyta, gdzie i kiedy powinien padać.

Więc nie jestem szczęśliwa? Nie wiem. Czy nie wiem, czy nie chcę wiedzieć? To wiem, że Marylka i Janusz są szczęśliwi. Najpierw wymieniam Marylkę, bo ona jest, bez zastrzeżeń, jak dziecko, cieszy się moją decyzyą.

Decyzyą? To dziwne! Tak prędko? Jak się to stało, że ja się zdecydowałam? Przecież dzień przedtem nie śniło mi się myśleć o tem. Wpływ powietrza, wpływ chwili, wpływ otocze-

nia, suggestya... Kiedyż ja wpływową nie byłam? Zawsze dawniej Andzia ostrzegała mnie.

— Nino, uważaj na siebie, wyrób w sobie charakter, jesteś wpływowa.

Pamiętam, jak mnie to gniewało. Zresztą nie żałuję. Przecież byłabym chyba bryłą granitu, a nie kobietą, gdybym takiego Janusza dręczyć miała. Kiedy słowik tak śpiewa swojej wybranej, to ona go słucha, a ja miałam w dzień taki odpychać od siebie takiego człowieka i ból mu sprawiać? Przecież to byłoby niegodziwością. Wolę, że on szczęśliwy przeze mnie.

Czy on szczęśliwy? Jakoś zupełnie inaczej, niż myślałam, że będzie. Więcej zamyślony, niż kiedykolwiek, cichszy jakiś, a patrzy na mnie, gdy myśli, że nie uważam, patrzy takim badawczym wzrokiem, jak gdyby chciał tajemnicę jaką wyrwać mi z duszy.

Tajemnicę? niema tajemnicy. Powinnam być szczęśliwa i koniec; dużo znaczy dobra wola. Zresztą ja dobrze wiedziałam, że trudno mi będzie zdecydować się, no, i jako konsekwencya zdecydowałam się tak łatwo! Ale przecież trzeba było raz spróbować, czy mi nie będzie lepiej w innych warunkach, skoro mi w tych źle było.

Dziwny ten Janusz, czemu on się nie weseli, kiedy się stało to, czego tak bardzo pragnął! Oj! gdy za niego wyjdę, spalę tę książkę, spalę, bo przykro byłoby mu słowa te wyczytać.

Bo też to dziwna mania, to notowanie wrażeń swoich; co mi potem? Tak, ale ciekawa jestem, z kim się wrażeniami podzielę? zadusiłyby mnie, bo smutne czy wesołe, ujemne czy dodatnie, są zawsze silne. Castrelce się zwierzać? No, już wolę mopsów; one by głębiej współczuły, a przynajmniej uważniej słuchały. Ona zawsze roztargniona. Gdy się dowiedziała o tem, trochę nieopatrznie zawołała.

— Za Janusza? moja Ninko, czemu nie za Tadeusza? ja i Sędzicki takeśmy pragnęli.

Lecz zastanowiła się i poprawiła:

— Ale zresztą... byleś była szczęśliwa, byle ci dobrze było, Bóg z tobą kochanko, Bóg z tobą.

Zasmuciła się jednak, straciła humor i widocznie uparcie dręczyła ją myśl jakaś.

— Co tobie?—pytałam kilkakrotnie.

— Nic mi nie jest, maleńka, nic, nic.

Aż w końcu, na ponowne zapytanie moje, rzekła:

— Widzisz, córuchno - często mnie „fillette“ „córuchną“ nazywa, no, ale i starą kotkę, gdy się zapomni i myśli, że nikt nie słucha, tak samo mianuje, więc mnie to nie rozczula. Widzisz córuchno, jak ty pojedziesz, boć on cię pewnie do siebie zabierze, to co się zrobi ze zwierzyńcem?

Ach! to o to chodzi biedaczce! uspokoiłam ją prędko. Póki Krusznica Krusznicą, a Castrelka Castrelką, póty zwierzyniec zwierzyńcem. To moje stanowcze oświadczenie wróciło jej zupełną swobodę i prędko zapomniała o zmianie, na jaką się zanosi w mojem życiu.

Wielka zmiana, olbrzymia zmiana! Uff! Ach, gdyby tak odetchnąć!

Jaki on jednak i zacny i dobry i kochany i jak mnie kocha! Aż mi ta miłość jego niezwykła Stasia na pamięć przywodzi, coraz częściej, coraz częściej. Może dlatego mi smutno?

Czerwiec.

Janusz wyjechał, już tydzień temu wyjechał, ale jakoś nie miałam humoru do pisania. Widocznie nie doznawałam żadnych wrażeń, ani dodatnich, ani ujemnych.

Zato wczoraj doznałam, więc dziś piszę.

Może Ksawery ma racyę? może ja doprawdy jestem tak słaba, że na mnie nawet koty Castrelki wpływ mają? Zresztą, co mnie to może obchodzić, jaką Ksanio ma o mnie opinię?

A jeżeli mnie to obchodzi?

Jeżeli?? Najpierw nic o tem nie wiem, a potem, jeżeli mnie obchodzi, to tylko jeden dowód więcej, że nawet kominiarz miałby wpływ na mnie, gdyby chciał.

Mój Boże! Jak się ten Ksanio zmienił od tej pory, kiedy kominiarza udawał. Chociaż, co prawda, on i wtedy już robił co chciał ze mną. Pamiętam, że Castrelka nie pozwoliła mi chodzić do stajni i psów tresować, co było moją rozkoszą, sportem najprzedniejszym; otóż lat wiele temu Ksawery namówił mnie do tajemnej wyprawy do stajni. Stary stangret Wojciech dał nam postronków, sprzęgliśmy czwórkę taksów, o co jeden taks uważał za stosowne na mnie się obrazić i pomsty na mojem ręku szukać. Ugryzł mnie w piąty palec i krwią splamiłam ładną spódniczkę, a łzami ładny staniczek, i w dodatku Castrelka mnie złajała, bo mnie Ksawerek namówił, bym się wyparła owych stajennych odwiedzin i skłamałam, a mama, choć ją mój palec więcej pewnie bolał ode mnie, też mnie złajała za kłamstwo. Pamiętam, jak mówiła do Castrelki: „Trzeba pracować nad jej charakterem, ona woli nie ma; gdy sama, to idealne dziecko; ale gdy ją inny bęben namówi do złego, to wszystko zrobić gotowa.

Voila. Tylko, że Castrelka nad moim charakterem pracować nie umiała, a mama nie miała czasu biedaczka, i tak... wszystkie złe dzieci do wszystkiego złego mnie namawiają, a wszystkie dobre do wszystkiego dobrego.

Ja to czuję, oj! czuję.

No, ale wychodzę za Janusza właśnie dlatego, że on dobre dziecko, a nie za Ksawerego,

dlatego, że on złe dziecko... Ba! gdyby mi choć kto dowiódł, że Ksanio jest złe, a nie biedne dziecko... Kiedy właśnie mnie się zdaje, że on bardzo biedny i, że mnie go bardzo żal.

Tak, czy inaczej, jestem narzeczoną Janusza, najlepszego chłopca pod sklepieniem niebios i wogóle o Ksaniu wcale myśleć nie potrzebuję. I nie myślałabym z pewnością, gdyby nie to, że mnie podrażnił i obudził we mnie jakieś głuche, niewyraźne uczucie, bardzo przykre, bardzo gnębiące, ale nie wiem, nie umiem zdać sprawy z tego, co się we mnie dzieje.

Wyjechałam wczoraj konno z zamiarem odwiedzenia cioci Lorci i Madzi. Tak blizko mieszkają, a dziwiło mnie i bolało ich odsunięcie się ode mnie. Banalnym listem złożyły mi obie życzenia swoje, a potem cisza. Od miesiąca, odkąd jestem narzeczoną Janusza, żadna z nich nie pokazała się u mnie. I Ksawery również nie odwiedził mnie od tej pory, ale on taki fantastyk, czasem bywał u mnie kilka razy na tydzień, to znowu po kilka tygodni się nie zjawiał, więc jego postępowanie mniej mnie dziwiło.

Chciałam przełamać te lody, które mnie mroziły i pojechałam do Rudzienki. Ciocia i Madzia przyjęły mnie serdecznie, choć mało okazały zainteresowania tak ważnem zajściem w mojem życiu, Ksawery zaś nie raczył mi życzeń złożyć, ani zapytać o Janusza, choć wogó-

le pełen był werwy, ale tej zjadliwej, niebezpiecznej. Z powodu takiego ignorowania spraw, najbliżej mnie obchodzących, czułam się trochę dotknięta i skrępowna wogóle. Madzia zwróciła uwagę na mój wygląd — mówiąc do matki:

— Patrz, mamo, jaka Nina mizerna, oczy ma takie podsiniałe; przybladła, zeszczuplała.

— Czyś ty nie chora, kochanko? — pytała ciocia.

— Nie, cioteczko, tylko bardzo wiele ruchu używam i konno i pieszo. Latem się rozkoszuję, chcę je wyzyskać, może zanadto się męczę.

Ksawery wmieszał się do naszej rozmowy:

— Pewnie najwięcej cię męczy to światowe życie, które teraz pędzisz?

Spojrzałam na niego pytająco.

— No tak — ciągnął dalej — przecież wieści zjazdów rodzinnych w Krusznicy tu nas dochodzą. Podobno co kilka dni u ciebie familijne obiady, a co kilka dni u twojej przyjaciółki, a potem „*au clair de la lune*“ powroty do domowych zagród i „*mon ami Pierrot*“ bardzo wtedy poetycznym być musi.

Domyśliłam się od razu, do kogo się odnosi ta zjadliwa uwaga, ale najlepiej było udawać, że nic nie rozumiem, a choć łzy zakręciły mi się w oczach, przecież zapanowałam nad sobą i w głos się roześmiałam!

— Bardzo jesteś dowcipny Ksawerku, powinieneś być brany jako typ „*ami Pierrot*“, bo od ciebie wartoby pożyczać, jeżeli nie pióra, to języka.

— Nikomu nic nie pożyczam, dziecko miłe, a ty tak się zaprawiłaś przy tej twojej przyjaciółce, że pożyczać nie potrzebujesz ani sarkazmu, ani ironii. Zgubiłem moją Ninetkę z lat dawnych, a szkoda! szkoda! takie to było urocze, a takie się to zrobi banalne, szablonowe w tem „*milieu*“.

— O jakiem „*milieu*“ mówisz właściwie?

— Naturalnie o tem, w którem żyjesz, biedna kobieto. Oni z ciebie zrobią prototyp proprowincyonalnych przesądów.

— Co nazywasz przesądami prowincyonalnemi?

— Wszystko, co płytkie i nudne.

— Nie mogę ani bronić, ani z tobą dysputować, bo po prostu nie pojmuję, kogo rozumiesz pod wyrazem „oni“ i do kogo słowa swoje odnosisz?

— Odnoszę do istot ograniczonych, nudnych i źle ubranych.

— Czyż ja z takiemi żyję?

— Jeżeli nie, to jesteś uprzywilejowana, na wsi bardzo trudno o innych.

— Rzeczywiście, trudno o dobrze wychowanych, żywy przykład mam w tobie.

Mówiąc to podniosłam się, zawsze jeszcze uśmiechnięta, ale z oczyma, które nic dobrego nie wróżyły, i podeszłam do cioci, by ją pożegnać. Ksawery zerwał się, schwycił mnie za obie ręce, przycisnął je do siebie i zawołał:

— O! gniewamy się! Nie, Nino, nie puszczę, nie pojedziesz, musisz zostać, przecież ja żartowałem tylko. Chciałem cię rozgniewać, chciałem choć raz wywołać w tobie coś prawdziwego, szczerego, życie obudzić. Boś ty w letargu, biedactwo. Chciałem zobaczyć, czy żyjesz?

Ręce wydobyłam z jego uścisku, ale nie chcąc okazywać urazy o to, co lepiej było za żart poczytać—odparłam:

— To złudzenie z twej strony, Ksaniu, ani się gniewam, ani potrzebujesz mnie budzić z letargu, w którym nie jestem; ale wracać muszę, bo późno.

— To ja cię odprowadzę, pozwolisz, co? niech i mnie raz będzie dozwolone towarzyszyć ci „*au clair de la lune*“.

I zanim odparłam na wyśpiewaną przez niego z patosem oklepaną strofkę, on już wybiegł, aby się przygotować do jazdy.

Ciocia i Madzia prawie nie przerywały naszej dość ostrej sprzeczki, z wyjątkiem swego zwykłego „O Ksaniu!“ One tak mało mówią wogóle. Madzi prawie nie słychać. Ale gdy Ksawery wyszedł, ciocia zwracając się do mnie,

z prawdziwie macierzyńskiem zapałem broniła go:

— Nie sądź Ksawerka wedle słów jego. To taka dziwna poza u tego chłopca, żeby się w najgorszem świetle przedstawiać. Wierz mi, że to grunt najlepszy, on by się własnem sercem podzielił, nieprzyjacielowi oddałby grosz ostatni. Tylko taki nieoględny, niewyrachowany, niepraktyczny. A! droga moja, i taki nieszczęśliwy!

— Nieszczęśliwy? zapytałam zdziwiona— dlaczego? co mu się stało?

— Nic mu się nie stało; ale to zanadto wrażliwa natura; nerwowy, odczuwający wszystko z podwójną siłą. Lada drobnostka potrafi go doprowadzić do takiego zniechęcenia, takiego ponurego smutku, że ja z Madzią rady na to znaleźć nie umiemy. Błagam niebo codziennie o anioła stróża dla tego biedaka. Jemu potrzeba łagodnej, kochającej go istoty; taka ocaliłaby go; miałby cel w życiu. Gdyby ją kochał, miałaby wpływ na niego, a tak, daje się unosić nerwom, chwilowemu wrażeniu, gubi się, a sam najgłębiej cierpi nad tem, i ja z nim, ach! i ja z nim—i nagle ciocia zalała się łzami.

Smutno mi się zrobiło. Byłabym chciała pocieszyć ją, ale słów znaleźć nie mogłam, bo i cóż matce w takim razie powiedzieć, coby smutek jej złagodziło?

Ucałowałam jej ręce pytając:

— Czemu go ciocia nie ożeni? najlepiej żonę mu znaleźć.

Ale obie panie westchnęły głęboko jedna za drugą.

— Czemu? — odparła ciocia — moje dziecko drogie, nie łatwo jest namówić Ksania przeciw jego woli. Dowodzi, że na męża nie stworzony. Takie ma szczęście do kobiet — dodała z widoczną dumą — ale co to pomoże? któż go zmusi.

Z daleka kroki usłyszała i natychmiast otarła oczy. Uśmiechnięta spojrzała na syna, gdy ten gotów do drogi, zwinny, wysmukły i tak bardzo stworzony do swego sportmańskiego stroju, stanął między nami.

— Służę pani—zawołał swobodnie—konie już gotowe, i ramię mi podał.

Ciocia i Madzia stanęły na ganku, aby nas widzieć odjeżdżających, a po kilku chwilach byliśmy już w alei kasztanowej, ciągnącej się długim drzew rzędem. Kwiaty ponsowe, jak płonące pochodnie, pozapalane były na wierzchu każdej gałązki, a tysiące drobnych tych płomyków, rozjaśniało nam drogę blaskiem od słońca zachodu czerpanym. I znowu doznałam wrażenia czegoś już znanego. Zdawało mi się, że taką, czy też podobną chwilę przeżyłam już w życiu. A może prześniłam tylko?

Przeżyłam, czy prześniłam, wszystko jedno!

Skąd mi się nagle Zygmunt przypomniał? Ten Zygmunt o którym nigdy nie myślę, bo na samo wspomnienie jego imienia doznaję tak przykrego uczucia, tak przykrego, jakiego musi doznawać długoletni, na wolność wypuszczony, skazaniec, gdy kto wyrazu „kajdany“, przy nim użyje. Nie spotkałam go przez cztery lata i mam nadzieję, że nie spotkam w życiu; a kajdany, w które za jego winą ja dobrowolnie się okułam wtedy kiedyś...

Boże! wieki temu. Może to nigdy nie było? Niestety, było, być musiało, skoro mnie te kajdany złego dziś jeszcze palą, jak gdyby z żarzących ogniw były spojone, i hańbę ich czuję jeszcze w sercu mojem, i pokutę za nie czyniłam te całe długie lata, a że mnie Staś opuścił, więc nietylko tę pokutę dobrowolnego zamknięcia, dobrowolnej ucieczki od świata, ale i tę, którą Bóg na mnie nałożył na całe życie, gdy mi ukochanego mego odebrał.

Nie, nie mogę dzisiaj pisać dłużej, nigdy o tem nie myślę wyraźnie, t. j. nigdy szczegółów z chwil jadem Zygmunta zatrutych nie wskrzeszam w pamięci. Po raz pierwszy imię to, dla mnie szatana uosabiające, skreśliłam i raz ostatni. Dosyć przecież, że pokutę znosiłam chętnie, ale czy wskrzeszać to, co samo z siebie martwe było i zgniłe?

Tak mi smutno, taka sama jestem, a taki

cudny list miałam od Janusza. Czemu, mimo to, osamotnioną się czuję?

Niedziela. Lipiec.

Tak gorąco dzisiaj! parno, duszno, ciężko, sennie...

Janusz powrócił kilka dni temu, ale na krótki czas tylko. Ogromnie zajęty. Przedewszystkiem przygotowuje dom na moje przyjęcie. Takby pragnął we wszystkiem mi dogodzić, więc co chwila nadchodzą paki z próbkami, wzorami, planami, a on mnie troskliwie wypytuje o gusta moje.

Gusta? Ja nie mam żadnych. Nie chcę mu przykrości robić, ale gdyby ów wielki salon, zamiast na galeryę zamienić, jak to zamierza uczynić, zechciał okleić papierem w bukieciki z maków i powiesić na nim oleodruki, to byłoby mi wszystko jedno. To nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Opowiada mi o obrazach mistrzowskich, jakie ma u siebie. Kocha się w malarstwie, ma dziwne do tego zamiłowanie, sam „pędzluje" także, podobno nieźle. Marylka zna się na tem i widzi w nim talent, ale ja się nie znam, więc nie wiem. Wogóle ja się na niczem nie znam, ani na ludziach, ani na sztuce, ani na mopsach, ani na astronomii, ani na interesach

ani na sercach ludzkich, na niczem. Skąpo obdarzyła mnie matka natura. Wiem tylko zawsze, że to lubię, a tego nie, że to kocham, a tego nie, że to mi się podoba, a to nie, ale to zwykle na opak ogólnych sądów ludzkich. Więc widocznie ograniczona jestem i cicho siedzę, sądów swych nie wyjawiam nikomu. Nie śmiem się z mojemi herezyami odezwać. Nikomu nie powiem, że wolę Grieg'a od Bacha, że wolę Krasińskiego od Mickiewicza, Tennyson'a od Shakespeara, że wolę strumień wśród olch i wierzbin od morza, że wolę Tanagretki od Venus z Mllo, że wolę i to i tamto i owo od innych bardzo pięknych rzeczy i że Wiktor Hugo jest dla mnie...

A, Boże mój! Co tu Wiktor Hugo przyszedł szukać w moim pamiętniku? *Pouvre grand homme*! któż śmie wspomnieć imię jego? Ja, proch marny!

Jak ja zazdroszę tej Maryi Baskirtsheff i tej Marie Anne Beauvé, że takie są z siebie zadowolone i tak bardzo pewne, że tylko to mądre, co one za dobre uważają, to dobre, co im się dobrem wydaje, to złe, co one potępią, a ci głupi, którzy im na słowo nie wierzą. Jak to wygodnie z takim „tupetem“ na świecie. Ja, niestety, czuję, wiem i nie taję, że moje marne zdanie jest tem w zgiełku wszechświatowym, czem brzęk muchy, gdy się huragan zrywa, więc też go nikomu nie narzucam i nie lubię,

gdy mnie ktoś o zdanie, o radę pyta, a Janusz ciągle ma do mnie pretensye, bym ja decydowała.

— Czy chcesz mieć swój salonik stylowy, czy fantazyjny? Ja ciebie w fantazyjnym widzę, coś nieobliczonego, nieokreślonego, nieprzewidzianego, coś podobnego do ciebie, coby z tobą harmonizowało.

— Czyż ja jestem taka nieokreślona, nieobliczalna? To dziwne! ja siebie mam za prototyp najzwyklejszej kobiety.

— Kobiecości, tak.

— Cóż za różnica między zwykłą kobietą, a jej charakterem kobiecym?

— Olbrzymia, jeżeli się pojmuje ducha nie literę. Prototyp kobiecości, to właśnie coś niepochwytnego, nieokreślonego, niezbadanego dla nas mężczyzn i dla was samych, a to, co rozumiemy przez „zwykłą kobietę“, to bywa najczęściej bezmyślna gąska, albo lalka pełna otrąb, zamiast uczuć.

— Każdy z was, moi panowie, przystraja, czy to swoją gąskę, czy to lalkę, w owe duchowe stroje pełne blasku i robi coś bardzo ponętnego, z wytworzonej przez swą imaginacyę Dulcynei.

— Bardzo ci na tem zależy, by mi odebrać iluzyę, pani moja? Daremna praca. Aby mnie przekonywać, musisz do tego użyć głosu twego, wejrzenia twego, myśli w główce twej po-

wstałej, a to wszystko wystarcza, by dowieść rzeczy wręcz przeciwnych twojej logice.

— Zwykły koniec logiki niewieściej, chcesz powiedzieć. Wszystko posiada, by przekonać; tylko w tem sęk, że jest nielogiczna, co? — dodałam z uśmiechem pobłażliwym.

Ja się taka pobłażliwa zrobiłam, czy apatyczna. To pewnie ten upał. Wszystko mi jedno. Skoro Januszowi z tem dobrze, że sobie ze mnie swój ideał zrobił, to niechże mu przyświecam w życiu, byle, światło ideału na światło ognika błędnego nie zamieniło się z czasem. Powiedziałam mu to.

— Jeżeli kobieta ma w sobie świetlistość duchową—odparł—to od mężczyzny zależy, czy wyzyska płomień na pochodnię swego życia, czy na błędny ogień.

Wszyscy zarozumiali jesteście, panowie. Wam się zdaje, że żony wychowujecie, że na żony wpływ wywieracie, że żoną kierujecie, że ona wiosłem w życiu, a wy sterem Tymczasem, nie łudźcie się. Jeżeli kobieta ma w sobie ducha odpowiedniego i mieć pragnie, to ona sternikiem będzie; jeżeli go nie ma, to się łatwo staje podwodną rafą, o którą się łódź wasza rozbija. I najlepsi z was, miewają najgorsze żony, dowód...

Ach dowód! Tak blizko, niestety. Dowód to Staś i ja. Przecież on chciał mieć wpływ na mnie, co? A najgorsi mają najlepsze żony, do-

wód Zygmunt i Anna. I tyle, tyle innych. Tylko popatrzcie i poszukajcie, gdzie te żony urobione, ulepione, ukute przez mężów? Gdyby tak było, to rzadziej widywalibyśmy kontrasty: dobrego sprzęgniętego ze złą, a złego z dobrą. Zły pociągnąłby w odmęt dobrą kobietę, dobry odmieniłby serce i umysł swojej towarzyszki, naprostowałby, nagiął, zmetamorfozował jednem słowem.

Czasem, czasem mężczyzna potrafi skleić sobie kobietę wedle swej fantazyi, ale to tylko takie sklejenie, jak gdy dzieci tekturowe panienki sobie zlepiają. To rzecz zewnętrzna. Potraficie nas wytresować co do powierzchowności naszej. Jeden z was lubi „*façon tailleur*“, inny Doucet, inny Redfern'a, inny import londyński, i wszystko w odpowiednim stylu. Jeden z panów a władców narzuci swej pani spokojne, sztywne ruchy, głos przyciszony, ukłon wzorowy; inny przerobi swoją z istoty cichej i lękliwej, źle ubranej i uczesanej na ostatni wytwór „paryżanizmu“, głośny w mowie i toalecie. To rzecz gustu. Gdy wam o to chodzi, to potraficie, ale wewnątrz?...

Hoho!... wewnątrz!

Żyjecie obok siebie 10 lat, 20 i 50, i do grobu zajdziecie cichutko kości wasze rozsypać, a nie wiecie jeszcze, czem była wewnątrz ta, którą „znaliście“ tak dobrze. Ani co ona myślała, ani czy myślała, ani co czuła, ani czy czuła,

ani co wycierpiała, ani czy cierpiała, nic nie wiecie, nic, nic. Gdy ją bardzo kochacie, wiecie, jak się ubiera i czy woli ostrygi, czy pralinki, świeże kwiaty, czy... dukaty. Hm, niech będzie do rymu dukaty.

Tak to sobie z Januszem rozmawiamy, gdy mi się chce rozmawiać, ale najczęściej nie chce mi się. Wtedy on mówi, a ja słucham.

— Horowitz wymaluje twój portret; *il ny'a que lui*, dla twego rodzaju, skoro Greuze umarł. Ale ja twych portretów będę miał bez liku, we wszystkich pozach, we wszystkich strojach, przez wszystkich malarzy najsławniejszych.

— Dziękuję panu. Może pan zechce za mnie pozować w takim razie, bo ja z góry uprzedzam, że nie będę.

Komicznie Janusz wyglądał ze swoją stroskaną miną:

— Jakto, nie będziesz? ani do jednego, ani razu jednego? będziesz — powiedz, że będziesz.

Aby go pocieszyć obiecałam, że raz się poświęcę, ale więcej nie.

— To z fotografii, byle schwycili podobieństwo, będę cię miał i w balowej tualecie i w peniuarku, i jako margrabinę z czasów Ludwika i jako motyla.

— O nie! nie! — wołała gwałtownie prawie — nie, jako motyla, to nigdy, nigdy!

Spojrzał na mnie zdziwiony, skądże mógł wiedzieć? I mnie wstyd było mego wybuchu.

— Przykrość ci zrobiłam? Czy nie masz zaufania do mnie? nie chcesz wyznać, dlaczego i w czem cię dotknąłem?

— Nie pytaj mnie, proszę, dajmy temu pokój. Nie cierpię motyli, niech to wystarczy. Głupie fruwające plamki kolorowe, nie cierpię!

I zmieniłam temat rozmowy.

Lipiec.

Gdy z nim konno wracałam do domu, t. j. gdy mnie Ksawery odprowadzał, powiedział mi pamiętne słowa, narzucające mi się od tej pory co chwila.

— Reakcyi ci potrzeba, *antidotum,* a ty, szalona kobieto, chcesz się dalej narkotyzować, i to narkotykiem nudy.

Owo „reakcyi ci potrzeba“, prześladuje mnie, chodzi ze mną, jak mucha jesienna, której odpędzić nie można. Narkotyk! Tak, narkotyku szukałam i potrzebuję, narkotyku na nieuleczalny smutek mój i tęsknotę moją, pożerającą mnie, tęsknotę za czemś określonem, co rozumiem i za czemś nieokreślonem, czego nie rozumiem.

Odparłam Ksaweremu:

— Gdy się ma chorobę w sobie, słusznem jest lekarstwa szukać.

— Tak, zapewne, ale trzeba umieć szukać i znaleźć. Bo, widzisz, są narkotyki i narkotyki. Ja je znam, prawie wszystkie, od opium do kokainy, od morfiny do szampana, od kart do pięknej kobiety.

— *Passons.*

— *Je passe*... Otóż mówię ci, że nawet opium, które ogłupia, usypia ciężko i mdłości sprawia, nawet opium jest lepsze od owego *antidotum*, które ty sobie na tem pustkowiu mądrze wynalazłaś.

— Mówisz o Castrelce i mopsach?

— Nie, to twoja choroba, Castrelka, mopsy, cała menażerya zwierzęca i ludzka.

— Jakto ludzka?

— *Voyons*, nie zmuszaj mnie do kropek nad „i“. Potem się obrażasz, typowo, po prowincyonalnemu i przecudne minki stroisz, z któremi fizycznie rozkoszna jesteś, ale moralnie nie.

— Jesteś więcej zagadkowy i pogmatwany w swych niedomówieniach, niż twój Cakiamuni w swych powtarzaniach. Notabene, czy w Indyach tak się narkotyzowałeś?

— W Indyach dobrze mi było, więc nie potrzebowałem narkotyku, zostawiam go na czarne chwile.

— Miewasz czarne chwile?

— Czy myślisz, że masz na nie monopol?— zapytał uśmiechając się.

— O! ja to co innego, nie czarne chwile, ale lata czarne liczę w życiu.

— Biedactwo moje! Słowa te dziwnie niestosownie podkreślił Ksawery, spojrzeniem tak serdecznem a smutnem, że nie mogłam nawet do porządku go przywołać, bo łzy zakręciły mi się w oczach. Więc też miał czas mówić dalej:

— Nie umiesz szukać ratunku. Ja naprzykład teraz od kilku miesięcy już używam silnego narkotyku, który pozwala mi wieść we śnie życie takie, o jakiem marzyłem w rzeczywistości.

— To bardzo źle, to musi być strasznie szkodliwe dla zdrowia.

— A cóż mnie może zdrowie obchodzić? mnie obchodzi to, co czuję na razie, a gdy mi źle, to chcę, aby mi było lepiej.

— To zgubne, to fatalne, nie powinieneś tego robić.

— Dużo zgubniejsze i fatalniejsze jest głowę zwiesić i dać się nieść prądowi, w dodatku nie prądowi na porohach i wodospadach, ale takiemu leniwemu, monotonnemu prądowi życia codziennego, bezbarwnego, zabijającego po prostu.

Wiedziałam, do kogo słowa te się odnoszą, ale wolałam nie rozumieć. Z Ksaniem dyskutować niebezpiecznie.

Bardzo niebezpiecznie, bo gdy teraz dni płyną ciche i spokojne, to widzę ciągle płytką, leniwą rzeczułkę, z piaszczystem wybrzeżem o trochę mętnej wodzie, w której się mętne szarawe niebo odbija.

Suggestya. Byłabym pewnie cudownem medium.

Lipiec. Czwartek.

Ja za mąż wychodzę. Ja! muszę to sobie w kółko powtarzać i wieczorem i rano, aby o tem nie zapomnieć.

Ślub, ślub, hm... to takie kolosalne słowo, któciutkie a zamykające w sobie inne życie, nowe życie. Mój ślub? Jakie to dziwne. Przecież mój ślub już się odbył dawno, tak dawno temu. Co też temu Januszowi w głowie, żeby się ze mną żenić? stara jestem, znudzona, zjedzona przez życie. Co ze mnie zostało? cień dawnej Niny. Mawiam mu to, a on odpowiada:

— Wolę ten cień, od wszystkich świateł, wolę twoje znudzenie od wszystkich entuzyazmów, wolę twój włos jeden od wszystkich pasm złotych i ze słońca i z bogactw czerpanych. Tylko mi nie bądź smutna! tylko niech twe oczy tak często łzami nie zachodzą. Żal ci stąd wyjeżdżać, to tu pozostaniemy. Świat się

będzie dziwił, ale co nam do świata! Może żałujesz, co? powiedz jedyna. Może żałujesz?

Jakże mam powiedzieć, że żałuję, gdy ze wzroku jego widzę, taką odpowiedzią zadałabym mu cios śmiertelny prawie. Kto się nie zawaha zanim rękę na bliźniego podniesie, a cóż dopiero, zanim go zrani głęboko. Nie umiem, nie potrafię. Ale dlaczego on mnie kocha? Wcale tego nie pojmuję. Przecież miłość to rzecz fluidu jakiegoś tajemniczego. Jakże ona powstawać może i otaczać sobą istotę nieodpowiadającą żadnem uderzeniem serca na wrażenia choćby najgwałtowniejsze istoty drugiej?

Pytałam w ciekawości i niepokoju moim Castrelki.

— Czemu on mnie kocha?

— Bo mu za dobrze na świecie, więc szuka guza.

Ale śmiała się przytem serdecznie, wiem, że chciała żartować, bo ja teraz bardzo dobra jestem, nigdy jej nie dokuczam, tak dobra, że ją to martwi i nieraz mi wymawia.

— *Ninon tu ne m'aimes plus? tu es si gentille*!

Widocznie dawałam jej dowody przywiązania dość oryginalne. A od kilku lat brak jej psot moich i przekomarzania.

Ona żartowała, ale dla mnie żart ten zawiera niebezpieczną prawdę. Janusz szuka guza.

Czy ja jeszcze mogę życie komu zamącić? Czasem mi się zdaje, że nie, a czasem taki huragan we mnie się zrywa, że doznaję wrażenia, jakobym miała tamy pozrywać, góry poznosić, zapory potrzaskać, i rwać naprzód i pędzić na oślep—gdzie? dokąd? sama nie wiem.

Biedny Janusz...

Ale to mi się pewnie tylko tak zdaje, bo czuję, żem słaba mucha i że mój huragan, zamieniłby się na trzepot wróblich skrzydeł, marnych skrzydeł, bezsilnych, połamanych.

Sierpień.

A nie, a nie! Nie połamane, nie bezsilne. Czasem zrywam się do lotu, wiem, że gdzieś lecieć muszę, wzbijać się daleko w przestrzeń bez granic, wysoko, raptownie, w porywającym szale. Muszę! Gdy tu zostanę — zaduszę się, zaduszę.

Sierpień.

Ksawery częstym u mnie gościem bywa, gdy Janusz jest i gdy Janusza niema. Myślałam, że „mój narzeczony“ zazdrosny będzie, ale nie, przeciwnie, zdaje się mieć w tem upodobanie swoje, by mnie na pokuszenie wodzić. Czy

on nie wie, że to niebezpiecznie? Kilka razy już zdarzyło się, że gdy Ksanio nadjechał, Janusz wkrótce potem znajdował pretekst jakiś, by do Sokolnik wracać. Nie uważałam, `by to robił w przystępie złego humoru, czy niezadowolenia, nic podobnego nie okazał po sobie. Wczoraj dopiero spotkałam się z jego wejrzeniem, gdy wstawał, by mnie pożegnać i dostrzegłam w oczach jego dziwny, zagadkowy jakiś wyraz. Zdawało mi się, że chce na wskroś przeniknąć mnie wzrokiem swoim. Poważną miał minę i bystrość spojrzenia jego uderzyła mnie; więcej w niem było ciekawości, niż uczucia nawet, choć najczęściej patrzy na mnie, jak matka na dziecko swoje. Miałam ochotę go zatrzymać, już usta otwierałam. Co spowodowało, że tego nie zrobiłam? sama nie wiem.

Gdy są razem, panowie ci rozmawiają ze sobą uprzejmie, radzą o mojej kaplicy, stanęło na stylu romańskim, który połączył w sobie wszystkie żądane przeze mnie warunki. Może to być śliczne w maleńkich rozmiarach, a „Marie Tudor“ więcejby wyglądało na stare zamczysko, niż na kaplicę.

Ksawerego zdanie przeważyło i... w tem nawet, bo już poprzednio przeważyło i w tem, że szaleństwo zrobiłam, oddając życie w ofierze dla miłości bliźniego.

No tak, on mi dowiódł, że Janusza kocham bardzo niewinną miłością bliźniego, dowiódł mi

tego dawno już, bo ja to czułam w każdem słowie jego, ale wczoraj dowiódł mi również, że on sam jest niepoczytalny.

Wkrótce po wyjeździe Janusza, zapytał całkiem znienacka tym swoim ironicznym nieco tonem:

— Czy kochasz tego „gentlemana?“

— Jakiego „gentlemana?“

— Owego pana Janusza, bo to „gentleman“, tem jest, słuszność mu trzeba oddać, po „gentlemańsku“ z tobą i ze mną postępuje.

— Nic nie rozumiem.

— Nie będziesz się gniewała, gdy jaśniej wytłumaczę?

— Nie wiem.

— No, to spróbuję. Najpierw nie jest zazdrosny.

— O kogo miałby być?

— O mnie.

— Nie brak ci pewności siebie.

— Tak, ale inaczej zrozumianej, niż to pojmujesz. Mam pewność tylko swojej dla ciebie głupiej, idyotycznej, męczącej mnie miłości.

— !...

— Nie patrz tak na mnie; nie byłabyś kobietą, gdybyś tego od dawna nie wiedziała.

— I — i ja nie mogłam przeczyć, bo zamiast zaprzeczenia, głowę pokornie zwiesiłam

i słuchałam w milczeniu słów jego, choć nie miałam prawa słuchać.

— Tego jestem pewien, to cała moja pewność siebie. Ale i tę mam pewność, że to do niczego nie prowadzi, że wszystko robię, co mogę, by cię ze siebie wyrwać, bo mi z tobą niewygodnie, męczysz mnie, i rad będę, gdy za mąż sobie wyjdziesz, i gdy stąd pojedziesz i gdy cię widywać przestanę, bo nie podążę za tobą; o to bądź spokojna, tego dokażę.

I zaczął chodzić szybko po salonie, a ja odurzona, jak gdyby w samo serce ugodzona, siedziałam oniemiała.

Przecież i we mnie myśl się ocknęła, bo gdy Ksawery nagle bez przygotowania schwycił za kapelusz i etykietalnie już uścisnął rękę moją, wtedy zdobyłam się trochę zdławionym głosem na pytanie:

— Czemu, skoro masz zamiar tego dokazać, nie zacząłeś od tego?

Spojrzał na mnie pytająco.

— Czemu od razu nie pozbyłeś się tej niewygody, czemu tu bywałeś?

— Czemu? Moja Nino droga, trzeba było się przekonać co to jest? widzisz, to rzecz dla mnie nowa, ja sam nie wiedziałem, czy mnie z tem będzie lepiej, czy gorzej, czyś ty mi nad wszystko, czy też jesteś chwilowem, choć silnem wrażeniem.

— I raczyłeś się przekonać, że zabawka niegodna twego czasu?

— Nie, przekonałem się tylko, że mi z tobą jeszcze gorzej, niż bez ciebie.

— Dziękuję ci, wspaniałomyślny kuzynie; naturalnie, mnie nie brałeś w rachubę, czy mnie z tem będzie lepiej, czy gorzej?

— Ty? przecież byłaś i jesteś po za grą; opancerzyłaś się swoim „gentlemanem".

— Więc dlaczego pytasz, czy go kocham?

— Bo czasem myślę, że nie, a jeżeli nie, to może warunki zmieniłyby się jeszcze. Co innego kochać solo, co innego w duecie. No, nie gniewaj się maleńka, ja tylko żartuję, *goodbye*, uciekam, nie wypada tak długo siedzieć, gdy nie ma „gentlemana" między nami.

I pojechał.

Wrzesień. Sobota w nocy.

Dzisiaj przyjechał Janusz później, niż się go spodziewałam. Zastał mnie w ogrodzie, gdzie obcinałam winogrona. Nie mogłam mu nawet ręki podać na przywitanie.

— To nic nie szkodzi, *ma belle jardiniere* obcinaj dalej, tak ci z tem ślicznie, czemuż ja prawdziwym artystą nie jestem? Malowałbym cię od rana do wieczora. Cobym ja dał, aby

cię mieć pochwyconą taką, jaką jesteś w tej chwili, w tym wielkim kapeluszu, który ci się tak fantazyjnie z włosów zsunął, w tej białej miękkiej sukni, która cię tak eterycznie drapuje, z tym koszem winogron w ręku. A słońce tak cię złoci, jak gdyby jedno tylko miało zadanie: stroić cię w blaski, aby tobie najpiękniej było.

No, tak to rozumiem. Taki język godzien jest kobiety. Każda kobieta woli słowa takie od wszystkich harmonii anielskich i ludzkich. Uśmiechnęłam się do Janusza tak, jak on lubi najwięcej; to „jego uśmiech“, gdy oczy dla blasku słonecznego mam prawie zamknięte.

— Moja ty! — zawołał w zachwycie, ręce do mnie wyciągając — kto ci dał tę tajemnicę czarowania? Czy wiesz, że taki uśmiech przy twoich, na pół zamkniętych oczach, piękniejszy jest od świetlanej smugi, gdy się z pomiędzy dwóch obłoków wychyla?

On wszystko z punktu widzenia malarskiego bierze. Choć to dla mnie pochlebne, bardzo pochlebne, to przecież wolałabym więcej czuć w nim człowieka, mniej artystę.

I pozować, i znowu pozować, i ciągle pozować, gdy ja do pozowania nie jestem stworzona. Każe mi wedle swej malarskiej fantazyi patrzeć, to na lewo, to na prawo, wykręca głowę moją, jak fotograf i woła: „Teraz mam cię w profilu, tak, siedź cicho, ja będę patrzał“,

„a teraz schyl głowę, włóż tę suknię, a tamten kapelusz“, „o teraz cudnie się oparłaś, stój tak przez chwilę, chwileczkę tylko, jedyna! Trochę wyrozumiałości, słaby jestem śmiertelnik trzeba mi wybaczyć“.

Układa moje suknie w fałdy, drapuje, wymyśla dla mnie stroje, jeszcze mi tylko Ewy w raju nie śmiał proponować, bo zresztą miałam już być i gwiazdą, i jutrzenką, i muzą, i natchnieniem, i płomykiem, i podpłomykiem, czy ja już sama wiem, czem być nie miałam? Powziął projekt wykonania portretów moich z mopsami, jako prezydentki średniowiecznych „*cour d'amour*“ tronującej na zydlu weneckim i dogaressy bez mopsów.

Czy można sobie wyobrazić życie takie? Janusz pędzlujący bez opamiętania, a ja pozująca bez wytchnienia? To przecież może zastraszyć, co?

Ksawery ciągle to podnosi:

„Nino! nie drapuj się, twój „gentleman dyletant“ nauczył cię pozować. Nino! nie patrz tak, bo cię nikt nie maluje“.

Une vraie scie!

Swoją drogą bezwiednie pozować się nauczę i co wtedy będzie? ośmieszę się najśmieszniejszą ze śmieszności.

A Ksawery przepowiada w przyszłości takie posiedzenia w Sokołówce. Za lat pięć, w czasie postu, pani Maryla kabałkę kładzie i popija her-

batę, pan „dyletant“ zajada konfitury i patrzy na panią Ninę, jakby ją zmalować, pani Nina, pomna swego posłannictwa malarskiej Egeryi, siedzi nieruchoma na trójnogu ze wzrokiem Sybilli, a ta pani, ta pani, jak się to nazywa? sybillicznie, przemawiać będzie ku zbudowaniu całego towarzystwa o „szczytnem powołaniu niewiast polskich, głoszących czynnie ustami swojemi Ewangelię zepsutym narodom Europy“.

Dio mio!

Jaki ten Ksawery zły i niepoczciwy i jak pamięta śmieszności ludzkie, bo takie właśnie frazesy wygłaszała afektowanym głosem gruba pani Wacława, gdyśmy ją ostatni raz w Sokolnikach widzieli.

Ksawery dodaje:

— Lepiej byłoby wpoić w nią, że posłannictwem niewiasty polskiej i hotentockiej nawet jest ludzi nie straszyć, gdy się ma tyle tłuszczu w karby go ująć, dobry gorset sobie sprawić i nie rozlewać się po kanapach i grzecznie zapytać publiczność, czy ma ochotę wysłuchać prelekcyi, i dać swobodę każdemu wynieść uszy swoje od głosu tej trąby archanielskiej.

Wogóle, niema jak Ksawery, by mnie natchnąć otuchą do przyszłego życia mego, a pobłażliwością dla słabostek przyszłego mego otoczenia. Bo pani Wacława będzie dla mnie powinowatą w przyszłości, jako blizka krewna Janusza. Już mi proponowała bezceremonialne

mówienie sobie po imieniu, ale wedle obrazowego określenia Ksawerka, zręcznie wyniosłam uszy moje od tej propozycyi.

No, a Janusz lubi konfitury, bo lubi, to fakt. Ksawery zaraz to spostrzegł. Właściwie nic w tem złego niema, bo to ani grzech, ani wstyd, ale gdy Ksawery wpadnie na temat konfitur, biada Januszowi.

Od ostatniej „fugi“ Ksawerka nie widziałam go jeszcze. Narwany! szaleniec! fantastyk! To jego *„sans façon“* jest po prostu zdumiewające. Gdy sobie przypomnę ostatnią rozmowę naszą, i gdy pomyślę, że mimo to... brak mi go, że mi za nim tęskno, tęskno, to, chciałabym słowa te powtarzać z uporem dobrowolnej biczownicy, i wypisać je niewidzialnemi zgłoskami, i wiedzieć, że tak jest, i kamienować się za to, i rozpływać się w tem, i kąpać w tem, jak w jakiej cudownej wodzie ożywiającej; i chciałabym umrzeć w tem i z tego, i żyć i biczować się za to; jest mi z tem cudnie, i jest mi z tem straszno...

Tęskno mi za nim! Za nim, który nigdy nie mówił do mnie słodkich słów, jakiemi Janusz chciałby mnie upoić, za nim, który ani o mnie dba, ani mu czemkolwiek jestem w życiu; który zamieniłby mnie na talię kart, który przegrałby mnie do pierwszego lepszego, i czy ja wiem?

Bo on mnie jednak kocha, ja to czuję, ja to każdem drgnieniem nerwów moich czuję, gdy z nim jestem.

A gdy go niema?

Wiem, że nawet rywalką nie jestem namiętności życia jego, kart talii. Wiem, więc chwytam się Janusza, jako deski ratunku, a gdy on przenikliwie a smutno patrzy na mnie czasem, to kokietką się staję, i pocieszam go jak umiem i mogę, i niejasną gram rolę, tak wobec niego, jak wobec siebie samej, bo nie wiem, czy mam prawo być taką, czy Janusz dobrze, czy źle na tem wychodzi, czy lepiej byłoby serce mu rozerwać tak od razu, za jednym zamachem, a nie naddzierać powoli, i goić, i znowu rozrywać, i czy to nie jest zabawa kota, gdy ma mysz pod pazurami.

Ale przecież ja to czynię w dobrej wierze, bo najpierw nie chciałabym go dręczyć, nie mam tego zamiaru. Jeżeli to robię to mimowolnie, a potem sama chcę się ratować szukając w nim oparcia przeciwko samej sobie.

A jednak, a jednak gdyby mi kto nagle dał do wyboru: „Zwyciężysz talię kart, pobijesz ją i na jej miejscu panować będziesz“, albo „Zdobędziesz wszystkie skarby, hołdy i wesela świata tego“, to wolałabym deptać po kartach-rywalkach, niż panować, tronować i świat u nóg moich widzieć. Zgnieść je, zmiażdżyć, zdeptać,

zniszczyć, ach! jak ja ich nienawidzę, nienawiścią całą.

Wrzesień.

Wczoraj Janusz z Marylką przyjechali na wieczór cały. Ostatecznie oznaczyliśmy dzień ślubu na 20 października.

C'est irrévocable.

Tak było pisane...

Październik.

Siedzieli u mnie całe rano: Sędzicki i Janusz. Odkąd jest moim narzeczonym, przynajmniej mam ten spokój, że mnie już Sędzicki nie nudzi. Ostatni raz przeglądałam rachunki w wigilię oświadczyn Janusza i powoli doszłam do przekonania, że to głównie wpłynęło na moje jagnięce idyotyczne „dobrze, dobrze", „niech, niech", jak mówią moi znajomi, ludzie łagodnego temperamentu, którzy owem „niech, niech", godne nowej filozoficznej sekty stoików, godzą się z wszystkimi faktami życia.

Otóż owo „niech, niech" Janusz usłyszał tylko dzięki temu, że w wigilię do drugiej w nocy rachunki robiłam. Jeżeli jest panna jaka, nie chcąca z ręki losów, czy rodziców przyjąć wy-

znaczonego jej oblubieńca, niech jej dadzą książkę z „pozycyami". Pierwsza pozycya, druga, dziesiąta.

Niech jej każą porównać kwity z wyciągami i niech oblicza, czy kwity za cegłę odpowiadają pozycyi i czy kwity za drzewo są w porządku, i czy dominium zjadło tyle, czy temu Molochowi trzeba dodać na pożarcie, czy ująć, i niech ta młoda dziewica siedzi trzy godziny nad pracą taką, to nazajutrz, przysięgam, gotowa wyjść za rabina, czy za eunucha, a choćby za samego Leviatana, byle jej obiecał, że więcej pracy takiej na jej barki nie włoży.

Gdy Sędzicki rozłożył wtedy te księgi przede mną, i zaczął mnie wtajemniczać takim abrakadabranckim językiem co do owych pozycyi, gdy mnie wreszcie sam na sam z temi zastraszającymi zeszytami zostawił, z temi kolumnami cyfr, po prostu czułam, że popełnię coś, popełnię głupstwo jakieś nieodwołalne, szaleństwo nieobliczone, by tylko tego ohydnego widoku nie mieć więcej przed sobą. Kolumny cyfr walą się na mnie ciężkie i ogłuszające, cięższe od kolumn, któremi Herkules, czy tam Samson potrząsał. Wołam Castrelki na ratunek, ale ona przygotowała kompres dla najstarszej kotki, której na zgrzybiałą starość przypomniało się dziewięcioro kociąt urodzić. Ot, taka marna kotka ma, co chce! No i Castrelka ofuknęła mnie dość niegrzecznie:

— *Filez le camp ma belle, je soigne la chatte.*

Dziwny ton dla mnie, ale z nią nigdy sobie powagi nadać nie umiałam.

No i wróciłam do kolumn, by się w oczach Sędzickiego nie zgubić. Siedziałam tak nad niemi, jak pielgrzym nad grobami z głową w rękach ukrytą, i póty liczyłam muchy, które po papierze się snuły, póki nie zliczyłam wszystkich, jakie były w moim biurze.

Mam biuro, kancelaryę. A jakże! Wolałabym kopalnię węgla i młot w ręku, niż ową kancelaryę i pióro.

No, i skończyło się na tem, że nazajutrz zostałam narzeczoną Janusza. Naturalnie, że ten był powód, a nie inny. Gdy ci dwaj panowie wczoraj radzili nad dobrem dominium, mnie się nagle w głowie rozjaśniło. Dominium, tryumfuj! nietylko samo siebie pożerasz; tyś i mnie pożarło, niech ci idzie na zdrowie.

Październik, piątek.

Mój Boże! Mój Boże! Co się stało? co za dziwne, a nieprzewidziane rzeczy dzieją się na świecie!

Monotonia lat czterech nagle została przerwana, i to tak gwałtownie, że sama już nie wiem, czy śnię sen jakiś dziwaczny, nieprawdo-

podobny, czy to zmora, czy piękne marzenie, czy zasnęłam głęboko, czy też przebudziłam się nagle? Może dojdę trochę do ładu sama z sobą i w rzeczywistości zamienię te dwa dni i dwie noce ubiegłe, gdy wszystko, co przeżyłam, czy prześniłam, zadokumentuję w tym pamiętniku moim.

Otoż dwa dni temu, w środę, tak w środę, Janusz i Marylka opuścili mnie wcześniej, niż zwykle.

Nazajutrz rano Janusz miał wyjechać do siebie, by ostatecznie wszystko przygotować na moje przyjęcie.

Zmęczona się czułam i wcześnie się położyłam, apatyczna i zniechęcona. Coś mi się już marzyć poczynało, coś majaczyć tak, że usłyszawszy nagle zdaleka jakiś zgiełk i wrzawę, nie wiedziałam, czy to nie jest częścią snu mojego.

Ale nie, bo raptem doszło do uszu moich wołanie: „Pali się, pali!" Na równe nogi wyskoczyłam z łóżka i ubrałam się pośpiesznie, gdy na dzwonek mój wpadła Karolka, aby mnie poinformować, co się dzieje.

— Proszę pani hrabiny, pożar wybuchł w owczarni, zamieszanie okrutne, bo owce nie dają się wyprowadzić.

Zarzuciłam na siebie ciepły, biały, peniuar puszysty, i bez zastanowienia pobiegłam w stronę już bardzo tłumnego zbiegowiska. Niestety,

płomienie buchające przez dach i okna owczarni, jasno oświetlały dużą przestrzeń dokoła.

Ludzie głowy potracili. Sędzicki, którego owczarnia jest dumą, ambicyą i dzieckiem ukochanem, gwałtem chciał owce ratować, co mu się nie udawało, sikawka zaś już wyprowadzona, ale nie zasilona jeszcze wodą, stała bezczynna wśród gromady służby, furmanów, parobków, którzy nie umieli dać sobie z nią rady. Na chwilę przystanęłam bezmyślna i bezsilna, machinalnie zdając sobie sprawę, że w tym zgiełku głos mój usłyszany nie będzie, a zresztą cóż ja poradzić mogłam?

Nagle zwracam oczy na przyległą stajnię cugową, i widzę płomienie czołgające się po dachu, a jednocześnie słyszę przeróżne głosy: „Stajnia! stajnia się pali!“ Płomienie zdawały się podstępnie bawić i gonić po zabudowaniach, gasły i wybuchały, prześlizgiwały się po jednem miejscu, by ognistym słupem podnieść się w innem.

Kilka osób tylko skierowało się ku stajni, wszyscy prawie przykuci do owczarni ruszyć się nie chcieli od najgroźniejszych, potężnych już płomieni. Oprzytomniałam. Stajnia cugowa się pali, a w niej moje konie, moje najmilsze, mądre, ulubione zwierzęta, przyjaciele moi, moje dwie wierzchówki, te śliczne, dobre, wypieszczone przeze mnie stworzenia, Majorka i Minorka! Serce ścisnęło się we mnie z wielkiej trwo-

gi! Przecież to moi wierni towarzysze lat czterech! więcej po za domem żyłam i zimą i latem przez ten przeciąg czasu i zawsze miałam z sobą jedną lub drugą, lub obie razem; znają mnie i jak umieją, tak mi okazują swoją uległość i przywiązanie. Nie chciałam tego przyznać przed sobą, ale czasem narzucało mi się uczucie, że tych dwoje wolę od Castrelki, ba, czasem, pytałam, czy nie od Janusza nawet. Majorka i Minorka w niebezpieczeństwie! przecież, gdyby one mówić umiały, to wołałyby na mnie, bym je ratowała, znają imię moje, po imieniu nazywałyby mnie!

Przez sekundę ledwie się wahałam, a wołając stangreta Wojciecha za sobą, biegłam odurzona wprost do stajni. Czy Wojciech słyszał, czy może wolał nie słyszeć, nie wiem, bo płomienie buchały już na wszystkie strony i tylko wejście do stajni było jeszcze całkiem wolne. Razem ze mną, moim przykładem zachęceni bramę otwierali dwaj chłopcy stajenni. Miałam dość przytomności, by im wydać krótkie polecenie:

— Wyprowadźcie konie, prędzej, prędzej...

Sama w mgnieniu oka znalazłam się w boksie Majorki, odwiązałam ją, ale trzymałam za cugle i z nią razem wpadłam do klatki Minorki, również dziwnie prędko odczepiłam i, oba konie prowadząc, sama w środku między nimi wybiegłam ze stajni, w której jasno było od łuny,

a gorąco i duszno do omdlenia, bo pułap w najlepsze trzeszczeć poczynał; ogień szedł z góry. Dotychczas konie pozwoliły sobą powodować, jak dzieci łagodne i byłoby się wszystko skończyło bez swanku dla mnie, gdybym je była natychmiast po wyjściu ze stajni puściła na wolność; ale machinalnie trzymałam je, bo zgiełk› krzyki i płomienie rosły. Doznawałam uczucia, że grozi im niebezpieczeństwo; zresztą nie byłam w stanie myśli zebrać.

Mimo popłochu, gwałtu i nawoływania, konie zachowywały się w ręku mojem dość spokojnie, choć nerwowe były i drżały całe. Nie wiem, czy je tak trzymałam kilka sekund, czy kilka minut, pewnie krótko bardzo, bo byłby się kto zgłosił, by mnie zastąpić. Ale zanim zdołałam je oddać w pewne ręce, nagle w szalonym pędzie zarysował się na płomienistym horyzoncie kabriolet i wstrzymane gwałtownie silną ręką dwa rozhukane konie, jak wryte stanęły przede mną. Moja para widocznie nad miarę strwożona, zanim się zdołałam opatrzyć, szarpnęły mną gwałtownie, Majorka wyrwała się z mej ręki, a Minorka poniosła mnie o kilka kroków w bok. Padłam na trawę szczęśliwie dosyć, bo opodal na kamieniach byłabym się pewnie pokaleczyła.

Wszystko to stało się w ciągu sekundy. Mówię „wszystko,“ bo Ksawery, który spienionymi końmi zdążył tak prędko stanąć w Kru-

sznicy, na ratunek śpiesząc, przedewszystkiem na moje niebezpieczeństwo oczy zwrócił, a gdy ja obezwładniona puszczałam cugle Minorki, on ją przytrzymał i swojemu służącemu pod opiekę oddał, Jego krótkie „pilnuj“ takie było energiczne i rozkazujące, że większe wywołało wrażenie, niż moje poprzednie „ratujcie konie!“

Padając usłyszałam owo „pilnuj“ i na tem się skończył chwilowo nadmiar zbyt silnych wrażeń, bo straciłam przytomność. Wiem tylko, że gdy otworzyłam oczy, Ksanio pochylony stał nade mną rozcierając ręce moje, blady bardzo, z blaskiem w głęboko osadzonych, dziwnych, zagadkowych oczach. Castrelka stała obok i przygotowywała kompres, dla mnie widocznie. Więc przypomniała mi się kotka, dla której w tej samej pozie kompres sposobiła kilka dni temu, roześmiałam się, a choć głos mój nie był bardzo pewny, zawołałam.

— Mnie nic nie jest, nic mnie nie boli, daj pokój, Castrelko, ja nie kotka.

Wtedy i Ksanio się uśmiechnął i półgłosem wyszeptał.

— Dzięki Bogu.

— Skąd ja się tu wzięłam? co się to stało? i nagle przypomniałam sobie pożar, więc znowu przerażenie mnie ogarnęło.— Pali się jeszcze?— pytałam.

O jeszcze, jeszcze! niestety, całe zabudowania dworskie miały spłonąć. Szczęście, że

pałac daleko ukryty w parku i parkiem od podwórza oddzielony, a jeszcze większe szczęście, że wieś daleko, i że się na mojej szkodzie i na mojej trwodze skończyć miało. Szkoda niewielka, bo asekurowana jestem wysoko, tylko biedne owce padły ofiarą, reszta inwentarza uratowana. Ale trwoga była ogromna, tak wielka, że gdy mnie Ksanio łajać zaczął za moją lekkomyślność i narażenie się, ja słuchać nie chciałam słów jego, tylko wyrywałam się, by znów biedz i ratować. Co? jak? kogo? nie wiedziałam.

— To szaleństwo, Nino, nie pozwolę, tylko się zastanów—nic nikomu nie grozi, a zabudowań już się nie uratuje; nawet ja tam niepotrzebny, a cóż ty pomożesz? Sędzicki z ekonomami robią, co można, wieś daleko, dwór daleko, dajże pokój, tam przeszkadzałabyś tylko.

Rzeczywiście zrozumiałam przecież, że tylko przeszkadzaćbym mogła. Ale reakcya zbyt silnego wstrząśnienia nastąpiła. Nie umiem już panować nad nerwami, zanadto wtedy kiedyś ucierpiały.

Więc zaczęłam zanosić się od płaczu. Pokój oświecony był tylko łuną pożaru, bo służba rozbiegła się i nie było komu lamp pozapalać, a Castrelce nigdy nie przyjdzie na myśl to, co jej naturalnie przyjść powinno. Gdy przekonała się, że kompresu nie potrzebuję, znikła, by wystraszone mopsy i menażeryę uspokajać.

Drzwi wszystkie były pootwierane. Ksanio siedział obok mnie cichy i nieruchomy. Ani mnie pocieszał, ani na mnie patrzył. Zdawał się z kamienia ukuty, gdy wyraźniejszy płomień światła na niego padał.

Niespodzianie wsunęła się do pokoju Karolka, mówiąc:

— Jaśnie pan z Sokolnik przyjechał. Jest na podwórzu, ratuje, kazał tylko powiedzieć pani hrabinie, aby była zupełnie spokojna, że niebezpieczeństwo ludziom nie grozi i pyta, czy może przyjść, gdy tam będzie niepotrzebny.

— Dobrze—odparłam machinalnie, bez doznania ulgi na wiadomość o przybyciu Janusza. Ale gdy tylko Karolka znikła, Ksawery zwrócił się ku mnie, wyciągnął do mnie obie ręce i patrząc na mnie tak, że nigdy, przenigdy takiemu wejrzeniu jego oprzećbym się nie potrafiła, rzekł szeptem prawie, choć go tak wyraźnie słyszałam:

— Nino, ty przecież do mnie należysz, ty moją jesteś, co? powiedz?

Patrzałam na niego bezmyślnie, choć ręce mu podałam, ale niebardzo rozumiałam znaczenie słów jego.

— Ty moją jesteś! To się musi raz skończyć! przecież nie dopuszczę, by mi ciebie zabierano, skoro ja bez ciebie żyć nie mogę, bo nie mogę, to trudno! Przekonałem się i próbowałem, ale nie mogę. Czemu milczysz? powiedz,

może ty mnie nie kochasz? może mnie się zdawało tylko? Jeżeli mnie nie kochasz, to powiedz.

Milczałam, nie mogłam mówić.

— Prędzej Nino, powiedz, mów. On tu przyjdzie, a przedtem...! Musisz mu powiedzieć, że do mnie należysz, a nie do niego, powiesz mu to, rozumiesz? Powiesz, nieprawda?

I patrzył na mnie uparcie, chciał przelać we mnie wolę swoją, ale nie potrzebował, bo przecież ja go kocham, kocham od dawna.

— Prędko, decyduj się. Tak być nie może, to samobójstwo, powolne duszenie się życie takie, i dla ciebie i dla mnie. Wolni jesteśmy, nie marnuj życia, poco? dla kogo? Ty mnie kochasz, co? kochasz?

— Kocham—wyszeptałam nareszcie.

On gorączkowo mówił dalej:

— Ja to czułem, tak być musiało, bo ja tego chciałem. A teraz słuchaj Nino, powiesz temu panu, gdy tu przyjdzie...

— O nie! o nie! nie powiem, nie powiem.

— Dlaczego?

— Nie powiem, boję się, on taki biedny, taki nieszczęśliwy, tak mnie kocha, nie mogę.

Zmarszczył czoło Ksawery i nerwowo, rozkazująco mówił:

— Dziecko z ciebie, przecież nas dwóch mieć nie możesz, musisz wybrać, czas wielki, albo ja, albo on? co! powiedz!

Zrozumiałam, że wybrać trzeba, i przerażenie wielkie ogarnęło mnie na myśl, że Ksanio mógłby mnie opuścić, mógłby wyjechać i nie wrócić więcej, więc gdy znowu zapytał:

— Powiedz, ja czy on?

Odparłam:

— Ty!

A gdy mnie schwycił w objęcia i tak gwałtownie, boleśnie prawie przyciskał do piersi, nie broniłam mu się i pozostałam w objęciach jego odurzona, przerażona i szczęśliwa.

Nie pomyślałam, że lada chwila Janusz wejść może, ale on, Ksanio, wiedział o tem i nie zapomniał. Chciał, bo mi to później sam wyznał, chciał tego, co zaszło. Nagle Janusz stanął we drzwiach, kroków na dywanie słychać nie było. Spojrzał na nas, zawahał się chwileczkę, raptownie rękę jedną poniósł do czoła, jak gdyby tym ruchem opamiętać się pragnął, wyjąkał niewyraźnie „przepraszam,“ odwrócił się i wyszedł.

Zwrócona twarzą ku drzwiom, z głową opartą o ramię Ksania, spotkałam oczy Janusza, gdy na mnie się zatrzymały, i oczu tych nigdy nie zapomnę, nie zapomnę w chwili śmierci. Czuję, że za tę jedną sekundę pokutować będę, czuję, wiem i nie waham się, bo już jestem w mocy Ksawerego, bo wahać się nie mogę i nie chcę. Więc też obiecuję sobie solennie, że nigdy, przenigdy nie wywołam w sobie od-

bicia tego obrazu łuną oświeconego, gdy nieprzytomnie prawie Janusz patrzył na mnie i — odwrócił się ode mnie... Muszę zabić to wspomnienie w sobie, bo zakłóciłoby każdą chwilę jasną; a ja chcę znowu żyć, chcę znowu zaznać trochę szczęścia, trochę, troszeczkę, potem znowu pokutować będę, ale przecież wyjrzę na chwilę z ciemnicy na świat szeroki i wiedzieć będę, że żyję, bo dotąd zdawało mi się, że już za życia do świata umarłych należę.

Wyrwałam się z ramion Ksawerego i przystanęłam, oczy obu rękoma zasłaniając. W głowie mi się kręciło i zdawało mi się, że jakieś wielkie nieszczęście wisi nade mną.

Znowu echo z przeszłości obudziło się we mnie. Taką chwilę musiałam już kiedyś przeżyć... I zobaczyłam wyraźnie kilka palm na szerokiej jasnej przestrzeni; na piaszczystem posłaniu leży Zygmunt wyciągnięty, sztywny, na pozór nieżywy, a krew sączy się wązkiem paskiem po żółtym zwirze. Nad nim baronek i obcy panowie. Odchodząc prawie od zmysłów ze zgrozy zawołałam: „Wy się bić będziecie! on ciebie zabije! Nie—ty jego zabijesz, boś ty mocniejszy... To straszne!...“

Wtedy Ksanio zaczął mnie uspokajać, przysięgać mi, że on nic nie ma przeciw Januszowi, że o ile go zna, to Janusz nie będzie żądał pojedynku, bo przecież mściłby się na mnie, nie na nim, i uspokoił mnie do pewnego stopnia,

o tyle przynajmniej, że dał mi słowo honoru, iż nie wyzwie Janusza i nigdy zaczepki z nim szukać nie będzie.

— Dlaczego miałbym żywić urazę do niego—mówił. Przecież rozumiem, że jestem powodem jego nieszczęścia, więc szaleństwem byłoby wojnę mu wypowiadać.

Nie zdążyłam jeszcze połapać się z tą całkiem nową sytuacyą, gdy ku memu wielkiemu zdziwieniu, Tadeusz, zupełnie zapomniany przezemnie Tadeusz, zjawił się na horyzoncie.

Było to jednak naturalne. Łunę pożaru musiano zauważyć o kilka mil dokoła, a łatwo się było domyślić, że u nas pożar, bo Krusznica leży na wzgórzu, więc, jak z latarni morskiej, tak się światło rozchodziło dokoła. Ksanio, mieszkający o pół mili, w kwadrans znalazł się na miejscu. Janusz miał znacznie dalszą drogę do przebycia, a najdalszą Tadeusz.

Gdy więc i jego zobaczyłam, przyszło mi na myśl, że przez całą noc sąsiadów przyjmować będę, że wkrótce ujrzę i pana z trąbką, i pana z perfumami, bo obaj poskładali wizyty. Ale nie, to niebezpieczeństwo mi nie groziło, bo przecież, o cztery, pięć mil oddaleni ci panowie, dali sobie pokój z ratowaniem. Sikawki tylko z całej okolicy znalazły się w nocy na placu, a rano cały ich szereg przy zgliszczach jeszcze paradował. Okropny widok!

Ale nie o tem mowa, tylko o dziwnej, nieznośnej, antypatycznej pozycyi, w jakiej się raptem znalazłam wobec Tadeusza. Nie widziałam go, odkąd wieść się rozeszła o moich zaręczynach z Januszem. Życzenia przysłał mi dość uprzejme w bardzo przyzwoitej formie. Wogóle to „przyzwoity człowiek.“ Gdy Ksanio o nim mówi, zawsze go nazywa: „Ten przyzwoity człowiek.“

Otóż zdziwienie „przyzwoitego człowieka“ było wielkie i prawie nietajone, gdy mnie zastał sam na sam z Ksaniem. Szczęśliwym trafem już i lampa była zapalona i słabo z pod wielkiego ciemno-ponsowego abażura nas oświecała, i my także byliśmy „*corrects*.“ Tadeusz po złożeniu kondolencyi na rachunek nieszczęsnego wypadku, po wypytaniu, jakim sposobem się to stało, etc., uważał za „przyzwoite“ pomyśleć o moim ex-narzeczonym i zapytał całkiem niewinnie zresztą:

— Pan Janusz pewnie przy pożarze?

Czułam, że mi krew do głowy uderza i nie zdobyłam się na odpowiedź, Ksawery mnie wyręczył i odparł obojętnie:

— Zdaje mi się, że już wyjechał.

— A! wyjechał do siebie? Pozwolisz hrabino złożyć sobie moje gorące życzenia? Bo słyszę, że ślub za kilka tygodni.

Powstał schylony przede mną, by mnie w rękę pocałować; nie wyciągnęłam ręki jednak

i na zdziwiony wzrok jego odparłam wzrokiem jeszcze bardziej zdziwionym, bo sama nic nie pojmowałam.

Ale Ksawery, który ma tyle zimnej krwi i spokoju, odparł:

— Hrabina inaczej zadecydowała o swojej przyszłości. O ślubie chwilowo mowy niema.

Teraz Tadeusz wyjąknął znowu głuche „przepraszam,“ a miał minę tak skonfundowaną, tak śmiesznie zmieszaną, aby nie powiedzieć mocno głupią, że mimo nieznośnie dwuznacznego położenia, śmiech niepowstrzymany, szalony, nerwowy śmiech mnie napadł; czułam, że go nie potrafię zwalczyć, więc wybiegłam z salonu i padłam na szezlong w moim pokoju, i śmiałam się, śmiałam spazmatycznie, bez upamiętania, po prostu „*une detente de nerfs.*“ Wstyd mi było tego śmiechu.

Gdy powróciłam do tych panów, herbatę mieli już przed sobą na stolikach i rozmawiali o rzeczach obojętnych, choć Tadeusz ciągle jeszcze pozostawał w widocznem osłupieniu i wyglądał jak zmokły pies, którego niespodziana zimna kąpiel spotkała. Niedługo bawił, zdawał sobie sprawę, że „przyzwoiciej“ będzie prędko nas pożegnać. Ale i Ksanio wkrótce potem mnie opuścił.

— Zmęczona jesteś moja ty biedna maleńka; takie oczy podsiniałe; idź spać zaraz, nie

myśl o niczem, nawet o mnie, tylko się prześpij smacznie, byś mi jutro piękną była.

Niestety, trudno go było usłuchać, bo gdy wyjechał mnie klin w głowę wbity prześladował bez litości. Tak. Ksanio Janusza nie wyzwie, ale Janusz jego z pewnością. Naturalnie, to spać mi nie dawało, po prostu oczu zmrużyć nie mogłam. Szalone myśli krzyżowały mi się po głowie, chciałam się ubierać i pędzić, by Janusza przebłagać, by zażegnać burzę, to znowu Ksawerego zmusić do przysięgi, że nie przyjmie wyzwania, ale swoją drogą czułam, że to niedorzeczność, że wszystko musi się odbyć wedle z góry wytkniętego fatalizmu i że ja niczemu zapobiedz nie mogę.

Jasny dzień przez szczeliny okienic wkradał się do sypialni mojej, a przecież noce długie teraz, więc musiała być godzina 8, zasnęłam, marząc niespokojnie o rzeczach strasznych, a niepochwytnych. Już południe było, gdy Karolka po cichu drzwi uchyliła:

— Nie śpię—rzekłam.

List z Sokolnik do pani hrabiny?

Gorączkowo rozdarłam kopertę i wyczytałam te kilka słów tylko. „Nikt goręcej ode mnie szczęścia twego nie pragnie. Bogu cię polecam, *Janusz.*“

Odetchnęłam — choć częściowo tylko, bo przestałam drżeć o życie tych dwóch ludzi, ale tłoczy mnie i do ziemi gniecie jakieś tępe uczucie

niezadowolenia. Wyrzut sumienia pewnie. Nie jest mi tak, jak mi być powinno, gdy tamy zerwałam i dałam się porwać prądowi. Żyję jednak znowu i kocham, i mimo wszystko szczęśliwą jestem, tak, jestem szczęśliwą.

Październik.

Już cała okolica, blizcy i dalecy wiedzą o wszystkiem. Co mówią, jak się na to zapatrują, nie wiem, domyślam się tylko. To wiem jedynie, bo to czuję, że szalonej wrzawy musiał narobić przebieg tej historyi. Wyobrażam sobie, jaką folgę dawały sobie trochę już zardzewiałe języki. W naszym kącie tak trudno o sensacyjne zdarzenie, a tu jednocześnie trzy wypadki: pożar, zerwane narzeczeństwo i nowo skojarzona para. Co za bogate pole do domysłów, do popisu dla „najlepiej poinformowanych!“ Mój Sędzicki odbiera zaproszenia na wszystkie strony. Został bohaterem dnia.

Za tydzień wyjeżdzam, bo wszyscy znajomi, na dziesięć mil dokoła, mają znakomity pretekst do odwiedzin: kondolencya *ex-re* pożaru, okazanie wspułczucia, zapytanie, czy czem służyć nie mogą.

A moja głupia w tem mina, bo choć tak prędko gruchnęła wieść o mojem zerwaniu z Ja-

nuszem, że mnie już nikt nie pyta: „Kiedy ślub?" to jednak w tem milczeniu czuję morze ciekawości i domysłów, i męczy mnie to i po prostu życie uniemożliwia!

Ale Marylka zacna jest i najlepsza. Byłam pewna, że wszystko między nami skończone. Wcale nie. Pierwsza przyjechała do mnie, uściskała mie serdecznie, najpierw tylko o pożarze ze mną rozmawiała i śmiejąc się mówiła:

-- Wiesz, że ludzie zrobili z ciebie bohaterkę; wersya głosi, że wchodziłaś na najwyższe drabiny, by tam komenderować, że owce na ręku z owczarni wynosiłaś, że wszystkie konie wyprowadziłaś, że sikawki sama nastawiałaś. Wogóle dziesięć Ninetek niebyłoby w stanie zrobić tego, co ty jedna zdziałałaś.

I ja się uśmiałam szczególniej, gdy cię sobie wyobraziłam na dachu gaszącą płomienie albo wydającą rozkazy, jak Napoleon, ze szczytu piramid, a może u stóp piramid, nie wiem, nie pamiętam. Ale „*Nina en bon Pasteur,*" też mogła klasycznie wyglądać z jagnięciem pod ramieniem. Fantazya ludzka niema granic, gdy raz uniesie.

Czułam się w obowiązku wszystko Marylce opowiedzieć; a ona tak poczciwie, tak po kobiecemu zapatruje się na tę sprawę.

— Lepiej, Ninuś, że teraz się w sercu swojem rozpatrzyłaś, później byłoby za późno.

— Ale mnie tak żal Janusza.

— I mnie go żal, okropnie nawet, bo nie chcę ci robić zarzutu, biedaczko, ale cios ten był straszny dla niego, chociaż o tyle mniej niebezpieczny, że nie tak raptowny, jak ty przypuszczałaś. To taki szlachetny charakter! Czy uwierzysz, że on nie ciebie, lecz siebie obwinia. Wiesz, co mnie mówił? „To kara za mój bezgraniczny egoizm, nie wiele miałem nadziei, by mnie Nina przyjęła, nie czułem się kochany próbowałem tylko, boć o życie mi chodziło, więc chciałem być pewny, że nie wypuściłem dobrowolnie szczęścia z ręki; ale choć wszystko uczyniłem, by ją porwać, przekonać o mojej miłości, nie śmiałem mieć nadziei. Odurzony byłem, gdy mnie wysłuchała i nie wierzyłem swemu szczęściu. A przecież potem, przez te kilka miesięcy czułem, że czegoś mi brakuje, że jest coś między nami, jakaś zapora, i czułem, że ona nie jest szczęśliwą, więc należało zbadać, o co chodzi i przekonać się. Doznawałem wrażenia, że Ksawery jest tą zaporą, że jej serce nie do mnie należy, ale nie miałem odwagi przyznać tego wyraźnie przed sobą. Jak struś głowę pod skrzydła chowałem, nie, aby nie być widzianym, ale aby nie widzieć i własnych myśli nie słyszeć. To było niegodnie i nieuczciwie, a ona za dobrą była, aby mnie unieszczęśliwić, nie miała na to odwagi. I gdyby nie ten wypadek, to byłbym jej egoistycznie życie zawiązał i sam siebie mo-

że kiedyś przeklinał za to; lepiej, że się tak stało, lepiej.“

Wiesz Nino, że mówiąc to szlochał jak dziecko, płakaliśmy oboje, aż mi Julki wstyd było, gdy nagle weszła. Później pytała mnie: „To z powodu cioci Niny, płakaliście ty mamo i wujaszek?“ Nie mogłam zaprzeczyć, ale i ona ci wybaczyła. Tylko powiedz mi to jedno kochanko, czemu od razu nie odmówiłać Januszowi? tego nie rozumiem, skoro go nie kochałaś.

Zgnębiona i onieśmielona, ale ujęta jej serdeczną szczerością, odparłam również szczerze.

— Wszystkiemu winne rachunki; ja najpierw sama nie wiedziałam, jak się to stało, że zostałam narzeczoną Janusza, ale teraz już wiem, że to te przeklęte rachunki.

— Jakie rachunki, dziecko moje? — zapytała bardzo zdziwiona.

— Sędzicki kazał mi obrachowywać, t. j. przeglądać roczne „pozycye“ dominialne, no, i to mnie dobiło.

Teraz Marylka zaczęła się śmiać i uściskała mnie czulej, niż zwykle, ale zamyśliła się potem i rzekła:

— Więc i ja zawiniłam. Tak cię namawiałam do wytrwałości w zadaniu. Myślałam, że podołasz, ale to nie dla ciebie biedactwo drogie, to nad twoje siły. Przepraszam cię.

Jacy oni dobrzy, jeszcze mnie przepraszają!

ostatecznie jedną znam tylko słabą, lichą, nędzną i marną istotę, a tą ja jestem. Miłe stwierdzenie faktu!

Ksanio chce, bym do Warszawy pojechała na kilka tygodni, bo i on się tam wybiera, a ja naturalnie spełnię wolę jego. Spełnię raz dlatego, że mi w myśli nie postoi być mu nieposłuszną, potem, że mi potrzeba zmiany powietrza, miejsca, otoczenia. Za długo trwała klauzura moja, i tak długo i tak szczerze pokutowałam za grzechy, więc teraz skoro i kaplica już się buduje, skoro lat tyle w pocie czoła mego pracowałam nie istniejąc dla świata, to wolno mi przecież odetchnąć w pełni życia i śmiać się, i zapomnieć, i kochać, i być szczęśliwą.

Warszawa, listopad.

Zardzewiałam na wsi. Musiałam zardzewieć, bo daremnie w ruch przymusowy puszczam wszystkie sprężyny imaginacyi mojej, umysłu, fantazyi; nic nie pomaga; to tylko sztuczne. Nie pociąga mnie już gwar światowy, nie upaja ruch, liczne towarzystwo, liczni hołdownicy. Jestem w tem wszystkiem bez werwy, jak mechanizm jakiś, w którym wszystkie sprężyny funkcyonują na pozór dokładnie, ale główny motor, niewidzialny dla oka, strzaskany.

Atrofia moralna, nie fizyczna, bo wszyscy uważają, że wypiękniałam i na pozorne ożywienie potrafię się zdobyć, ale moralnie czuję w sobie tak wielką, tak absolutną zmianę, w porównaniu z tą Niną, którą sobie przypominam w zgiełku świata, w blasku świateł kilka lat temu.

Kilka tylko? Przecież to wieki!

Wieki to zawód dla mnie. Tak bardzo chciałam skosztować znowu tych upajających wrażeń, któremi dawniej żyłam. Chciałam tem goręcej, że teraz mogłabym swobodnie im się oddawać, bo Ksanio popycha mnie do zabaw, do rozrywek wszelkiego rodzaju. Więc nigdy nie potrzebowałabym sobie zarzucać, że nadużywam, że jego dręczę, że mu choćby najlżejszą przykrość wyrządzam. Przeciwnie, czuję, że on raczej ma mi za złe, gdy nie jestem najbardziej otoczoną kobietą; prawdziwie tryumfujący ma wygląd, gdy mi rój hołdowników asystuje. Już się rauty zaczęły, kilka par narzeczonych fetują, znajomości prędko poodnawiałam. Wszyscy tacy dla mnie uprzejmi, tyle przyjaźni mi okazują. Chiałałabym wdzięczną być światu za tak gorące przyjęcie mnie w poczet żywych. Nie umiem.

Wogóle atrofia uczuć, z wyjątkiem jednego tylko gwałtownego, absolutnego uczucia dla Ksawerka. Kocham go silniej, niż myślałam, że kochać potrafię, bo doszłam do przekonania, że

Staś miał racyę, kiedyś, wieki temu, gdy mnie zaliczał do kobiet, niezdolnych do namiętnych uniesień w żadnym kierunku. Pamiętam, jak mówił:

— W tobie niema materyału na dynamit, ani na żadne ogniste wybuchy; należysz do gatunku roślin pnących. Przywiązujesz się do tej istoty, którą na swej drodze spotykasz, na niej się opierasz, a że masz czar w sobie niezrównany, więc ten, kto ci służy za oparcie, z rozkoszą pozwala się opleść, omotać, okryć tą wątłą roślinką, i kończy się na tem, że dla ciebie tylko żyje, że sam zanika. Tak naprzykład, ja wobec ciebie jestem, jako ten kołek, służący powojowi za oparcie. Tylko powój widać, kwiecie jego, urok jego, a kołek znikł zupełnie, niema go; ale powój byłby się tak samo przytulił do płotu, i drutu, i muru i czegokolwiek na swej drodze.

Pamiętam tak dokładnie tę naszą rozmowę! Trochę wtedy obrażona byłam na Stasia o to porównanie, ale bo też taką byłam dziecinną. Od tej pory tyle cierpiałam, tyle grzeszyłam, tyle pokutowałam i tyle myślałam, że wszystko inaczej mi się przedstawia. Tak, Staś miał słuszność. Należę do gatunku „lian;" przecież ja i naokoło Castrelki się oplotłam, i ona nawet za oparcie mi służyła w braku innego, i były lata, w których życia bez niej nie pojmowałam, i w koło Marylki, i Sędzickiego, no,

a kto wie? gdyby nie fatalizm, może i do Janusza byłabym się przywiązała w końcu na prawdę. Przecież musiałam już mieć jakieś uczucie dla niego, skoro tak mnie przerażała myśl sprawienia mu przykrości.

Otóż i to niespodzianka dla mnie, to nagłe, a gwałtowne uczucie dla Ksawerka! Jakoś mi z niem dziwnie, tak jakbym nie z moją duszą, lecz z cudzą chodziła po świecie. Niewygodnie mi. To jakby nie moja szata ta płomienna, paląca, upajająca. Ksanio ma racyę, że taka miłość, to najsilniejszy narkotyk. Nazywa mnie też swoim „najsilniejszym narkotykiem.“ Nie należę do siebie, nie mam już własnej woli, on mi nieledwie wzrokiem narzuca wolę swoją.

Miewa czasem dziwaczne nawet pomysły, może trochę za ekscentryczne. Choć się nie łatwo płoszę i lubię wiedzieć, co czuję i co się ze mną dzieje, często nie mogę się zoryentować. Ksanio przejął się dobrowolnie wschodniemi przesądami, różne wschodnie baśnie chodzą po głowie, wierzy w fakirowskie suggestye, hypnotyzmy itp. niewyjaśnione, niezbadane tajemnice, i zdaje mi się, że siły swojej na mnie próbuje, a ja boję się tego.

Wczoraj byliśmy na operze. Daleka ciotka moja, pani Bużańska, matkowała mi tym razem. Wszyscy już odgadują, że Ksanio jest moim narzeczonym. Ani ja, ani on, nie przyznajemy się do tego wyraźnie nikomu, bo chcielibyśmy, aby

echo o zerwaniu z Januszem przebrzmiało trochę; ale to sekret Poliszynela. Ostatecznie lepiej, że tak jest, bo niezawodnie ludzie znaleźliby powód do miłosiernych konjunktur, gdyby z góry dyskretnie nie było zaznaczone, że Ksanio ma ortodoksyjne prawo roztaczania opieki nade mną.

Otóż pani Bużańska, daleka krewna mamy, uważała za stosowne wziąć mnie pod swoją egidę. Nie wiem sama, jak się to stało, i ze smutkiem stwierdzam, że ja nigdy nie wiem, jak, co i dlaczego ze mną się stało. Zawsze jestem zdziwiona, że się tak stało, jak się stało,

— Intelligencyę masz, ale woli ani cienia, tak twierdziła dawniej Andzia, później Marylka.

Otóż przynajmniej pokory nauczyłam się w życiu i z pokorą przyznaję, że może i nie mam. Dość, że ciocia Micia Bużańska narzuciła mi swój „szapronaż“ ku memu zdumieniu. bo gdybym miała wolę, to prędzej na ową „szapronkę“ byłabym z sobą zabrała papugę ze zwierzyńca Castrelki.

Wszystkiemu winna Castrelka. Egoizm tych francuzek na starość jest zdumiewający. Takie grymasy, migreny i melancholie wyprawiała, gdy ją od kotów i mopsów zabrałam z sobą do Warszawy, tak impertynencko zachowywała się wobec Ksania i moich gości, że żadna arcyksiężna nie byłaby sobie pozwoliła na takie tony. Ostatecznie na jej powtarzane „*J'en*

mourrai,“ zdecydowaliśmy się dać jej „Laufpass“ i—o dziwo! ja, ja zazdrościłam jej, gdy do wagonu siadała z powrotem do Krusznicy.

Co to może przyzwyczajenie! Zdawało mi się, że mnie moja skorupa dusi, a ona się zrosła ze mną. Może ślimak doznaje takich samych wrażeń, gdy się ze swej ciasnoty na szeroki świat dobywa.

Ale Ksanio o moim powrocie na wieś nawet słuchać nie chciał.

— Mieszkanie wzięte na całą zimę, tobie potrzeba zmiany. To tylko takie chwilowe odwyknięcie od blasku słonecznego. Każdemu, kto z ciemności na biały dzień wychodzi, zdaje się, że go słońce razi.

Może być. Ale już kilka tygodni minęło, a mnie zawsze razi owo słońce, jeżeli to słońce, bo czasem zdaje mi się, że to moje w Krusznicy czystszymi promieniami świeciło.

Jakie to bardzo dziwne! Czy kto oczy moje odmienił, że inaczej widzę? czy uszy, że inaczej słyszę? czy umysł, że inaczej myśli? Bo choć tragiczne chwile oderwały mnie wtedy od świata, to przecież w pamięci pozostały mi tylko moje własne winy, zaś odblask czegoś ponętnego, porywającego nawet, migotał mi we wspomnieniu.

Choć nie śmiałam myśleć o tem, ale czułam, że gdy sama sobie otworzę podwoje na

świat szeroki, to wylecę z rozkoszą i zachwytem do nowych zachwytów.

A teraz dziwię się, że tak nie jest. O białych damach, o Zeliach prawie zapomniałam. Wtedy one były dla mnie istotami, ubarwionemi światłem mojej własnej imaginacyi. Nie przypuszczałam, że kiedyś jako groby pobielane przedstawiać mi się będą. Nie rozumiałam, póty nie rozumiałam, póki sama na manowce nie weszłam; tajemnica, oto powód, przyczyna i skutek wszystkich win matki Ewy. Dopiero zrozumiała, gdy zawiniła.

Otóż ja rozumiem, choć wedle pojęć świata, w którym żyję, moja wina była żadna. Ale w tem pewnie i wytłumaczenie zagadki. Pojęcia świata różnią się teraz od moich pojęć, i doznaję uczucia po tej długiej klauzurze, jakiego doznawać musi Chińczyk, czy Jakut, gdy się nagle między Europejczykami znajdzie. Po prostu przestałam rozumieć język, którym mówią. *Je ne suis plus au courant.* Plotki mnie nie interesują, intryżki jeszcze mniej. Oni, gdyby wiedzieli, nazwaliby mnie Chinką, a ja ich Chińczykami nazywam.

Ale może też przez miłość dla Ksania zanadto zaabsorbowana jestem?

Choćby taka ciocia Micia! Dla mnie jest ona czemś między upiorem, między strachem na wróble, między marą nocną, i dziwolągiem. Bo czy można sobie wyobrazić coś szpetniejszego,

jak stare zrujnowane pudło, na którem by ktoś tiule, muśliny i koronki pozawieszał i to niezgrabnie, bo wszędzie przez szwy widnieje dezolacya starego pudła. Stary mur, z którego tynk opada, mniej razi swojemi szczelinami, niż fałdy i zmarszczki, szczeliny i łysiny, z których leci puder i róż się rozmazuje, a farba na skórze widnieje. Jedno z drugiem wielkie „horrendum.“

Tyle jest starych pięknych, imponujących, a takich portretowych, że nieraz myślę, czemu ja już taką starą statuą nie jestem, zamiast ową wiecznie młodą statuetką, bo Ksanio, który mi różne tytuły daje, nazywa mnie także swoją statuetką, i dowodzi, że wszystkie pomysły Janusza do moich portretów, to banalne szablony, stosunkowo do tego kararyjskiego marmuru, w jakim powinien rzeźbiarz wykuć „jego“ statuetkę: *Nina en „Amasone“*

— Kto cię nie widział na tle łuny pożaru, między dwoma rumakami, z głową w górę wzniesioną, z oczyma natchnionemi, z rączkami ze stali, a jednak z alabastru, ten nie widział nic godnego widzenia. Wtedy wiedziałem, że cię nie oddam za nic, nigdy, nikomu, żeś mi droższa nad wszystko, żeś piękniejsza od wszystkiego, na co oczy moje na szerokim świecie patrzyły.

To rozumiem, że Ksanio fantazyę miał podniecоną niezwykłym widokiem, a gdyby nie

mój dziwny amazoński, nie licujący ze mną wyskok, byłabym jeszcze pewnie narzeczoną Janusza, nawet żoną jego o tej porze.

Tymczasem jestem narzeczoną Ksania i pytam, czemu on mnie pod skrzydła tego gipsowego, pokruszonego, posklejanego dziwadła wpakował?

Dziwny ten Ksanio!

Grudzień.

Zaczęłam wtedy opowiadać o operze, a skończyłam na opisie mojej lubej ciotki. W tym rodzaju starych, malowanych, choć nie malowniczych ruin, dużo tu spotykam i ta druga towarzyszka moja, także restauruje z trudem i mozołem gruzy, w które ją lata wtrąciły. Ona i ciocia Egida cudnie kobiecość reprezentują. Egidą nazwał Ksanio ciocię Micię, a ona tytuł ten aprobuje.

Obie te panie bardzo są łaskawe i na Ksania i na mnie, ale mnie ta ich łaskawość więcej denerwuje, niż rozczula.

W złym byłam humorze i objawiałam to zupełnem milczeniem. Moje towarzyszki mogły tego nie miarkować, bo same bardzo były zajęte rozmową. Znają się doskonale, od dawna. Najtajniejsze arkana wszystkich drobnych kółek, zamkniętych w jednem dużem kole tak zwanego

„high-lifu," są przez nie najdokładniej zbadane, zrozumiane, więc też każdy domyślnik, każde niedomówienie kilku kropkami zakończone, jest dla nich czytelnem i jasnem, choć dla mnie hieroglify przedstawia, mniej zaciekawiające, niż na granitowych płytach egipskich.

Ksanio był z nami, a siedząc za mną, od czasu do czasu upajał mnie jednem, jedynem słowem do ucha prawie wyszeptanem. Pozbawiło mnie to na razie spokoju i równowagi wewnętrznej, gdy antrakt się zbliżał, despotycznym tonem nakazywał:

— *Soyez animable pour ces dames.*

I robiłam, co mogłam, aby się do rozkazu zastosować, ale coś mam dziwnego w sobie. Choć rozmowna i ożywiona jestem wogóle, gdy mi ktoś jest antypatyczny, czuję się ogłupiałą w jego towarzystwie; nic nie mam do powiedzenia, doznaję takiej pustki w głowie, że im większy mój wysiłek, by tam coś znaleźć, choćby najbardziej zdawkową monetę, nic nie znajduję; bezdenna, bezmyślna otchłań i koniec. Jeżeli mi koncept jakiś przeleci przez umysł, to zwykle tak absolutnie niemożliwy do wygłoszenia, że gdybym się z nim odezwała, zamiast dwóch przyjaciółek, pozyskałabym sobie dwie śmiertelne nieprzyjaciółki, a Ksanio chce, bym się o ich przyjaźń starała.

Poco? naco? Czy dlatego, że zajmują wybitne stanowiska w towarzystwie tutejszem?

Ależ co mnie po ich stanowisku? Tyle mnie to obchodzi, co stanowiska mandarynów o trzech guzikach. Czy dlatego, że noszą znane nazwiska? Ależ i to mi nie imponuje, najpierw dlatego, że mam swoje, z którem ludzie więcej się liczą o tyle, że go na śmieszność ani na skandaliczne komentarze nie narażam, potem dlatego, że z temi znanemi nazwiskami dzieje się tak, dajmy na to, jak z karmazynowym aksamitem, który kiedyś kosztownością i rzadkością wyrobu oczy nęcił, zdobiąc tylko podwoje odwiecznych, zamkowych komnat, a w końcu tułając się i po magazynach starej odzieży i na publicznych wyprzedażach i po bankierskich buduarach i po podejrzanych zaułkach, stracił i blask swój i powagę i powab. Więc może majątek tych pań ma stanowić jakiś urok nadzwyczajny? Gdybym miała być ich sukcesorką, możeby mnie to interesowało, ale wątpię; nigdy jednak nie zapisałabym się do ich dworskiej służby. Że o sukcesyi mowy niema, więc co mnie, albo komuś przyjdzie z tego, że są bogate; a skoro nie są mi sympatyczne, zdaje mi się, że to powód dostateczny sam w sobie.

Ksawery inaczej się na to zapatruje.

To też gdy po drugim antrakcie nic jakoś nie miałam interesującego do powiedzenia i sztywna byłam, jak szwajcar kościelny, szepnął mi:

— Zaproś je na obiad na sobotę.

Zaprosiłam i jutro mieć będę tę najidyo-

tyczniejszą ze wszystkich „*corvées*“ na świecie, bo bezcelową. Dużo zachodu, dużo kłopotu, dużo umęczenia dla niewiadomych, t. j. dla nieistniejących celów.

Dwanaście osób (ja dwunasta) na obiedzie, a oprócz Ksania i starego mego przyjaciela krewnego pana Koreckiego, wszyscy dla mnie nieciekawi, banalni. Stare i młode szablony, nie mające w sobie jednej myśli oryginalnej, drwiące ze wszystkich i ze wszystkiego, pretendujące do praw i przywilejów wyłącznie dla nich stworzonych, ale w imię czego, sami nie wiedzą. Jedyna zaleta, czy też kapitalna wada, to niewyczerpana pewność siebie. Rozmowa żadna, z wyjątkiem rwącej się i starannie choć sztucznie naciąganej nitki, często furmańskich dowcipów, przymusowy śmiech, gdy dowcip wygłoszony jest przez którego z naczelników ruchu, a naczelnikami ruchu światowego, są zawsze najpewniejsi siebie, *ergo*, najgłupsi, bo aby być bardzo pewnym siebie, trzeba być bardzo głupim.

Te wszystkie moje zarzuty przedstawiłam Ksaweremu z pewnym strachem, bo ja wiem, że on nie cierpi, gdy ,,rezonuję.“ Ale przecież nie mogę nie zdawać sobie sprawy z tego, co mi niemiłe i nie szukać powodu, dlaczego mi niemiłe. Rzeczywiście Ksanio był nie kontent, nawet obawiałam się, czy z tego maleńka burza się nie zerwie. Brał mnie na indagacyę, co

do każdej z zaproszonych osób po szczególe, zapytując, co mogę jej zarzucić, jakoby bardzo zdziwiony, że mam coś przeciw tej *„selected set“* podług niego.

— Przecież nie zaprzeczysz, że Witold Brežewski jest dowcipny, sprytny i potrafi ożywić towarzystwo. .

— Otóż właśnie, że zaprzeczam. Kto mu zrobił reputacyę dowcipnego nie wiem, ale ten ktoś zasuggestyonował całe *„set,“* a on poczuwając się do wysokości włożonego na niego zadania, sadzi się na dowcip; szczypie się, by wycisnąć z siebie jakiś atom czegoś pseudo śmiesznego i rodzi takie koncepta czasem, że „clown“ cyrkowy, jeszczeby mu nie zazdrościł.

— Może czasem trochę za dowcipny, to go psuje, przyznaję, ale przecież książę Leon powinien ci być sympatycznym.

— Gdyby nim był, to dziwiłabym się, że jest nim tobie, bo jego *„manière d'être“* z kobietami, jest wprost upokarzające, i jeżeli jeszcze raz pozwoli sobie roztaczać swe książęce ramię na mojem fotelu, gdy ja w nim siedzę i dmuchać mi we wlosy pod pretekstem czegoś tajemniczego do powiedzenia, to usłyszy ode mnie parę słów, mniej, niż pochlebnych.

— Hoho! jaka energia w mojej przyszłej żonie. Brawo Nino! ślicznie ci z tem, ale przy-

znaj, że kobietki winne, jeżeli mężczyźni tak je traktują.

— Tak, te, które wy „kobietkami“ nazywacie, a które my kobiety „kokietkami“ nazywamy.

— Ale cóż ci zawiniły moje dwie admiratorki, ciocia Egida i hrabina Wera? przecież one mnie tak kochają — za to samo powinnaś je kochać.

— Zawiniły tylko tem, że mnie nudziły, i że właśnie one to były kiedyś tem, co wy „kobietkami“ z dwuznacznym uśmiechem nazywacie, i że niemi być nie przestały, choć tak im z tem do twarzy, jak gdyby Castrelce przez obręcz skakać się zachciało.

Ksawery uśmiechnął się pobłażliwie i zaczął mnie moralizować:

— Nino, otrząśnij się z tej prowincyonalnej pleśni. Przywdziałaś na siebie *au moral*, strój prababci *rococo*; cudnie ci w nim, ale to już nie modne, to dziwactwo.

— Nic nie przywdziałam, ale miałam czas namyślić się trochę, i to mnie obcą robi między tymi ludźmi.

— Ho-ho! jakie *„sans façon.“* Jakim to wyniosłym tonem mówi pani: „tymi ludźmi.“

— To jeszcze bardzo uprzejmie z mej strony, bo gdybym powiedziała „tej menażeryi“...

— *Voyons, voyons*, a to co znowu? Pani ma swoje humorki? Nie posądzałem o to słod-

kiej Ninetki. Na wsi synogarlica, biały gołąb, a tu nagle takie ostre pazurki, co się to stało?

— To się stało, że narzuciłeś mi jutrzejszy obiad, i że jest to dla mnie *une corvée* gorsze, od pracy Fellahów.

— Możebyśmy zatelegrafowali po panią Marylę kirasyera, i po pana Janusza i po wszystkich uperfumowanych sąsiadów Krusznicy? — zapytał złośliwie Ksawery.

— Nie mów o perfumach. Twoja „set" tak pachnie, że mogłaby zaimponować temu panu, coś mi go prezentował, twojemu sąsiadowi, a nie mojemu. Ani się kto zatroszczy, że można mieć wstręt do „*Peau d'Espagne*," albo „*Bouquet de violettes*" albo tym podobnych wytworów; że ciocia Egida skrapia się esencyami, to rozumiem, w jej wieku może ma ku temu powody, ale ci młodzi panowie... sami w podejrzenie się podają. Wstrętna moda.

— Oj Nino! Nino! będę miał więcej roboty z tobą, niż myślałem. Ta twoja kirasyerka tak cię wyemancypowała, że mogłabyś mi popsuć swoją kobiecość, gdybym nad tobą nie czuwał.

— Przyznać jednak musisz wyższość mojej kirasyerki nad twoimi upiorami, przynajmniej ta ma w sobie duszę, a na niej piękne, jak ją Bóg stworzył, ciało niewieście, u tych Egid ciała nie widać z pod tynku, zaś duszy ani atomu.

— Upodobania nasze różnią się niestety! bo ja znowu nie ukrywam wcale, że wolę towarzystwo tutejsze od tego, które w Krusznicy widywałem.

— Przenieś tych swoich protegowanych na nasz grunt, a zobaczysz ich nicość, niechby się wydostali ze sztucznej atmosfery, sztucznej egzystencyi, sztucznego podniecenia i sztucznych wrażeń, to zobaczyłbyś, jaka byłaby rzeczywistość: potłuczone manekiny bezmyślne, i bezduszne.

— *Des phrases!* Nie myślałem, że umiesz „frazesować.“ Ale to tylko przemijający zły humorek, a. że cię rzadko widzę z tym zagniewanym wyrazem w oczach, więc dla rozmaitości z pasyą ci się przyglądam. Ba! kobieto! ty masz w sobie wszystkie uroki; skąd ty je wzięłaś, nie wiem, ale gdyby nie to, czyżby mi w głowie postało kłaść sobie takie oto kajdanki na szyję, aż do śmierci *Amen.*

I zarzucił ręce moje sobie na szyję, a choć ja dobrze wiem, że to nie „*correct,*“ skoro się małżeństwa zrywają, no... ale...

Przecież dosyć namoralizowałam... słowami, no tak, bądźmy szczerzy, słowami tylko; a czynem? Boć, ostatecznie, tu siedzę i z nimi wszystkimi żyję. Oni myślą, że ja ich lubię, a ja myślę, że oni mnie lubią.

Zachowuję się, jakbym uważała, że wszystko tu dzieje się jak najlepiej na jak najlepszym ze światów.

Co w gruncie o tem myślę?

Tem gorzej, że myślę, skoro w czyn nie zamieniam; w takim razie najlepsze uniewinnienie „nie myśleć.“ Bardzo głupim będzie bardzo wiele darowane, w imię ich potężnej głupoty, i ta ma swoje prawa; w dziedzinie etyki to najsilniejszy obrońca.

Hm... robię się moralizatorką. Cuda dzieją się na świecie! A mój biedny Staś tego nie doczekał. Może to wpływ jego z za grobu. Niestety—i to nie. Skoro mamy być szczerzy sami z sobą moja pani droga, to powiedzmy od razu, że to wpływ Ksawerka.

Dziwne, ale prawdziwe—Ksawerka. Mnie dręczy, mnie niepokoi, mnie drażni jego raptowna zmiana. To nie mój Ksawery z Krusznicy. To jakiś inny. Tam był całkiem różny od wszystkich. Trochę smutny, trochę zimny, sztywny, apatyczny, dla mnie tylko się ożywiał; miałam uczucie, jakobym była jaką czarodziejką wywołującą w nim metamorfozę jednem spojrzeniem, jednem słowem.

On mi to zresztą mówił, może mi to pochlebiało? Zaciekawiał mnie, współczucie moje budził, inny od wszystkich, oryginalny, jakiś zahypnotyzowany duch ze Wschodu, przeniesiony na grunt nasz. Tu gniewa mnie i drażni jego wieczne podniecenie, ożywiony, wesoły, przez to więcej do innych podobny. Gdy jest sam ze mną, staje się moim Fetyszem, t. j. tem,

czem ja jestem dla niego. Ale gdy go widzę między ludźmi... Taki inny; taki na pozór podobny do wszystkich. A ja go tak mało sam na sam widuję! Nawet gdy jest chwila po temu, światu chyłkiem, milczkiem ukradziona, to wnosi się do mnie ciocia Egida ze wszystkiemi przyborami swemi, talią kart do kabałki, najświeższym romansem, roztasowuje siebie i karty i jest tak pewna mojego głębokiego zadowolenia z tego stanu rzeczy, że nie podobna odbierać jej illuzyi.

— Przynoszę wam moje skrzydła dzieci drogie—mówi swoim „przypudrowanym," astmatycznym głosem — gdybyście sobie urządzali *aparte* beze mnie, to świat postawiłby *veto* w formie niemiłej.

Już kładzie pasyans, pod pozorem, aby nam nie przeszkadzać, ale ja czuję, że ma oczy i z tyłu i z przodu, a uszy wszędzie i, tracę fantazyę, bo Egida działa, jako lodowaty prysznic na moje znarkotyzowane nerwy. Nawet Ksanio przestaje być dla mnie niebezpiecznym. Dość mi jest czuć w powietrzu jej „*Veloutine*."

Zdaje mi się, że i w Ksaniu zamraża ona wszelkie porywy, bo wobec niej zachowujemy się, jak dwie całkiem dobrze wychowane maryonetki. Ona nas ciągnie za jedyny sznurek, który jej ręka wprawnie pociągać umie i rozprawiamy o koniach pana Ralfa, o dozgonnej towarzyszce z lewej ręki starego Warowskiego,

o toalecie księżnej Ludki, o podejrzanych brylantach baronowej Julii, o kucharzu bankierów Wolfów, o przelotnym kaprysie zawsze jeszcze pięknej hrabiny Margot, i moi goście tak są pochłonięci interesem, jaki w nich wzbudza cudza kuchnia, cudze brylanty, cudzy kochankowie i cudze pieski, że ani spostrzegają, jak mnie to nudzi i jak mi się dziwnie marne wydaje.

Psuje mi to Ksawerka. Szkoda jego inteligencyi dla takich cioć i w tymże rodzaju ich kuzynek i siostrzenic.

Pytałam go, w czem znajduje zadowolenie w takiem życiu.

— Gdybym chciał egzaminować to życie i robić na niem sekcyę ze skalpelem w ręku, to pewnie doszedłbym do twoich wniosków; ale, że na tym świecie, oprócz samego trupa, który podobno pouczającym jest dla specyalistów, nic tak ścisłego egzaminu nie znosi, więc radzę ci, Nino, iść za moim przykładem: Nie zastanawiaj się. Daj się odurzyć chętnie, dobrowolnie, powiedz sobie „chcę się bawić,“ wmów to w siebie i będziesz się bawiła. To dość łatwe, bo i całe otoczenie twoje z tą autosuggestyą wchodzi do salonu, więc prąd jednego zamiaru, jednej woli, udziela się i napełnia powietrze jakimś specyalnym „*fluidem*,“ wywołującym podniecenie. W tem podnieceniu jest właśnie urok towarzystwa. Zamiast ostudzać je w sobie, trzeba je roznIecać, trzeba je starannie osłaniać

przed krytyką swego umysłu, który radby nas pozbawić wszelkich dodatnich wrażeń w życiu.

Ze smutkiem pomyślałam, że Ksanio zawcześnie uczuwa potrzebę sztucznego podniecania wrażeń. Może dlatego tylko czuję wstręt do tych sztucznych egzystencyi, że pragnęłabym oddać się sercem całem i duszą całą jednej myśli, jednemu uczuciu. Ale to też takie prowincyonalne pewnie pragnienie! Nikt dokoła mnie pragnień takich nie żywi, i nikt nie zrozumiałby ich.

Na argumeta Ksawerka odparłam:

— To nareszcie pojmuję, że można autosuggestyą dużo zrobić, ale nie rozumiem, jakim sposobem nie pożre sama siebie wrażliwość, ciągle na jednym młynku obracana. Ostatecznie przyznać musisz, że nie wiele jest rozmaitości w tem życiu. *Plus cela varie, plus c'est la même chose.* Obiad, raut, opera, polowanie, *i da capo al fine*, w karnawale bal dla odmiany, ale to w gruncie na jedno wychodzi w naszym wieku.

— „W naszym wieku?“ ileż pani ma lat, o! matrono omszała od pleśni stulecia.

— Nie żartuj, nie o lata tu chodzi, ale o usposobienie. Wiesz, że dużo starsza jestem od cioci Egidy. Gdy mówię w „naszym wieku,“ to znaczy, że taniec dla tańca niema już powabu, więc raut, czy bal, czy polowanie, czy obiad, kończy się zawsze na tej samej ucieczce. Ucie-

czką jest rozmowa; bo jeżeli mnie na nerwy nie działa prąd elektryczny, jakiego książę Leon stara się udzielić każdej kobiecie, jeżeli mnie nie interesuje flirt z nikim wyłącznie, jeżeli mi obojętne, czy jem ostrygi, czy *„supremy,"* to cóż mi pozostaje? — rozmowa. Czy ty z kim rozmawiasz? jeżeli znasz posiadających dar ten, to mi ich pokaż, ja ich nie znam, bo ci wyjątkowi, co rozmawiać umieją, tak są absorbowani swoją rolą *„causeur*'ów," tak się czują w obowiązku obnieść dokoła salonu czar swej wymowy i poczęstować nim wszystkich po trochu, że dla mnie ostatecznie nie wiele zostaje, a cóżem ja temu winna, że mnie cudze sprawy, krążące zawsze dokoła tej samej, czysto materyalnej osi, nic a nic nie obchodzą?

Ksawerek się zachmurzył i siedział, jak zadąsane dziecko, nie kontent ze mnie i nieprzekonany. Chciałam go trochę udobruchać, bo dla tak marnego powodu psuć sobie tych kilka chwil rozkosznych, tu i owdzie światu wykradzionych, to przecież byłoby trwonieniem jedynych promieni w życiu.

— Nie zasępiaj się Ksaniu, poczekaj, miej cierpliwość, może mnie nawrócisz. Weź sobie za zadanie ucywilizować zdziczałą istotę, to wzniosły cel.

— Dlatego milczę; to jedyny sposób, by cel osięgnąć, w imię zasady, że *„Les opinions*

sont comme des clous, plus on tappe dessus, plus on les enfonce *).

— Znakomite porównanie Ksaniu, postaram się w życie zasadę tę wprowadzić i nie dyskutować nigdy.

— Ale bo też, moja Nino, przyznać muszę, że to trochę niespodziane dla mnie. Skarżyłaś się na wsi, że ci monotonia cięży, że szarzyzna jednostajnego życia cię przytłacza, pojmowałem to, pragnąłem wyrwać cię z tego, i o zdumienie naiwności mojej, co widzę? Tam pani było źle, bo Sędzicki z Castrelką do ziemi cię tłoczyli, a tu pani źle, bo masz rozmaitość, masz ruch, masz rój wielbicieli, którym znowu zarzucasz, że cię zanadto wielbią.

— Nie zanadto, ale niestosownie.

— Logiko! nie wiem, gdzie mieszkasz, ale wiem, że nie wcieliłaś się w tę oto niewiastę i to całe szczęście, bo gdybyś przy swoim niewieścim rozumku była jeszcze i logiczną, to już przyszłoby zwątpić o wszystkiem

— Ksaniu, jesteś niewdzięczny, a co najmniej niedomyślny. Gdybyś był przeczuł, co mi potrzeba! Ty mi przecież wystarczasz, ty mi życie zapełniasz, to, co mnie od ciebie odrywa, ciężarem mi się staje. Naturalnie, że Sędzicki

---

*) Opinie są jak gwoździe: im więcej w nie uderzać, tem głębiej je się wbija.

i całe dominium gnietli mnie w jakiejś kolosalnej prasie, ale tyś mnie miał oswobodzić od tego.

— Ninuś, ja rachować nie będę, tego nie spodziewaj się po mnie, otwartość przedewszystkiem.

Zamyśliłam się trochę. Jeżeli on nie będzie, to kto będzie? Co prawda, naiwnością było z mej strony przypuszczać, że on mnie w tem zastąpi. Właściwie nie zastanowiłam się nad tem, ale na razie wolałam o tem nie myśleć.

— Nie o to chodzi — odparłam — ale przecież nie stosownem byłoby, gdybym jako twoja żona, sama się interesami zajmowała, tobyś na to nie pozwolił.

— Naturalnie, że nie pozwoliłbym.

— Więc?

— Od czegoż Sędzicki?

— Tak, ale wiesz, kierunek, dozór, impuls. Marylka mówi, że...

— Ha-ha-ha—zaczął się śmiać Ksawery serdecznie. Ta oto maleńka, ta oto statuetka kosztowna, ten filigran przecudnej roboty wyobraża sobie, że to ona dawała impuls, kierunek etc. Ach! ty mój kierowniku uroczy, jesteś po prostu bajeczna w swej prostocie, pomimo całej swej mądrości.

Trochę mnie to zabolało. Zaco on mnie ma ostatecznie? czy to kobiety nie potrafią już

niczem pokierować? niczemu nadać impulsu? Więc odrobinę podrażniona odezwałam się:

— Jednakże, pomimo twego lekceważenia kobiet, są takie, które robią majątki bez pomocy mężczyzn, Marylka naprzykład...

— A dajże mi pokój z Marylką, pani moja miła, ona a ty *cela fait deux*, i to szczęście. Już ty mi nie cytuj kobiet, które robią majątki; najpierw, że prędzejby wróbel zrobił majątek, niż mój Fetyszek, a potem, że gdybyś była do tego zdolną, to nie byłabyś moim Fetyszem z pewnością.

Hm... jacy ci mężczyźni zarozumiali! jak ja czułam w tych słowach niedomówione wyrazy: „Nie miałabyś zaszczytu być wybraną przeze mnie kobietą.“ Ale cóż to pomoże, że sobie z tego zdaję sprawę, skoro i to wiem, że moje szczęście oparło się całe na tym wyborze mego władcy i pana.

Grudzień.

Odbył się mój obiad i obiecuję sobie sosolennie, że drugiego nie dam. Ksanio zdziwiony, co mnie tak dalece mogło w zły humor wprowadzić na myśl małego przyjęcia u siebie, i w czem mnie miało zmęczyć, skoro jedyną pracę, jaką wzięłam na siebie, on mi ułatwił, t. j. dobieranie par, wyznaczanie miejsc i t. p.

chińszczyzny, w których ja wieczniebym „patożowała,“ bo zanadto jestem roztargniona, nie umiem skupić umysłu i nigdy nie pamiętałabym, co komu należne, albo co komu najmilsze. A tu tyle względów trzeba mieć na uwadze! To całe kombinacye, wszystkie ostrożności, od tego zależy większy lub mniejszy prąd sympatyi, przelewający się z jednych na innych, a od tego prądu mniej lub więcej nudy, czyhające z pomiędzy krzeseł na biesiadników.

Co prawda, miałam niekłamaną ochotę, pod pretekstem nieznajomości bieżących intryżek, pokrzyżować wszystkie plany Ksawerka i usadzić sąsiadów wedle fatalizmu, ciążącego przy dowolnem losowaniu, ale Ksanio na moją niewinną propozycyę takiem olimpijskiem zgromił mnie spojrzeniem, że duch przekory od razu skarłowaciał we mnie. Do pewnego stopnia sama wyszłam obronną ręką, bo z wieku i z urzędu podawał mi ramię mój wuj, stary hrabia Korecki, a że go bardzo lubię, więc „*corvée*“ była mniej uciążliwa, niż się tego obawiałam.

Dwa kołowrotki dwóch starszych pań w ruch puszczone, nie dawały ani na chwilę krążyć głuchej ciszy nad stołem, a więc i tych śmiertelnych pauz, które trafiają się czasem w moim salonie, a na które nie znajduję lepszej rady nad odgrywanie kamiennej roli jakiegoś Buddy w lotosie, tego ciężkiego milczenia równie nie było ani na chwilę. Lecz i harmonii

też się nie czuło, diapazon nie był jeden dla wszystkich i maleńkie „detonowanie“ wyraźne było.

Wuj Maryan cieszył się jednak mojem ożywieniem, nie spostrzegł, że to tylko podniecenie sztuczne.

— Dziś dopiero odnajduję dawną trzpiotkę w mojej Amfitrionce, cóż ci to było maleńka, że tak humor straciłaś? Zaczęto mówić o tobie, że sztywna jesteś, a sztywność zastosowana do twej osóbki, to jakoś dziwnie brzmi.

— Rdza wiejska, wuju. Świat mnie znowu wyszlifuje.

Ale pomyślałam sobie: „Gdybym w mojem położeniu, zamiast za sztywność, krytykowaną była za zbytnią żywość, wyszłabym na tem stokroć gorzej. Dbam przedewszystkiem, by najlżejszy cień nie zamroczył nazwiska mego zmarłego męża; o lada nieostrożność, trenowanoby mnie natychmiast, razem z innemi głośnemi nazwami po tak publicznej arenie, że nietylko *„the upper ten,“* ale ulica cała uważałaby za stosowne mną się zajmować równie gorliwie, jak cyrkowemi *„miss“* i operetkowemi *„divami.“*

Nie chcę tego, nie, nie chcę, nie chcę!

Na delikatną wymówkę wuja, po żartobliwej odpowiedzi, dokończyłam poważniej:

— Krytykowaną być muszę, bo jeżeli niema książki nie podlegającej krytyce, to cóż do-

piero istoty żyjącej! Wolę panegiryk, zakończony słowami: „ale pani Nina jest trochę za sztywna, może trochę, troszeczkę,“ a po cichu na ucho do sąsiadki „gąska,“ niż tenże sam panegiryk zakończony: „ale jest trochę nietaktowna, rzucająca się, lekkomyślna i t. d.“

Wuj popatrzał na mnie z uśmiechem, w swoich siwych, przymrużonych oczach, a pomimo, że te oczy to tylko szpareczki, przecież jasno się w nich czyta i wyczytałam: „Masz słuszność, kobieto.“

Niedawno przyjechał do Warszawy, więc nie miałam czasu w tym wirze pogawędzić z nim dłużej. Teraz z nietajonym interesem pytał mnie o szczegóły życia mego.

— Taka przestrzeń nas dzili i takie fatalne komunikacye, ze łatwiej dostać się do Paryża, niż do waszej kniei, ale nieraz z żalem myślałem, że tak trudno wybrać się do ciebie, i pytałem w duchu, jak też sobie radzisz?

— O mój wuju, z pokorą wyznaję, że to moje radzenie nie imponowałoby nikomu, i, że główna moja pretensya do ostatnich lat kilku odnosi się do Sędzickiego, który uważał za stosowne mie o rady pytać.

— Przecież należała się ta atencya władczyni licznych ziem i włości. Nie mogę mieć mu tego za złe.

— I ja mu za złe nie mam tego, że pytał, ale, że nigdy rady mojej nie posłuchał. Więc

w końcu zanudzały mnie te pytania, bo głos mój u niego miał znaczenie głosu komara w koncercie europejskim.

— A czy niezadowolona jesteś z rządów starego?

— Starego bardzo lubię, ale jego rządy są dla mnie rebusem, rebus ten zaś wyraża się w formie konia, zjadającego samego siebie.

— Wytłumacz mi to — pytał uśmiechnięty i żywo zainteresowany wuj Maryan.

— To tak trudno wytłumaczyć, chyba spróbuję systemu Sokratesa; zapytaniami, na które wuj odpowie, przekonam.

— Oho! pani Nina z Sokratesem się zapoznała, *vous devenes une femme docte.*

— Wolałam Sokratesa niż Sędzickiego.

— To wierzę, więc jak to jest z tym koniem?

— Więc, niech mi wuj powie, dlaczego sieje żyto? koniczynę? dlaczego siano?

— Siana nie sieję, a resztę sieję, by mieć z tego dochód, kochanko?

— A dlaczego wuj trzyma fornalki? tyle, a tyle czwórek?

— Dlatego, by uprawiały rolę, na której sieję to a to i zwiozły to a to.

— A, czy wuj sprzedaje dużo siana, koniczyny etc?

— Nie, bo muszę żywić inwentarz.

— A dlaczego wuj trzyma całą armię służby, począwszy od ekonomów, skończywszy na wyrobnikach?

— Aby pracowali.

— A czem ich wuj żywi?

— Ordynaryę im daję z tego, co zbieram.

— A zatem konie, które na to są, by uprawiały rolę, zjadają to, co zarobią, i ludzie, którzy są na to by uprawiali ziemię, zjadają to, co zarobią. I resztę sprzeda wujaszek, a z tej reszty zapłaci tych, co biorą ordynarye i innych najętych, i jeszcze zostanie może jakaś reszta, a z tą co wujek robi?

— Podnoszę majątek, robię nowe nakłady, stawiam budynki, kupuję maszyny.

— Tak, i dokupuje wuj konie i woły, i reparuje młyny i groble, i osusza bagna, i zaprowadza nowy przemysł w gospodarstwie...

— No, to chyba dosyć. Jeżeli tak gospodaruje twój Sędzicki, to bardzo dobrze gospodaruje.

— Może być, nie przeczę. Ale to nie przeszkadza, że owo dominium w allegoryi może wziąć postać beczki Danaid, bo jeżeli z jakiego źródła wyskakuje na jesień strumień złota, a na wiosnę napowrót w to samo źródło się chowa, to podług mnie bardzo monotonne i nudne zajęcie.

— Więc cóżbyś ty chciała od owego „dominium“ nieszczęsnego, którego imię wymawiasz z nietajoną urazą; jeżeli daje na wszystko co potrzeba...

— Jakto na wszystko, co potrzeba? przecież ja grobli nie zjem, ani w młyn się nie przystroję; a gdyby były tylko takie dominia na świecie, to cóżby mówili malarze, rzeźbiarze, architekci? z czegoby żyli ci godni jednak życia śmietelnicy?

— A, teraz rozumiem, pani chciałaby naciągnąć dominium na protegowanie sztuk pięknych! to rzeczywiście pretensya, której ono nie uznaje, ale przecież słyszę, że architektów zbogacasz, bo budujesz kościoły.

Kaplicę tylko. I to cztery lata musiałam na nią czekać. Zresztą nie ten potwór sam siebie pochłaniający bez końca, ale las, poczciwy las, pozwolił mi na tę fantazyę

Wuj popatrzał na mnie jeszcze bardziej przymrużywszy oczy. On jeden posiada tę sztukę, że najlepiej niemi widzi, gdy je najsilniej zmruży, i przyglądał mi się bardzo uważnie choć przez krótką chwilę tylko, poczem pocałował mnie w rękę i rzekł:

— Masz we mnie jednego więcej i bardzo szczerego wielbiciela.

Sąsiad z lewej strony, nielubiany przeze mnie, książę Leon zawołał udając zgorszenie:

— Hola, panie hrabio, rączki siostrzenic

nie należą do „*menu,*“ a jeżeli należą, to prosimy dla wszystkich.

Wuj, tłumaczył się:

— Składałem hołd kobiecie. Ta oto eteryczna istota, którą każdy z nas, w swej męzkiej zarozumiałości nazwałby „puchem marnym“ i pojmował tylko, jako ozdobę świata i śliczny dodatek, zdobywa się na czyny bohaterskie, na które nie każdy z nas mógłby się zdobyć, siedzi kilka lat z rzędu, jakby na bezludnej wyspie, którą, jak ongi Robinson cywilizuje, podnosi ku pożytkowi świata, wyrzeka się wszystkich światowych uroków, do których zdaje się być stworzoną, i w końcu zdobi swe królestwo dziełami sztuki, zapominając, że są ponęty w Paryżu u Laferière, u Doucet, w Wiedniu istnieją Lauferk i Szpicer. Przyznaj księżę, że mój hołd nie mógł być na zasłużeńszej rączce wyrażony.

Kilka razy chciałam wujowi przerwać te dytyramby, bo choć wygłoszone były żartobliwym tonem, ale mnie żenowały. Czułam, że to nie zasłużone, gdy wuj chciał powietrza zaczerpnąć ku dalszemu opiewaniu chwały mojej, przecięłam mu je mówiąc:

— Gdyby wuj wiedział, jakie miewałam humory i jak się buntowałam przeciwko tym pseudo-bohaterstwom, to cofnąłby wszystkie słowa swoje.

— Jeszczebym nadał im więcej wypukło-

ści, kochanko, bo ofiara, która nic nie kosztuje, nie jest ofiarą, a ty w dodatku miałaś komplikacye gorsze, niż Robinson, bo jego Piątek był sobie potulnym chłopcem, twoja zaś Castrelka powinna być w jednej z klatek swej menażeryi zamknięta, jako jeż.

Teraz roześmiałam się serdecznie, bo nie pomyślałam o tem, że rzeczywiście takie stanowisko dla mej towarzyszki byłoby najodpowiedniejsze.

Reszta towarzystwa wmieszała się do naszej ożywionej rozmowy. Pani Lola Warowska, zwykle trochę apatyczna, bardzo piękna, ale zanadto poczuwająca się do roli statuy, trochę mocno „*dédaigneuse*," którą niechętni „panią Pozą" nazywają, odezwała się śpiewnym, trochę monotonnym głosem, ze słowami współczucia dla mnie:

— Biedna Nino! dziwię się, że nie straciłaś gustu na tem pustkowiu, mogłaś się tam tylko w skórkę owczą okrywać

— Zwykle uzupełniałam trochę ten skromny kostium, przez wzgląd i przyjaźń dla moich sąsiadów.

— Są tam sąsiedzi?—pytał zdziwiony Witold Brzeżewski.

— Tak są, a co dziwniejsza, że mają tak samo, jak my dwie nogi, dwie ręce i, że używają widelca i noża.

— I miednicy?

— I miednicy, a nawet Tridace i brilantiny do różowych paznokci.

— I sąsiadki? jakie masz sąsiadki, powiedz Nino, to musi być ciekawe, sąsiadki na Polesiu.

— O 20 mil od kolei!

— O dziesięć tylko. Bardzo państwo zaintrygowani tym nawet przez Stanleya nie odkrytym zakątkiem antypodów — odparłam trochę zirytowana w duchu, choć znakomicie nad głosem i oczami zapanowałam, nie okazując tego. Czułam, że to są bardzo delikatne „*coups de griffes*“ tych starych i młodych kotek, niezadowolonych, że na mnie wyłącznie zwrócono uwagę w sposób pochlebny, co było tym razem męczącem, czułam niestosowność zwracania wyłącznie na siebie uwagi panów u siebie w domu. Wogóle trochę zanadto mną się raczą zajmować, choćby dlatego, że jestem „*la haute nouveauté de la saison*“ i trochę, jak to Ksanio określa „egzotyczny import,“ niezupełnie podobny do szablonu.

Te panie chciały mnie niewinnie dotknąć w mych wiejskich przyjaciołach, ale, że jestem bardzo stanowcza i szczera w moich przyjaźniach, więc nie łatwo ustąpiłam i zawołałam z udanem zdziwieniem:

— O! świecie cywilzowany, jakże się kompromitujesz, wpuszczając do swego koła taką Irokezkę.

— No, przecież nie bierzesz tego do sie-

bie Nino!—przerwała ciocia Egida—gdy pytamy, czy tam noszą krawaty, mankiety i kołnierze, to głównie o ród męski chodzi. Kobiety wszędzie potrafią ciało swe ozdobić, a cóż dopiero ty, chociaż najmniej ozdoby potrzebujesz.

Wuj, który doskonale zrozumiał moje niezadowolenie, kończył w mojem imieniu.

— Ona tylko trochę zaciekawiona, jakie pojęcie właściwie robią sobie państwo o naszem wiejskiem społeczeństwie, i ja ciekaw jestem, bo i ja mieszkam na „odludnej wyspie," t. j. w zakątku, oddalonym od kolei. Przecież każdy z nas część lata, choćby najkrótszą, spędza u siebie na wsi. Czyżby gdzieindziej sąsiadów nie było?

Wtedy odezwał się Witold Brzeżewski, przyjaciel Ksania:

— Przepraszam pana hrabiego, że ośmielę się zwrócić uwagę na różnicę między „fagot" a „fagot." Ludzie ludziom nierówni, pomimo zasad chrześcijaństwa, które niezupełnie przyjęły się dotąd. Z tego punktu zapatrujemy się na dzikich i cywilizowanych.

Przecież pan na seryo nie przypuszcza, aby małe stosunkowo oddalenie od ogniska ruchu, t. j. jakiegoś wielkiego miasta, mogło w dzisiejszych czasach wpłynąć tak dalece na ludzi: cywilizacya, choć nie słońce, ale przecież promienieje na większą odległość, niż pan zdajesz się przypuszczać.

— Przyznasz hrabio jednak, że są pewne odcienia, które sprawiają, że społeczeństwo dzieli się na koła.

— Przyznaję. To jest faktem. Dotychczas nie wiem, co przyszła cywilizacya powie o tej naszej dzisiejszej, tak kołami pozamykanej, jak chińskim murem, ale z faktem liczyć się trzeba. A więc, jak roztasowałbyś pan ludzi pomiędzy te liczne koła? Wedle ich urodzenia? To zdawałoby się jeszcze najlogiczniejsze, bo ma tradycyę wieków za sobą, ale dziś przyznasz pan, że już do mytów należy.

Spojrzał wuj uważnie, oczy przymykając, dokoła stołu, poczem kończył:

— Jesteśmy między sobą, t. j. należymy wszyscy do jednego koła, a przecież i tu z tego punktu widzenia, że wybranymi mają być ci, co najgłośniejsze nazwiska noszą, już ja choćby musiałbym być wycofany. Nazwisko moje do historyi nie należy. Jest to wypadek tylko, że niema dzisiaj między nami tych, których pełno wszędzie, a których główną zasługą są pieniądze, bo nawet nie zawsze dobre wychowanie. A charakter? no, tego w formowaniu kół nie możemy brać pod uwagę, dopóki nie wymyślą przyrządu na auskultowanie dusz i myśli ludzkich.

— Prawdę mówisz, hrabio, ale to nie przeszkadza, że są jakieś odcienie, które sprawiają, że się ktoś czuje w swojej sferze, albo w niej nie czuje.

— To zależy od pojęć indywidualnych. Jedni czują się w swojej sferze tam, gdzie im dadzą dobrze jeść i pić, inni tam, gdzie tytuły mile głaszczą język, przy posługiwaniu się nimi, inni tam, gdzie wogóle przepych i zbytek na każdym kroku zmysły zadowalnia, inni nareszcie tam, gdzie umysłem żyć mogą i wrażliwość nerwów mózgowych podniecać.

— O to wszystko trudno na wsi.

— Nie przeczę, ale równie trudno na Polesiu, jak na Ukrainie, na Pałukach, jak na Żmudzi. Zastanawiałem się już nad tem, co wpływa głównie na wplecenie się jako ogniwa do łańcucha, tworzącego jedno koło, roszczące sobie pretensye do pierwszeństwa. Tytuły? nie, bo bez majątku nie potrafią wpleść swego ogniwka. Intelligencya? nie, bo sobie wyrobiła swój świat osobny, do którego mogą mieć prawo i Koniecpolscy i Pieprzykowscy, o ile umysł ich stoi na wysokości tej sfery. Dobre wychowanie? nie, tylu jest źle wychowanych między nami. Dziś nawet dzięki chwilowej modzie, szykiem jest pozować na złe wychowanie. Więc pieniądz? i to niekoniecznie, bo wieluż naliczymy bardzo dobrych znajomych, o których nie mamy pojęcia z czego żyją? Wieś ma choć to jedno do siebie, że się wie dokładnie, kto tam jest i nie ryzykuje się różnych stosunków, po których czasem pył z rąk naszych chcielibyśmy otrzeć.

— Opylonych i podejrzanych mniej na wsi, niż w mieście, niezawodnie, ale zato przyznasz, hrabio, że w mieście ty wybierasz, zaś na wsi fatalizm narzuca ci takie pocieszne czasem indywidua, że radbyś się w kreta zamienić i w ziemię schować za ich przyjazdem.

— Bywają i tacy - odparł wuj, ale od taktu zależy, by takich zdaleka trzymać od siebie.

— Nie zawsze się to udaje, gdy mają naturę syntedingtonu nie łatwo się od nich odczepić.

— I w mieście mnóstwo jest indywiduów z naturą syntedingtonu, a jeszcze trudniej odczepić się od takiej miejskiej gumy arabskiej. Wogóle do najwyższych sfer trafia, kto ma talent ku temu, i kto tego pragnie; jedni podchodzą, inni przeskakują, inni się czołgają, inni szturmem sferę biorą, ale do tego nie trzeba, ani tytułów, ani majątku, ani urody, ani intelligencyi, do tego potrzeba jednej jedynej rzeczy, osobnego talentu. I tak, jak nie zostanie malarzem kto chce, ani skrzypkiem, kto ku temu ma ochotę, tak nie będzie wpuszczony między „*upper ten*,“ ten ktoby nie umiał zasuggestyonować tak danej sfery, jak niższych hierarchii, że jest stworzony właśnie z tej wyborowej gliny, której dla *high-lifu* Stwórca używa. A tak nie podobna zbadać tajemnicy tego talentu, jak wogóle wszystkich talentów. Talent się ma, albo się go nie ma, mają go urwisy i ludzie

uczciwi, głupi i pojętni, bogaci i ptakowie niebiescy, a z tym specyalnym „salonowym“ talentem wszystkie salony ma się przed sobą otwarte, czy się kto nazywa Tęczyński, czy Bebel, Montmorency, czy Pieprzykowski, Rohan, czy Apfelbaum.

Ciocia Egida, która Apfelbaumów wzięła pod swą opiekę, bo „ci biedni ludzie mają te same prawa do słońca,“ trochę się obruszyła na teorye wuja Maryana; w szlachetnej wyższości uczuć radaby wmówić w swoją sferę, że Apfelbaumy to bardzo dawna, rodowa arystokracya, ale w dyskusyi musiała się cofnąć przed argumentami dość ciętego wujaszka, i trochę niezadowolona opuściła progi namiotu mego.

Wogóle doznaję wrażenia, że obiad mój był małem *fiasco*. Gniewa mnie to o tyle, że Ksanio tak pragnął, bym stanęła na wysokości zadania, tak pragnął mną olśnić towarzystwo! Ale cóż to pomoże! Jeżeli do czego, to do olśniewania trzeba mieć wiele dobrej woli, a mnie się tak nie chce zdobywać na tę dobrą wolę. Mam Ksania, co mi po reszcie świata? Nie powinnam brać za złe jego pragnienia, bym zaznała znowu wesołych, dodatnich chwil po tylu smutnych i szarych, ale on mnie nie rozumie jeszcze. Nie pojął dotąd, że nie rozrywek brakowało mi na wsi, ale jakiegoś echa sympatycznego dla myśli i uczuć, celu w życiu, oparcia dla bardzo zmęczonego serca.

Tego nie pojął i zarzuca mi, że fantastyczką jestem. Zarzut ten robi mi na swój sposób, t. j. zmienia go w pochlebstwo. „Jesteś fantastyczką piękna pani, ale, że ci z tem ładnie bardzo, więc wszystkie fantazye z góry ci wybaczam; choćbyś jutro habit przywdziać chciała i przepasać biodra powrozem pokutniczym, to się nie zdziwię, i w habicie cudną statuetką pozostaniesz, a oto chodzi. Tylko wiedz, że cię odnajdę za wszystkimi murami i zabiorę, i nie pozwolę się tak stropić, jak Ramuncio tego twego ulubieńca Loti'ego."

Jakże mu się tłumaczyć? Przecież nie mogę powtarzać: „chcę ciebie, tylko ciebie!" To upokarzające, bo on to mówić powinien, a nie ja, i niebezpiecznie byłoby tę piosnkę śpiewać *da capo al fine*.

Tak to często, często powtarza się w życiu i w powieści wieczne nieporozumienie mężczyzny z kobietą. Czy oni mogą nas zrozumieć? Może i mogą, może im tylko wygodniej wiecznie pod jeden szablonik nas podciągać.

„Od ciekawości do zalotności na same „ości" końcówki znam"...

Tak śpiewał jeden z moich miłych, dawnych znajomych, na same „ości" wyliczał sto przywar niewieścich. Taką jest kobieta i basta. To tak wygodnie!

Kwiaty były prześliczne na moim stole: białe bzy i białe narcyzy w grudniu. — Boże!

Sędzicki zapłakałby; co to pieniędzy, których dominium nie połknęło, a co to nawozu! powaryowali ci ogrodnicy, a co opału po tych oranżeryach.

Koniec świata!

Wtorek, luty.

Coś się psuje w królestwie — jakiem? nie pamiętam. Tak mówił Shakespeare w którejś ze swoich tragedyi.

Coś się psuje w mojem królestwie, w królestwie moich „marzeń, snów.“ Talia kart zdystansowała mnie w ostatnich czasach; a przecież to walka na śmierć między nami. Wysunęła się o całą głowę, ja zostałam na drugim planie.

Więcej to przeczuwam, niż widzę, bo Ksanio kocha mnie, t. j. kocha się we mnie, siebie samego we mnie kocha, ale wogóle kobiecie więcej pochlebia ta egoistyczna miłość mężczyzny. Woli określenie „kocha się,“ niż po prostu kocha.

Może dlatego, że gdy sam siebie mężczyzna kocha w kobiecie, gdy ona staje się dla niego tem czemś, z czem mu najrozkoszniej, najlepiej, w czem się zapamiętać może i zapomnieć o wszystkiem na świecie, to wtedy kocha najsilniej i najgwałtowniej. W uczuciu ta-

kiem niema wyższości, ale jest siła tak kolosalna, że porywa zdobycz, jak orzeł w szponach gołębia unosi.

Janusz kocha mnie, Ksanio kocha się we mnie; mnie słabą i chwiejną porwał ten silniejszy, a nie ten lepszy.

Ale przecież ja mam teraz zadanie w życiu niepowszednie i niełatwe, więc roznamiętniające: zdeptać talię kart. Podobno wiele kobiet kusiło się o to, podobno w tych nowych zapasach wiele kobiet zginęło zalanych falą kart, jak rozbitek w falach morza ginie. Ba! gdyby nie było niebezpieczeństwa nie byłoby ponęty. Ja dziś dlatego żyję, i temu życie w ofierze niosę, a przecież to coś warte wiedzieć, dlaczego się żyje.

Cichy i bardzo skromny głosik odzywa się czasem we mnie: „Czy to nie cel także szlachetny i niepospolity być szczęściem zacnego człowieka?“ i widzę oczy Janusza oszołomione ciosem, moją ręką zadanym. Miły to głos taki, znakomity, by życie trochę lepiej piołunem zaprawić, taki prawdziwy *„turbator chori.“*

Gdzie ja to czytałam, że dawniej po ascetycznych klasztorach cudnie mnisi śpiewali, a że łatwo im było rozpływać się w rozkoszach harmonii; zaś rozkosze mnichom zakazane, więc jeden bywał obierany na „mąciciela chóru,“ a gdy wzniosły a majestatyczny psalm wzbijał się pod gotyckie sklepienia, nagle taki „pertur-

bator" piał lub wył przeraźliwie, dla zmącenia harmonii. Dziwne koncepta miewali ludzie, ku umartwieniu, już umartwionego z natury żywota i dziwnie bogatą imaginacyę w wynajdywaniu jeszcze nowych torturek w dodatku do miliona tych, na jakie nas życie skazuje, no, ale nie o tem mowa, tylko o moich „turbatorach."

Gdy mi zaczyna być dobrze, a tęczowo, różowym obłoczkiem przyszłość się zasnuwa, a obraz danej chwili złotym pędzlem fantazyi maluje, trrach! wizya z przeszłości, gwoździk maleńki a ostry, wbijany przez pamięć w rdzeń serca i *turbator chori* swojego dokaże, harmonia zmącona.

Czwartek.

Mogłaby ciocia Egida nie wtajemniczać mnie w sprawy Ksania; wolałabym od niego wiedzieć wszystko. Pod pozorem ostrzeżenia mówi mi:

— Wczoraj Ksawerek przegrał do Taylora 6,000 rubli. Ty, Nino, powinnaś wpłynąć na niego, by temu dał pokój; ostatecznie o ciebie dziś chodzi; między nami mówiąc on swego własnego nie wiele ma do stracenia, a wiedz, że karty, to rzecz ryzykowna.

Ja dośpiewuje w duszy: „*Un quart d'henre avant sa mort, monsieur de la Palisse vivait encore.*"

Głośno zaś machinalnie powtarzam:

— Tak ciociu, ryzykowna.

— Gdybyś wymogła na nim słowo honoru, że już grać nie będzie?

Ja kiwam głową, a w duchu myślę:

— Nie, tego nie wymogę, wolę, że gra bez łamania słowa honoru, niż gdyby grał ze złamaniem.

Egida w rodzaju pociech dodaje: — *Qui a bu boira, qui a joue jouera.*

Nie odpowiadam na to miłe pocieszenie, ale myślę: „Jużby też miłość warta była napiętnowania za niedołęstwo, gdyby w takiej zapamiętałej walce o lepsze kart zmódz nie umiała.“

Do cioci Egidy czuję rodzaj antypatyi rosnący w miarę jej ostrzegań; gdyby nie ona nie wiedziałabym. .

O kobieto! wieczny strusiu! już ci dobrze, gdy głowę pod skrzydło schowasz!

Dość, że wiem, a wiedząc próbuję moich fetyszów. Dziś rano Ksawery wpadł niby na chwilkę tylko; zawsze na chwilkę wpada, a potem siedzi godzinami.

— Ninuś, włożysz dziś tę białą tualetę; miałaś ją raz tylko, a ma ona wyjątkowy „*cachet*,“ dla ciebie wyśniona.

— Ciężka. Nie czuję się w niej swobodną, zanadto dworska, trochę za wspaniała.

— Nie, nie maleńka. Już ty mnie słuchaj,

gdy o strój chodzi. Jesteś w niej urocza i majestatyczna. Ta srebrna lama tworzy na tobie, jakby pancerz bogiń Walhalli, wydajesz się niedostępna; lubię wtedy myśleć, żeś moja.

Ja ręce na stole opieram i głowę ukrywam. Dowód, żem smutna i zniechęcona. To nie komedya, bo taką jestem w tej chwili, *mais cela fait son effet.*

— Główka cię boli? co ci to, maleńka? smutna jesteś? masz zmartwienie?

Milczę.

— Powiedz, jedyna. Co ci się stało? Czy może na mnie się gniewasz?

Ręce od twarzy mej odchyla i patrzy mi w oczy. Ja również patrzę na niego, ale poważnie, prawie obojętnie.

— Na mnie? cóż ja zawiniłem pani mojej? czy masz mi co do zarzucenia?

— Do zarzucenia?—powtarzam trochę zimnym głosem. — Któżby się ośmielił co zarzucać wam władcom i panom? Przecież my głosu nie mamy.

— O Ninetko, nie mów tak, to takie absurdum, taka banalna a bezsensowna zwrotka banalnych białych głów.

— Zwykle to, co najbanalniejsze, jest i najprawdziwsze.

Prędko Ninuś, „*heraus damit!*“ gdy co komu dolega, najlepiej pozbyć się. Mów, czemże zawiniłem?

— Czy ja ci winy zarzucam?

— Ach! takie kobiece wybiegi! jakież to niepotrzebne dodatki, zamiast wprost bez niewieścich labiryncików wyjaśnić, o co chodzi.

— Chodzi o to, skoro chcesz wiedzieć, że mi nad wyraz smutno, i że wolałbym być polipem czy żabą niż człowiekiem.

Ksawery się śmieje i woła:

— Ależ ty człowiekiem nie jesteś, tylko kobietą.

— Wyobraź sobie, że w mojem mniemaniu to prawie to samo.

— Mylne mniemanie. Ale powiedz, skąd ta pożądliwość stanu żabiego? Przecież powłoczka twej iskry elektrycznej ładniejsza od żabiej?

— Tak, ale że powłoczka nie jest jedynym ideałem szczęścia, żaby zaś wśród swych wynalazków nie wynalazły kart dotąd..

Ach! więc o to chodzi— i zasępił się Ksanio jak gdyby mu kto oczy gradową, zimną chmurą zasnuł.

— Tylko o to — odparłam mocno zirytowana bo czuję, że Ksawerek nie chce mi dać prawa do wglądania w jego życie zakulisowe, i chciałby odseparować zupełnie swoje zajęcie się nim od zajęcia się jego grą, wygraną i przegraną. Po chwilowem dość przykrem milczeniu, Ksanio się odzywa:

— Czy nie byłoby szlachetniej Ninetko, gdybyś, panując nad mojem sercem, zechciała nie krępować w niczem mojej wolnej woli?

Uniosłam się, bo to już zakrawało na wyzysk mego uczucia i odparłam powstając nagle z miejsca:

— W tej chwili nie wiem, czy byłoby szlachetniej, bo nie czuję w sobie zimnej krwi, ale to wiem, że wolną wolę zostawiam ci tylko o tyle, o ile jej używasz na dobre, protestuję zaś, gdy źle zrobisz.

Ksawery zarumienił się z lekka, ale pohamował rozdrażnienie i odparł ironicznie:

— Najpierw pojęcie złego i dobrego jest elastyczne.

— Jest absolutne, przepraszam, tylko sofiści naciągać je próbują.

— Takie jest twoje przekonanie, pozwól mi mieć moje.

— Pozwalam, ale z góry cię uprzedzam, że musisz wybrać: karty albo ja. Bo czy się mylę w twojem pojęciu, czy nie, faktem jest, że kart obok siebie nie zniosę.

I patrzałam na niego z bijącem sercem, którego uderzenia wprost tamowały mi oddech. Ksanio patrzał na mnie także przez krótką chwilę, nagle i on się porwał z miejsca, przyciągnął mnie do siebie i powtarzał:

— Zazdrosna! zazdrosna! Moja Ninetka zazdrosna. O! ty fetyszu ukochany, jabym się

dla ciebie wyrzekł siedmiu rajów Mahometa i Nirwany nawet. Rozkazuj, autokratko.

— Nie będziesz grał, Ksaniu? Już nigdy nie będziesz?

Puścił mnie i zaczął szybko chodzić po moim gabineciku, jak tygrys w klatce, na miejscu prawie się kręcił, bo wśród stolików i ekranów i sofek i pufów miejsca niewiele. Patrzałam na niego z pod oka. Toczył walkę ze sobą! Wreszcie stanął przy mnie i rzekł:

— Przenigdy nie byłbym przypuścił, że takie szaleństwo przyrzekać będę, i wiem, że gdybym się dłużej zastanawiał, nie przyrzekłbym, ale tak nagle, może to i najłatwiej przychodzi, gdy ci dam słowo honoru, spalę mosty za sobą, a wtedy...

— Nie, nie — zawołałam — słowa honoru nie chcę.

Zdziwiony spojrzał na mnie.

— Nie, nie chcę; daj obietnicę bez przysięgi, jeżeli masz wolę i trochę stali w sobie to wystarczy; jeżeli nie masz to...

— To?—i groźnie czoło zmarszczył.

Nie śmiałam wyjaśnić mych obaw, bo przecież i sobie samej rzec trudno: „To i słowo honoru wydrzesz z pamięci, jak się wydziera kartkę niemiłą ku zapamiętaniu?“

Wybiegiem odparłam na jego pytanie.

— To... mniej się skrępowanym uczujesz przeze mnie, więcej niezależnym; słowo honoru,

to jak kajdany; tego się nie druzgoce, więc ciężyć musi. Mnie twoja obietnica wystarczy.

— Wspaniałomyślna istoto!

I Ksanio uroczyście dziękował mi za łaskę, a kochając się we mnie, odczuwał wysokie zadowolenie w tej chwilowej abnegacyi. Sprawiało mu to rozkosz stawiać mnie na piedestale i bić pokłony przede mną, jako przed istotą, która jego wybrała, jego ukochała i w nim ginie.

Sobota

Już od kilku tygodni słowa tu nie umieściłam. Cudownie dobrze mi na świecie! Więc poco pisać?

Wszyscy wiedzą, że jesteśmy zaręczeni, już nam życzenia składają. Swobodniejszą jestem. Dawniej skrępowaną się czułam; wzgląd na sądy ludzkie nie pozwałał mi wyzyskać chwil rozkosznych z Ksawerkiem. Nie lubiłam, gdy na balach i rautach zanadto mną się zajmował, zawsze to wyglądało na niejasną sytuacyę.

Ale teraz już odetchnęłam. Najpierw widzę Ksania szczęśliwym przeze mnie, zupełnie innym człowiekiem; zdawałoby się, że od chwili, gdy wybrał solennie między mną, a memi tekturowemi, malowanemi rywalkami, i on sam jakiś lepszy, cichszy, mniej nerwowy. Cały mnie

oddany; nasze projekta na przyszłość są projetami dwojga młodych istot, nie znudzonych istnieniem, rwących się do życia dobrego i dodatniego, pełnego czynu.

To jest dla mnie nowy Ksanio, a ten nowy to moje dzieło. Nareszcie wiem, czemu mi Bóg dał życie; nareszcie czuję w sobie dodatni jakiś żywioł, i dumna jestem, jak żaden Aleksander, Cezar, albo Napoleon, po żadnem zwycięstwie być nie mógł. Uwierzyłam, że Ksanio potrafi panować nad sobą, a ja mu będę aniołem opiekuńczym i ta rola wznosi mnie gdzieś pod zenity.

Poco tracić czas na pisanie o swem szczęściu? Lepiej czuć szczęście w nas obojgu, i tem podwójnem szczęściem, jak wodą letejską obmywać wszystkie blizny na sercu i duszy, wygładzać wszystkie zmarszczki duchowe; chcę mu oddać duszę jasną i młodą i pogodną, jaką była, gdy świat swoim oddechem nie skaził jej jeszcze, a cierpienie, idące w ślad za skazą, nie zraniło do głębi.

Ach! tak mi dobrze! Za tyle lat smutku, należy mi się to od nieba.

Niedziela.

Ostatni dziś bal mój w tym karnawale; środa popielcowa tuż, a jutro i pojutrze tańczyć

nie będę. Godzina ósma wieczorem. Za godzinę zacznę się ubierać, teraz mam trochę spokoju i miło mi sam na sam ze sobą pogawędzić. Cały luty zeszedł, jak marzenie; nie obchodziły mnie mrozy, ani brud z rozdeptanego śniegu na ulicach, ani pochmurne najczęściej niebo; nic o tem nie wiedziałam.

Mój gabinecik, dzięki Ksaniowi, to oranżerya; najwięcej białe kwiaty lubię, więc też pachnące i śnieżne konwalie z narcyzami, bzy z azaliami, hiacynty z goździkami otaczają mnie w żardinierach i bukietach. I tak tu ślicznie, takie „*sweet home*“ mam w tem kwiecistem gnieździe. Gdy ogień pali się na kominku, a lampa pod abażurem słabo świeci między kwiatami, nas dwoje tylko na całym świecie i dla nas świat.

Milczemy, poco mówić? czyż oczy nie zastąpią słów? Kwadrans temu Ksanio mnie opuścił, ale właściwie on się ze mną na chwilę nie rozłącza. Mam go ciągle z sobą, nawet gdy mi z oczu znika. Maleńka chmureczka poróżniła nas dziś na sekund parę, ale to jedna z tych, po których jeszcze promienniej słońce świeci.

Tadeusz ukazał się na horyzoncie karnawałowym i, co dziwna, a dla mnie stanowi nawet niespodziankę, że nie zmienił wcale swego zachowania się względem mnie. Należy wyraźnie do kółka mych wielbicieli. Czasem staje się trochę sentymetalnym, jakby się skarżył na

zawód, jakiego doznał, i na pustkę w swem życiu. Wczoraj odezwał się do mnie:

— Należę do rzadkiego gatunku ludzi którzy raz tylko kochają, a w tej jednej miłości są jak pies wierni i jak pies czujni; odpędzeni wracają.

To mnie trochę dotknęło, jako zanadto wyraźna aluzya, więc odparłam na pozór żartobliwie:

— Psiej godności afekt taki nie ubliża, ale człowieczej ubliża.

— To kobiece pojęcie, w istocie kobieta ma inny rodzaj godności, niż mężczyzna, inne są rzeczy, których jej nie wolno, inne, których nam, inny kodeks słowem.

— W tym kodeksie kobieta trochę jest pokrzywdzona, zdaje mi się — odparłam, by coś powiedzieć.

— Bo kobiety mają oczy tylko do spostrzegania tego, czego im brak, a nie chcą widzieć swoich przywilejów.

Rozmawiałam z nim dość uprzejmie, bo to jego rys dodatni, że do mie urazy nie żywi. Myślałam, że on zawzięty i mściwy, pamiętam niektóre żółciowe spojrzenia, jakie rzucał na Janusza, pamiętam też ów sławny panegiryk, zbudowany na cześć Ksawerka. I jeszcze różne rzeczy pamiętam, jakie mi o nim opowiadadano. Dość oburzona była opinia sąsiadów na niego, gdy z dnia na dzień oddalił rządcę, ojca

licznej rodziny, za „brak subordynacyi,“ tak określał przestępstwo owego biedaka, który podobno raz jeden arbitralnym wyrokom hrabiego śmiał opozycye stawić. Że go bez chleba zostawił, było to już okrucieństwo, ale, że mu psuł opinię ludzi, uniemożliwiając znalezienie nowego stanowiska, to mnie oburzało. Zawziętości jego miałam i inne dowody. Wiem, że pamięta urazy życie całe i umie deptać nieprzyjaciela. Ze swym szwagrem, którego nienawidził, procesował się zapamiętale przez długie lata, a wygrawszy proces, bez litości korzystał z wygranej, choć przez to zrujnował nieledwie siostrę rodzoną. Swoją drogą nieraz hojnie sypie na cele w pismach ogłaszane, a że przytem jest bogaty, praktyczny i w swoim zakresie mądry bardzo, więc wogóle liczą się z nim ludzie, z rad jego korzystają i w kraju ma opinię pożytecznego członka społeczeństwa.

Nie, nie i nie! Nigdy się do Tadeusza nie przekonam—coś mnie odpycha od niego; Lombroso, czy Kraft Ebbing powiedzieliby, że nasze haczykowate atomy nie pasują do siebie. Nie wiem, czy rzeczywiście składam się z atomów i czy te są haczykowate, ale wiem, że Tadeusza nie lubię; więc tem bardziej bawiła mnie pretensya Ksania, gdy o niego chodziło, dziś właśnie robił mi o to wymówki

— Ninuś nadużywa praw swoich — mówił Ksanio — wolno ci bałamucić mała kokietko

c'est ton métier i ja cię lubię w tej roli, ale nie wolno poważnie rozprawiać półgłosem z milionerami ex-konkurentami, tego nie lubię i kładę *veto*.

Serdecznie się roześmiałam.

— Gdybyś o Sędzickiego był zazdrosny, miałbyś więcej powodów do obaw; gdy o tego rywala chodzi, możesz przyjemnie drzemać, nic cię nie przebudzi.

— Kiedy właśnie ten jeden mnie niepokoi, może dlatego, że z jego powodu mam wyrzuty sumienia.

Wielkie okazałam zdziwienie.

— Tak, mam. Ostatecznie cóż ja ci daję? samego siebie, a to taki marny dar; a on mógł cię otoczyć blaskiem i przepychem nieledwie królewskim.

Teraz znowu roześmiałam się głośno:

— Ależ Ksaniu, co ty mówisz? Najpierw nie byłby mnie blaskiem otaczał, bo skąpy, więc jego kapitały gromadzące się w akcyach, czy bankach, mało dałyby mi przyjemności; przeciwnie, wiedz o tem, że krytykował Marylkę, gdy sobie i Julce sprawiła fularowe tualety na lato. „Perkal najodpowiedniejszy“ wyrokował. A potem te jego wyroki bez apelacyi! człowieku! wyrokiem jego skazana byłam na niewolę, gdyby ją uznał za odpowiednią, a uznałby. Więc proszę, cofnij słowa swoje, bo mi się bardzo nie podobały.

— Nie podobały ci się, bo jesteś taką niepraktyczną, eteryczną, poetyczną Ninetką, ale ja w mojej męskiej, więc cięższej wyobraźni, widzę cię pokrzywdzoną materyalnie, gdyś mnie wybrała.

— Ksaniu, czemu chcesz w taki nędzny sposób zakłócać cudną, kominkową harmonię? Patrz, jak tu ślicznie i ciepło, a ty materyalisto do prozy nawracasz.

I prędko zgoda nastąpiła.

Za godzinę zobaczę go znowu, tego wybranego, tego bardzo kochanego, który mi nic nie daje, oprócz siebie, i tym olimpijskim darem tak mnie bogaci, że czuję się najbogatszą na obszarze ziemskim.

Zwyciężyłam! Teraz rozumiem, czem jest uczucie tryumfu, teraz rozumiem, jakie wrażenie rozpiera pierś tryumfatorów, czego doznają i jak się upajają!

Wtorek.

Ciocia Egida miła jest, niema co mówić. Co prawda czuję, że łaski jej straciłam, a to niebezpieczne; straciłam dobrowolnie, bo ją kilka razy drapnęłam lekko, leciuteńko, ale ona na drapnięcie wrażliwa, szczególniej gdy chodzi o jej miłość własną, bo tą miłością żyje.

Wczoraj, na pozór od niechcenia, całkiem niewinnie odezwała się:

— Ksanio mi imponuje. Już od dwóch miesięcy kart nie dotknął; powinszować ci trzeba, Nino, to twoja zasługa.

— Przedewszystkiem jego, jeżeli go to kosztuje, ale myślę, że nie tak bardzo, jak świat przypuszcza, ostatecznie on nigdy karciarzem nie był; grywał dla rozrywki, dawał się unosić chwili, ale nie było to jego namiętnością.

Zjadliwie uśmiechnęła się pani Egida.

— Mylisz się kochanko; był graczem namiętnym, ale tem więcej powinszować ci należy zwycięstwa, choćby tylko chwilowego. Taka namiętność nie daje się ujarzmić, wierz mnie doświadczonej.

Wyraz „chwilowego" podkreśliła, jak gdyby chciała mnie podrażnić.

— Znam Ksania lepiej — odparłam dość wyniośle - i mogę ciocię zapewnić, że nie chwilowem tylko jest jego wyrzeczenie się kart. Przykro mi, że ciocia i świat cały macie go za szulera; dziwnie doraźne i miłosierne sądy wydaje nasze miłe towarzystwo.

To było dość impertynenckie, ale, że się z tem odezwałam nie u siebie, tylko w jej domu, więc nie żałuję tak bardzo. Mam do baby antypatyę i koniec; zawsze mi się zdaję, że dusza straganiarki przypadkiem zabłąkała się do ciała pseudo wielkiej pani.

Kwiecień.

Wielkanoc się zbliża. Wiosna pachnie. Niedługo wyrwę się do Krusznicy, a potem klamka zapadnie. Będę żoną Ksawerka. Dobrze! oby prędzej, już też i czas. Ksaniu, żona twoja otoczy cię taką miłością, że nie pożałujesz nigdy, iż dla niej wyrzekłeś się tego, co urok życia stanowiło dla ciebie.

Jak ten post prędko minął! jak jedno marzenie. Względnie nie wiele bywałam. Ksanio, odkąd dla mnie zrzekł się najgorszych pokus, więcej mi jest oddany i unika licznych zgromadzeń, najszczęśliwszy, gdy sami jesteśmy. Może dlatego, że głośno wobec świata zamanifestowaliśmy prawa nasze do siebie i węzeł, który ma nas związać na życie. Dlatego ufam, że gdy żoną jego będę, jeszcze silniej przywiążę go do siebie.

A te listy, jakie od matki i siostry jego odbieram! co to za rozkosz budzi taka wdzięczność u takich istot. Matka jego pisze mi, że gdy mnie poznała, wybrała mnie na synowę swoją; że mnie ma za istotę opatrznościową, że ręce moje całowaćby chciała, jako tej, która jej syna ratuje. Aż mnie wstyd czasem, że za moje własne szczęście tak mi dziękują, jakobym zasługi jakie miała.

Od Marylki tylko listy coraz rzadsze. Żyje

tak odmiennem życiem od mego, że na razie nie rozumiemy się; zaczęłyśmy mówić do siebie innymi językami. Gdy się dusze i umysły dobiorą, to pomimo odmiennych narzeczy potrafią się porozumieć; gdy się różnią do gruntu, lub życie odmiennemi je uczyni, to używanie jednego języka nie pomoże; nie rozumieją się. Otóż chwilowo, mam nadzieję, że chwilowo tylko, zamieszkujemy inne światy: ona ziemię, na której silnie oparta, w prozie zakorzeniona, stanowi silną także i pożyteczną roślinę. Ja w moim różowym obłoczku pływam po lazurach i nie lubię schodzić na dół, do rzeczywistości. Miło mi zapomnieć o Sędzickim, Castrelce i rachunkach.

Mój Boże, prawda! kto też będzie rachował, bo Ksanio z góry się zarzekł, że nie on. Sędzicki naturalnie; ale Sędzicki bardzo się obrazi, gdy nikt nie zechce kontrolować jego piramid, czy kolumn cyfrowych. Już teraz gdera w krótkich, bardzo lakonicznych listach.

Ale szaleństwem byłoby psuć sobie tych kilka uroczych miesięcy rozmyślaniem nad prozą Sędzickiego. Wolę, póki można, póki tylko można zapomnieć, że są ciężary na świecie.

Biedny Ksanio, on niestety, nie umie tak zapominać, jak ja. Prawda, że jego ciężary są podobno niebezpieczniejsze od moich. Czasem usiłuje wtajemniczać mnie w te obawy:

— Zgraja lichwiarzy mnie otacza—mawia.

Mam uczucie, jak gdybym u ciebie jednej znajdował schronienie przed sforą psów gończych. Ty ani pojęcia, nie masz z jakiem okrucieństwem znęcają się nade mną, ach! czasem chciałbym połknąć kilka kropli jakiej dobrej trucizny, by im figla spłatać i ujść pogoni.

— Ksaniu! i to ty mówisz? nie podobna, aby ci na sekundę nawet myśl taka miała postać w głowie. Czemu brać do serca takie materyalne nędze? Sędzicki wszystko wyrówna, wszystkiemu da radę; nie bój się, tylko mu wyjaśnij całę sytuacyę, a zobaczysz, że temu podoła.

Roześmiał się Ksanio ironicznie i odparł:

— Temuby i Salomon nie podołał. *Passons,* mówmy i myślmy o czem innem; to niezabawne.

Rzeczywiście niezabawne. Chętnie stosuję się do jego woli. Czuję, iż jemu tylko mimowolnie wyrywają się czasem takie skargi, ale wogóle nie lubi mówić ze mną o swoich interesach, i ma w tem słuszność. Cóż ja mu mogę poradzić? Gdy będę jego żoną, co moje, jego będzie, no, a wtedy i zgryzota jego się skończy. Dlatego też nie odkładam terminu na później; ze wszech miar lepiej, by się ten stan przejściowy prędzej skończył.

Kwiecień, Wielka sobota.

Wczoraj siedziałam w kościele św. Aleksandra przy stoliku, składki zbierając. Ksanio był naszym delegowanym i miał ochotę zanadto po światowemu rolę swoją spełniać, ale szczęśliwie byłam w towarzystwie bardzo zacnej i świętobliwej staruszki pani Branowskiej, która w skupieniu ducha odmawiała różaniec, widocznie pragnęła spokoju, więc dałam znak Ksawerkowi, by koncepta na później odłożył i zachowywał się wzorowo, dopóki między innymi nie zabłądził Tadeusz do naszego stolika.

Rzuciłam na niego najbardziej czarujące spojrzenie. Przecież, jeżeli kto, to on mógł zasilić kasę naszą, to warte było uśmiechu. Nie zawiodłam się w oczekiwaniach. Tadeusz sypnął hojną ręką dziesięć złotych dukatów. To jedyna chwila, w której miałam ochotę go pocałować, jedyna i niepowrotna naturalnie.

Gdy odszedł, Ksanio wycedził przez zęby:

— Parweniusz!

— Nie parweniusz — odparłam gorąco się za nim ujmując, nazwisko jego wiele setek lat temu już było znane, a gdy przytem wyjątkowo hojny, czegoż go krytykujesz?

— Więc pesymiści mają racyę, że sympatyę kobiet także złotem okupić można.

Spojrzałam na Ksania zdziwiona i smutna.

Przecież on nie ma prawa tak się odzywać. Nerwy! niedługo gdy pies ugryzie, to przeprosi od niechcenia ugryzionego, bąknąwszy: „nerwy.“

Zabolało mnie to głęboko, bo Ksanio nawet od niechcenia nie przeprosił i raczył być w złym humorze do końca. Przecież wiem, że to nie zazdrość, na to byłabym dziś wyrozumialszą, ale on zazdrosny o mnie nie jest. A trudno nie pogodzić się z myślą, że zazdrosny jest o miliony Tadeusza.

Zresztą choć mężczyźnie wolno być nielogicznym, bo jego brak logiki ukryje się pod płaszczykiem innego określenia, to przecież bijąca w oczy jest niekonsekwencya w postępowaniu Ksawerka. Nieraz zdziwiona byłam, gdy przez kilka miesięcy Ksawerek patrzał łaskawym okiem na swego ex-rywala. Nawet zwracałam mu na to uwagę, bo rodzaj zażyłej poufałości, jaki zdawał się łączyć stopniowo tych panów, trochę mi się nie podobał.

Ksanio odparł wtedy.

— Ja do niego nie żywię urazy, o co? skoro ty mnie, a nie jego wybrałaś. On zaś zapomniał, darował, jest dla mnie życzliwy, więc tem lepiej.

— Mnie się zdaje Ksaniu, że on ani zapomniał, ani darował.

Ksawerek uśmiechnął się pobłażliwie:

— O kobieca zarozumiałości! nie pojmujesz,

że o takich rycerzach można zapomnieć i darować je.

— Wierz mi Ksaniu, że nie dlatego; przeciwnie, dziwi mnie zawsze, gdy który z was żywi o to pretensyę do nieszczęsnej kobiety, której niech wolno będzie choć odmawiać, skoro jej niewolno odezwać się pierwszej. Ale w tym wyjątkowym razie doznaję jakiegoś przykrego uczucia Tadeusz nie jasną gra rolę, nie czuję w nim życzliwości dla ciebie.

— Mogę ci złożyć dowody przeciwne.

— Naprzykład?

— Proponował mi bardzo serdecznie, jak na niego, pożyczkę i to znaczną, wie, że tonę w długach.

— Przyjąłeś?

Zawahał się Ksanio przez chwilkę — poczem odparł wymijająco:

— Do pewnego stopnia.

Nie pytałam, bo nie chcę być niedyskretną, to jego prywatne sprawy, do tych się nie mieszam Zresztą nie jestem zawziętą kobietą, chętnie cofam swoje zdanie, gdy mam ku temu dostateczne powody: opinię o kimś zmienić na lepsze, to dowód bezstronności. Rada byłam, że o Tadeuszu nabrałam lepszego przekonania. Uprzedzałam się do niego; żałuje mych uprzedzeń.

Dlatego też po wczorajszem tak sarka-

stycznem odezwaniu się Ksania, gdy o Tadeusza chodziło, po prostu czułam się dotkniętą. Dawniej, kiedyś Tadeusz surowy sąd wydał o Ksaniu, ale gdy go bliżej poznał i ocenił, urokowi jego nie potrafił się oprzeć i cofnął zdanie swoje, bo wyraźnie stara się o zażyłość z Ksawerkiem, a tem ofiarowaniem mu pożyczki najlepszy dał dowód, że chciałby mu być użytecznym.

Po namyśle rada nawet jestem z zażyłości tych panów. Tadeusz może mieć dobry wpływ na Ksania; jego stalowy charakter, zimna krew, panowanie nad sobą znane są. Ma on w swoim świecie kilku nieżyczliwych, ale nieżyczliwość ta pocichu się manifestuje. Między innemi wuj Maryan go nie lubi, a jako weredyk nie tai się ze zdaniem. Wuj Maryan trochę ostygł w podziwie swoim dla mnie; gdy się o moich zaręczynach z Ksaniem dowiedział. Oryginalnie nawet i niezbyt grzecznie składał mi życzenia swoje:

— Mówiono mi coś, że się na to zanosi, ale ja wagi do tego nie przywiązywałem, u nas gdy dwoje młodych więcej z sobą rozmawia, zaraz z tego małżeństwo ukują; no, a ja cię miałem za rozsądną kobietę, po tych czteroletnich przygotowaniach do życia.

— Czy dałam powód, by wuj zmienił zdanie? — zapytałam mocno dotknięta.

— Przepraszam cię Nino, ale, widzisz, mu-

szę mówić to, co myślę, zresztą, pamiętaj, że narzeczeństwo to nie ślub. Trzeba tylko mieć odwagę swoich opinii, nie lękać się, lepiej się cofnąć zawczasu, niż życie sobie łamać.

— Wuj nie łaskaw na Ksawerego?

— Och! o łaskę nie chodzi, dziecko drogie, chodzi o twój los, który mnie żywo zajmuje. Ksawery podług mnie nie powinien się żenić. Zarzucałem mu różne rzeczy, a tę, że cię związał słowem, zarzucam mu najmocniej.

— Skoro w tem moje szczęście? — odparłam na pozór uśmiechnięta żartobliwym głosem, bo mi żal zrywać było z wujem, jedynym blizkim krewnym i sympatycznym bardzo. Ale on jakoś odsunął się ode mnie; wkrótce wyjechał i teraz, od kilku dni dopiero, przybył po swoich chłopców, których zabiera na wakacye. W przelocie tylko bywa w Warszawie.

W niedzielę palmową byliśmy razem na herbacie u cioci Egidy, która jest jego blizką kuzynką. Rozmowę skierowano na klub i sprawy klubowe.

— Nowy filar przybył wam, słyszę—odezwał się wuj do Brzeżewskiego, który jest „*un habitué*“ u ciotki.

— Kto taki?

— Hrabia Tadeusz.

— Ach to nie filar żaden; to za poważny obywatel, by na klubowego filara się kierował przerwała ciocia Egida.

— Nie wiem, kto go ochrzcił tem „poważnem“ mianem; za takiego chce on uchodzić, ale obywatelstwo, ja przynajmniej inaczej pojmuję. Swoją drogą dziwi mnie, że na czas tak długi zainstalował się w Warszawie. Czy tu ma jakie nowe ważne interesa?

— O, tych mu nie brak. To pewnie główny powód jego dłuższego pobytu.

— Dla rozrywki grywa w karty? — pytał wuj ironicznie.

— Tylko dla rozrywki. Nie gra wysoko, przynajmniej rzadko bardzo, co jest tem większą zasługą, że ma szalone szczęście, zimna krew bardzo mu w tem pomaga; nie ryzykuje, zdaje się grać na pewno—dodał widocznie dobrze wtajemniczony pan Brzeżewski.

Wuj Maryan znowu oczy zmrużył, ironicznie się uśmiechając, ale nie poruszał więcej tej sprawy, wyraźnie jednak zaznaczył brak sympatyi dla Tadeusza.

Jednakże mój wujaszek rości sobie prawo do zbyt surowych sądów. Ksanio grać przestał, mógłby wspaniałomyślnie o przeszłości zapomnieć, a Tadeusza niewinną rozrywkę potępia także. Gdy gra nie jest namiętnością, to się staje wypoczynkiem dla umysłu; przecież o takie słabostki nie powinniśmy rzucać na siebie kamieniem. Nienawidzę przesady!

Środa.

Już koniec kwietnia. Już tu i owdzie drzewa zaczynają zielenieć, a ja tu jeszcze! Zaczyna mi być duszno. Odwykłam od atmosfery miejskiej. To jednak strasznie trywialny i plebejuszowski wynalazek takie miasto. Ocierać się o wszystkich, ścierać ze wszystkiemi! Wszystko do wszystkich należy: muzea, galerye, ogrody, ulice i sklepy, tłum szary i brzydki, a ja w tym tłumie ginę, nie liczę się, mój ubytek nie stanowi różnicy, moje istnienie nie jest brane w rachubę.

Są to poglądy egoistyczne i arystokratyczne, bo arystokracya buduje się cała na egoizmie, może być; ale gdyby tłum był piękniejszy, lepszy, więcej intelligentny, to mniej działałby mi na nerwy i chętniej mieszałabym się z ogólną falą ludzką. Pewnie kiedyś takim będzie, bardzo tego pragnę. O tyle jestem postępowa, ale póki jest bezdusznym, nędznym moralnie i fizycznie, to nie umiem w sobie wzbudzić osobistej do niego sympatyi. Staram się współczucie rozdmuchać w sobie, robię, co mogę, by w maleńkiej choćby cząsteczce ulgę przynosić tym, co cierpią, ale poza tem wole się trzymać z daleka. Marylce nie przyznałabym się do tego. Ona tak bardzo czynnie miłość bliźniego pojmuje, ale też wobec niej czuję się tak

małą, tak małą, że może ta moja pokora niebiosa przebije.

Ksanio jakiś nieswój. Kilka razy ziewnął wczoraj i to tak cichutko, nieznacznie, ale ja spostrzegłam. Zasmuciło mnie to więcej, niż obraziło, bo nie jestem młodą pensyonarką i nie roszczę pretensyi do wiecznych ekstaz; ale owo ziewnięcie szło w parze z podsiniałemi oczyma Ksania. Twarz mu się wyciągnęła w ostatnich czasach i nabrała owego niebezpiecznego dla młodości odblasku kości słoniowej. Zdaje się zmęczony, może niezdrów, a na moje pytania nie chce się przyznać do choroby.

Pamiętam ja takie oczy zmęczone, jakoby w głąb się cofające. Mój biedny Staś po źle przespanej, przekaszlanej nocy miewał takie. Więc nerwy moje podrażnione w mig imaginacyę podniecają, i Bóg wie, co mi się widzi, drżę po prostu.

Dziwni ci panowie! ich nigdy kobieca troskliwość nie rozczula, drażni prędzej, bo i Ksanio nie rad był mojej indagacyi:

— Tobie coś jest — pytałam — może cię głowa boli, zmęczony jesteś?

— Nic mnie nie boli Ninuś, cóż ci znowu przyszło do głowy?

— Przecież nie pomizerniałeś bez powodu, i posmutniałeś także. Powiedz co ci jest? czy źle sypiasz w nocy?

— Źle sypiam.

— No, to fatalne. Dlaczego? Kaszlesz może?—zawołałam przestraszona.

— Co znowu!—i zaczął śmiać się nerwowo trochę, jesteś chorą na imaginacyę Nino, dajże pokój, *je ne suis pas dans mon beau jour*, i koniec.

Dla niego koniec, ale dla mnie nie. Czemu on źle sypia? Wiejskie powietrze dobrzeby na niego podziałało. Chociaż i tu regularne dosyć życie wiedziemy; rozchodzimy się po jedenastej, a on potem zaraz spać się kładzie. Tak mi obiecał, bo ja tego żądałam Może on biedak tak się martwi tymi długami? Ale bo też niepotrzebnie wykosztowuje się na urządzanie domu. Najpierw, to takie mizerne te względy ludzkie, aby nie chcieć od razu zamieszkać w Krusznicy. Tam nie potrzeba ani dodać, ani ująć; ślicznie jest. Gdyby nie odnawianie całego pałacu w Rudzience, moglibyśmy wziąć ślub choćby jutro cichy, ze świadkami tylko, gdyż inny w mojem położeniu sensu by nie miał. A ci majstrowie grzebią i grzebią. Naturalnie, gotowi tak zwłóczyć jeszcze i miesiąc cały, zupełną ruinę zrobili na razie, tak, że o zamieszkaniu w Rudzience mowy być nie może. Moglibyśmy gdzie wyjechać na czas jakiś, ale niestety te interesa, które Ksanio reguluje, nie dają mu spokoju. Gdyby on mi się chciał zwierzyć.

Naturalnie, że dlatego nie sypia. wiem, że go to dręczy.

Sobota.

Ksanio jakiś inny, nerwowy, niespokojny, mizerny. Drżę z obawy. Czy on nie chory? Może ,ma jaką ukrytą chorobę, o której sam nie wie, albo sam przed sobą tai? Nie śmiem pytać nawet, bo prawie niegrzecznym się staje, gdy zwracam uwagę na jego wygląd.

— Dajże pokój Nino, to śmieszne. Przecież nie jestem ani małem dzieckiem, ani babką szpitalną, aby we mnie choroby wmawiać. Skoro ci mówię, że mi nic nie jest, to wierz.

Łatwo mu to mówić. Zaraz znać, że nie przeszedł w życiu tych udręczeń, które ja przechodziłam. Wiem, że mnie kocha, bo takie rzeczy się czuje, a słowa jego bywają teraz niekiedy jeszcze gorętsze, niż dawniej i prawie boję się jego zdań niespodzianie czasem i bez związku rzucanych.

Mówiliśmy dziś rano o rzeczach całkiem obojętnych, pokazywałam mu nowy numer *Graphic'u*, w którym śliczna jest illustracya najnowszego obrazu Howarda. Nagle wziął mi *Graphic* z rąk.

— Co mnie to może interesować - zawołał i ukląkł przy mnie, głowę o ramię moje

opierając. Gdyby tak w tej chwili oczy zamknąć na wieki, razem z tobą, ty moja, razem z tobą!

Jak mi smutno, gdy on się tak odezwie i sraszno nawet.

Niedziela.

I ciocia Egida zdała mi się na coś. Zanadto gnębił mnie smutek Ksania, a wiedząc, że go długi naglące męczą, zwierzyłam się z tem Egidzie, bo choć jej nie lubię, ale jestem sprawiedliwą i znam jej zalety. Jest usłużna, praktyczna i wszystko wie, a gdy chce umie być dyskretną. Po dłuższej walce z sobą zaczęłam ją badać, co do możliwości wykupienia weksli Ksania. Teraz Ksanio nie dowie się o tem, a po ślubie daruje mi, wierzyciele radzi z wypłaty milczeć będą, a potem...

Sama nie dałabym temu rady, bo weksle, rewersy, kontrawersa, czy też kontrawersye, stanowczo nie dla takiej ptasiej głowy stworzone, ale ciocia Egida imponująco obznajmiona z tem wszystkiem. Podobno i ona w długach, biedactwo.

Przecież niepodobna bym Ksania ratować nie miała, ja, prawie jego żona!

Wtorek.

Co ja pocznę? co ja pocznę? Ach! ohyda ludzka niema granic. List anonimowy! czy może być podlejsza rzecz na świecie? Kto się nie lęka splamić tak wstrętną niegodziwością!

A! czemuż ja go czytałam, gdy nie miał podpisu! Przecież trzeba było ten marny świstek w ogień wrzucić i ręce potem umyć razy kilka, by do nich brud nie przylgnął. Myślałam, że anonimy tylko w teatrze grają rolę, dla rozwiązania zagmatwanej sytuacyi, ale nie wierzyłam w ich istnienie w życiu. Poco ja to czytałam? i czemu o tem myślę, skoro w to nie wierzę?

Bo nie wierzę!

Ktoś chce Ksaniowi szkodzić w mojej opinii. Wstrętni ludzie! Ksawerku, mój mężu, mój panie, mój serdeczny, przepraszam cię za to spojrzenie, które na ową brudną kartę rzuciłam. Przepraszam cię za pamięć moją, która niegodne a ubliżające ci słowa, przechowała mimo woli mojej.

Najpierw to kłamstwo, że Ksawerek gra; w anonimach zawsze kłamią. Gdyby grał, to przyznałby mi się. Potem to podłe, stokroć podłe kłamstwo, że długi jego płacą wszyscy, mężczyźni i kobiety. Przecież to nie wytrzymuje krytyki! Przecież ma mnie, pocóżby do innych się udawał.

Jaka to podła dusza być musi, która takie rzeczy wymyśla i ma odwagę napisać!

Gdybyż to zabić w pamięci! Ale nie mogę, zdaje mi się, że o tem nie myślę, a myślę. Co tu począć? Przecież Ksaniowi tego nie powiem; nie potrafiłabym, to byłoby wprost bezwstydne mówić mu o takich rzeczach. On nie ma przyjaciół. Mężczyźni go nie lubią, ale, żeby się w takiem błocie kąpać dla podłej zemsty!

Co ja pocznę?

Ach! gdybym mogła zapomnieć! To jest właśnie nieśmiertelność czynów ludzkich. Bóg przebaczy, świat przebaczy, sami sobie przebaczymy, ale co się raz w pamięć wbiło, to żyje i żyć będzie na wieki. I ja wiem, że nie zapomnę! oby ten, kto list ten pisał, dławiony był dniem i nocą pamięcią tego nikczemnego czynu!

Kogo ukarał? Ksania? Nie jego, on niewinny, więc słusznie, że nie jego, ale cóż ja temu komuś zawiniłam, że mnie chciał zatrutym jadem zarazić? Bo to jak zjadliwy jad list taki. Nie wierzy się, a jednak...

Nie. Nie mogę dłużej pisać o tem. Postaram się zagłuszyć brzmienie tych kilkunastu nikczemnych wyrazów Może przy wielkiem usiłowaniu zatrą się w pamięci.

Sobota.

Gdyby Ksanio chciał mogłabym zapomnieć, ale on mnie dręczy. Czemu mizernieje? Czemu przygnębiony? co mu jest? Taka trwoga we mnie! Takbym chciała wydobyć z siebie żądło. Kto mi je wyjmie? Ksanio jeden mógłby.

Niedziela.

Jutro wyjeżdżamy. Okropna rzecz i niesłychana! Ziemia mi się z pod nóg usuwa. Ksawery przegrał dużą sumę do Tadeusza i nie ma czem zapłacić.

Ja zapłacę! Dziś jeszcze, za godzinę będą pieniądze, ja zapłacę. Ale Tadeusz dowie się, że narzeczona płaci honorowe długi swego narzeczonego. Czemuż już żoną jego nie jestem? Przeklęta namiętność!

Ksawery grał i wiedział, że nie ma czem płacić!

Co to jest? To zmora pewnie, to być nie może! nie może!

A przecież mi się nie śniło. On sam na jawie, a nie w śnie okropnym, wpadł do mnie z oszalałym wzrokiem i zawołał:

— Nino, dziś, zaraz muszę mieć 65,000 rubli...

Patrzałam na niego w osłupieniu, a serce we mnie bić przestało.

— Nie masz?—wołał—powiedz, jeżeli nie masz, to sobie zaraz w łeb palnę.

— Mam Ksaniu, mam, cicho! uspokój się—błagałam—wszystko, co moje, twojem jest. Co się stało? powiedz.

— Ta podła kanalia, ten twój Tadeusz, ten mój zły duch! On mnie kusił i póty pracował nade mną, póki się nie stałem jego ofiarą. A ten jego spokój! ta zimna krew, o! to zły duch ten człowiek. Zgubił mnie, zgubił!

— Nie zgubił cię, drogi mój, ja przy tobie jestem. Nie bój się. Wszystko się naprawi. Przecież ja temu winna po części. Gdyby nie ja, Tadeusz nie prześladowałby cię. Chcę to złe naprawić. Uspokój się Ksaniu, masz mnie na życie całe. Naprawisz wszystko, tylko tak nie rozpaczaj bo mi serce pęka.

Do pewnego stopnia udało mi się przyprowadzić go do równowagi. Odszedł, ale jakby odrętwiały, jak gdyby nie śmiał ręki mej dotknąć; nie pocałował mnie nawet. Kazałam mu przysiądz, że dla mnie żyć będzie. Po długiem wahaniu przysiągł. Kazałam mu dać słowo honoru, że więcej grać nie będzie. Dał je z gotowością.

Czemuż ja go dawniej, wtedy, słowem honoru nie związałam? To było szaleństwo z mej strony. Słowa honoru nie byłby złamał.

bo on *jest* honorowym człowiekiem, *jest*, tylko namiętność go uniosła. Tadeusz, zły duch dokazał swego, a on nerwowy, wrażliwy, dał się porwać. Teraz, po tej okropnej katastrofie, więcej grać nie będzie, to nauka na życie całe, tej nie zapomni.

Ale to katastrofa, bo ja, nie śmiem teraz ludziom w oczy spojrzeć. Wstydzę się! Ach! to straszne! straszne! Ja, kobieta wstydzę się za mężczyznę! ja się wstydzę za nie swoje winy! ja się wstydzę za tego, kogo kocham!

Ach! to straszne!

Boże mój, Boże! ratunku, miłosierdzia!..

Krusznica, Maj.

Tadeusz postawił na swojem. Klinowa do niego należeć będzie, za długi, które Ksawerek u niego pozaciągał. Musiałam sprzedać Klinową, a on ją kupił, choć dla pozorów symulacyjnie kupca obcego podstawił. Ciekawa jestem uczuć tego tryumfatora. Nie widzieliśmy się. Przez Sędzickiego załatwiały się wszystkie interesa.

Sędzicki okazał w tej smutnej sprawie delikatność wyrafinowaną; z najmniejszem niezadowoleniem się nie zdradził. Na pozór swobodny dosyć, jakby pragnął pocieszyć mnie, bo widział, że cierpię, dodaje mi odwagi i powtarza:

— Damy sobie radę, damy sobie radę.

On sobie może da radę, ale ja z sercem udręczonem dać sobie rady nie mogę.

Ksanio wyjechał na Litwę na czas dłuższy. Tam przy pomocy kapitału z nowozaciągniętej na Krusznicę pożyczki towarzystwa, ratuje resztę ojcowskiego majątku. I ślub odłożony na całe pół roku. Tak chciała Andzia i woli jej stało się zadość.

Ona mnie w liście swym błaga, bym na lat parę termin ślubu oddaliła. Ale to niemożliwe. Rozumiem, że chce przez to bym zerwała, tego jednak nie zrobię przenigdy. Tego zrobić nie mogę dla wielu względów. Pierwszy i najważniejszy, że go kocham. Potem, pieniędzmi mymi wydobywam go z toni, gdybym za niego nie wyszła ratując jego byt materyalny, zrujnowałabym jego byt moralny, więc to niemożliwe. Potem, na to, że zerwę liczył Tadeusz, a choćby to jedno tylko wystarcza, bym nie zerwała. Zresztą i w to wierzę jeszcze, że znajdzie w sobie siłę na zwalczenie pokusy.

Andzia moja serdeczna!

Tak rzadko pisywałyśmy w ostatnich latach do siebie! Uległam jej o tyle, że ślub odłożyłam na czas dłuższy. Nie mogę się upierać po dziecinnemu. Lepiej, że Ksanio głębiej odczuje następstwa szalonej nieopatrzności swojej. Pół roku!.. Tęsknić za mną będzie, bo mnie kocha, i czas ma do rozpamiętywania

czynów swoich. Widywać się nie będziemy przez czas dłuższy, a on tak pokornie, tak smutno zgodził się na wszystkie warunki, szaloną ofiarę robiąc z miłości własnej! Gdyby nie ja, byłby sobie życie odebrał, a to nie poza, to prawda, człowiek, który nie ma zamiaru wykonać tego co mówi, nie potrafiłby pisać, jak on w swym pierwszym liście po rozłączeniu się naszem do mnie pisze:

„Droga moja! Niebezpieczna to była próba, na którą mnie skazałaś. Rozłączenie z tobą jest dla mnie pasmem walki z pokusą. Rozumiesz jaką pokusą, a ja dziwię się jak mogę stawiać opór dręczącej *idee fixe.* Pierwszej nocy widziałem tylko rewolwer; oczy zamykałem, by się pozbyć tej halucynacyi, a myśl powracała uparcie do idei „nie żyć".

„Właściwie było to jedyne wyjście, — mówię „było" a nie „jest", bo znalazłem inne, dzięki tobie, ty, geniuszku mój, tak uparcie czuwający nade mną. Bo czuwasz pewnie, inaczej jakaż moc silniejsza od mojej „*idee fixe*", mogłaby zatrzymać rękę moją, gdy wszystko co we mnie jest, rwało się do śmierci?

Nie pozwoliłaś mi, obyś nie pożałowała tego jedyna, obyś nie pożałowała! To pragnienie jest mi teraz celem.

„Więc słuchaj, jak dalece masz mnie w ręku swojem. Gdy nie mogłem się otrząsnąć z tego jedynego pragnienia: „przestać istnieć, zdobyłem

się na stanowczość, na jaką mnie stać było przez chwil kilka. Klucz od biurka, w którem mam swoje rewolwery a trudny do dobrania, bo gatunek dość skomplikowany, otóż klucz ten, po szczelnem zamknięciu szuflady wyjąłem, i po nocy, jak waryat, albo widmo jakieś, po ciemnej deszczowej nocy błądziłem, zatapiając się w ciemnościach, słuchając wycia opętanego wichru, potykając się po kamieniach i wybojach, aby dojść do najbliższej sadzawki—i zamiast siebie klucz utopić.

„Przyznaj, że to mocno śmieszne; nie odważyłbym się tych szczegółów tobie donosić, ale, że robiąc to wszystko czułem się automatem pchanym inną, nie moją wolą, więc pytam, czy ty mi to podyktowałaś?

„Wiedziałem, że modlisz się za mnie, za zgubioną duszę twoją". Może to autosuggestya, ale choć nie wierzę, by był Ktoś co nas słucha i wysłuchać może, przecież chciałem mimowolnie być tym, który, twoją modlitwę odgadując, spełnia.

„Czemu siebie zamiast klucza nie wrzuciłem w tę jamę głęboką? To już lepiej rozumiem: brudna tam woda, a do fizycznego brudu straszny wstręt czuję. Dawniej myślałem, że i do moralnego, teraz myślę to samo, ale przed tobą nie śmiem się z tem odezwać.

„Otóż, ukochana, gdy raz klucza się po-

zbyłem, myśl o rewolwerach stała się mniej zaciekła, stała się mniej dokuczliwa. Potrzebaby było zwyciężać zapory fizyczne, materyalne, by do tych rewolwerów trafić.

„A to właśnie choroba moja, nerw którego mi brakuje, nerw woli. Zapory łamać! na tę samą myśl trwoga mnie ogarnia. Patrz, jak ci się spowiadam. Najmniejsza zapora, najmniejsza trudność wystarcza, bym się cofnął od spraw najważniejszych.

„To może powód, dla którego nie zabrałem cię zaraz, gdy cię pokochałem, nie miałem odwagi życia zmieniać, a czułem, że trzeba je będzie odmienić. To także powód dla którego gdy raz komu innemu siebie przyrzekłaś, nie byłbym się zdobył na wyrywanie cię z obcej dłoni, aby nie mieć przeszkód do zwalczenia. Gdyby nie ów pozór i nie omdlenie twoje, które mi cię oddało na pozór obumarłą i przykuło do ciebie na wieki, to może byłabyś szczęśliwszą, niż jesteś.

„Więc ty, ty jedna dotąd natchnęłaś mnie chwilą woli, gdy cię temu obcemu, który stał między nami, odbierałem. Później, trzeba było walczyć, mnie, który nigdy na sekundę sam z sobą nie walczyłem. Poco? dla Nirwany?

„Otóż wtedy przeklinałem miłość, nie ciebie, ciebie nigdy? nie przyjdzie nikomu do głowy przeklinanie statuetki, kolibra, albo małego dzieciątka, a czemże ty jesteś?

„Kochanko moja i żono moja — słuchaj, i wysłuchaj tego, co ci powiem! Ty jedna wysłuchaj, ty wiesz, że ty jedna dla mnie, że tylko twój sąd dla mnie, twoje uczucie, twoja wola. Nie znam innej. Wiesz, że opinia tego świata jest dla mnie niczem Więc o ciebie tylko chodzi. Słuchaj, co postanowiłem.

„Twego majątku nie chcę i nie pożądałem go nigdy. Nie mów: „w takim razie czem myślał płacić długi karciane?“ Proszę, nie mów i nie myśl tego, bo cię to szpeci. Dawniej, gdym o tobie nie myślał, bom cię nie znał, ułożyłem życie tak: dopóki starczy na to, co jest dla mego „ja“ jedyną możliwą egzystencyą, dopóty żyć będę, poczem, nie palnę sobie w łeb, bo asekurowany jestem na życie i tę asekuracyę muszą mamie wypłacić, by miała byt zapewniony, ale umrę tak, że mamie się krzywda nie stanie; o Madzię byłem spokojny, wiem, że gdy mamy nie będzie, wstąpi do klasztoru.

„Powiesz „rozumowanie samoluba“, prawda, ale my wszyscy egoiści, mama też jest egoistką, gdy chce, bym tak żył, jak jej się podoba, a moją śmierć osłodzi sobie symbolam wiary i modlitwa życie jej wypełni.

„Tak rozumowałem, gdy ty mi weszłaś w drogę.

„Stało się! Ale, powtarzam, majątku twego nie żądałem. Co mnie w owej przeklętej

godzinie zawiodło do ciebie i jak mogłem wymówić owe słowa?

Podłość! a na podłość lekarstwem — tylko śmierć. Więc znowu wracałem do tej myśli. Tego jednego tylko nie rozumiem, że jeszcze żyję. Musiała w tem być jednak wola twoja, w tym jednym wypadku bardzo silna wola, od mojej silniejsza.

„Teraz zaczynam sobie zdawać sprawę, że to do czegoś prowadziło. Fatum. Nie miałem umrzeć, bo miałem inne przeznaczenie, więc słuchaj przeznaczenia mego.

„Oddasz wszystko, co masz, komu zechcesz, albo na cele dobroczynne przeznaczysz, nie zostawisz sobie nic, wezmę cię bez bogactw, bez grosza. Pojedziesz ze mną na skraj świata, i tam zaczniemy nowe życie. Zdolny byłem, nauki same wbijały mi się w pamięć, jestem inżynierem, i pomysły różne chodzą mi po głowie, czuję, że wykonane uczyniłyby mnie bogatym. Na to trzeba „chcieć“ i dlatego nigdy nie byłbym się zdobył na ich urzeczywistnienie. Ale dla ciebie dokażę tego!

„Rozumiesz ty, duszo moja? dla ciebie! Skoro dla ciebie żyję, to dla ciebie i tego dokazać potrafię.

„A teraz pokornie, jak ta materyalna bryła, zaledwie iskrą małą duchowości ożywiona, pokornie i błagalnie ręce do ciebie, płomyczku świetlany podnoszę, wysłuchaj mnie!

Znasz mnie. Przedstawiam ci się w całej smutnej prawdzie mojego „ja“. Ale i ja ciebie znam, ty mi nie odmówisz“.

I miał słuszność. Byłabym uległa woli jego; już miałam list napisany, gotowa byłam na wszystko, gdy nagle stanęli mi w oczach Staś i mama tak żywo, i tacy smutni, i tacy gniewni nawet, oni, którzy nigdy nie gniewali się na mnie!

A wtedy przeżyłam znowu godziny, które mi się wiekami wydały. Do szaleństwa sprzeczne myśli rozsadzały mi głowę. Ostatecznie zdobyłam się na tyle zimnej krwi, iż Ksania poprosiłam o trochę czasu do namysłu. Wtedy napisałam o tem wszystkiem do Andzi, wyspowiadałam jej się z wszystkich wrażeń moich, i uczuć, i niepokojów, i cały list Ksania posłałam.

Wczoraj miałam odpowiedź. Andzia wiedziała o wszystkiem od wuja Maryana, ale delikatnością wiedziona nie odzywała się z tem do mnie. Teraz wyraźnie jedno ma tylko pragnienie, zerwać moje z Ksaniem małżeństwo!

To niemożliwe... Możliwe zato do wykonania są rady, jakie mi daje.

„Jeżeli w żaden sposób nie chcesz słuchać głosu rozsądku, to odpisz panu Ksaweremu, że pod jednym tylko warunkiem, zgadzasz się na jego propozycyę. Niech wyjedzie bez ciebie, niech pracuje i przekona, że ta wola,

która może jest tylko chwilowem naprężeniem nerwów, wystarczy mu na opiekowanie się tobą i zapewnienie ci spokoju. W każdym razie na kilka lat powinnaś odłożyć decyzyę po tem, co zaszło. Błagam cię o to przez pamięć na matkę twą i na Stasia".

Wiedziała Andzia jakich ma zaklęć użyć. Staś i mama! ci teraz w myśli mi ciągle.

Na to zaklęcie zdecydowałam się Ksania prosić, by czekał nie lata całe, bo to nie możliwe, lecz choćby rok, choćby pół roku tylko.

Ale nie wiem, jakie i od kogo wiadomości odebrała matka jego, ciocia Lorcia, bo od niej najniespodziewaniej w świecie nadszedł list, który sprawił, że moją prośbę zaniosłam do Ksawerka, w ostatecznej odpowiedzi na jego wezwanie, a on oddany swoim planom zmian w przyszłości, zgodził się na to.

Otóż ciocia po prostu ręce do mnie wyciąga bym Ksania ratowała; jej biednej już nie tylko o niego chodzi, ale o jedyny, ostatni majątek na Litwie, który od kilku set lat w ręku rodziny jej męża pozostawał. Więc choć ten jeden pragnie *à tout prix* uratować. Przedstawia mi całą tę sprawę ze strony materyalnej, dowodzi, że włożony tam kapitał wróci się prędko, że to najlepszy interes, słowem, gorącymi błagalnymi wyrazy wzywa mojej pomocy moralnej dla Ksania, materyalnej dla siebie. Bo wyrwanie Warek z rąk obcych, uważa jako łaskę wprost sobie wyświadczoną.

Więc po namyśle odpisałam Ksaniowi:

„Drogi mój! zanim błagać cię będę o spełnienie woli mojej, wprzód stwierdzę fakt, straszliwie dla mnie smutny, nie dlatego, by ci robić wymówkę, to byłoby meskineryą, a tej nie mam w sobie, ale aby na tej zasadzie wymódz uległość twoją. A więc: wyrządziłeś mi straszną krzywdę...

„Ani wiesz, ani pojąć możesz, jak wielką krzywdę i nigdy może nie zrozumiesz, przez jakie męki przeszłam—i w to chyba nie uwierzysz, że nie dla strat materyalnych, bo takie rzeczy są dla kobiety kochającej niczem, ale dla mej miłości własnej.

„Zwątpiłam o twojem dla mnie uczuciu, a to przecież męką być musiało, skoro ja dla ciebie, nie zważając na opinię świata, zdeptałam jedno biedne ludzkie serce, i ciebie wybrałam za pana dla niego.

„Byłeś panem moim i na to, by nadużyć władzy swojej, by szarpać wszystkiemi strunami mego serca. Moja wielka ambicya zawiodła mnie, ambicya, dla której uniewinniałam siebie w mojem wiarołomstwie dla Janusza. Chciałam cię ratować, wierzyłam, że cię uratuję, że tobie potrzebniejszą jestem, niż jemu, że zwycięży miłość twoja do mnie namiętność twoją do gry, ta jednak nadzieja zawiodła mnie, i na razie pozostałam tak zrozpaczoną, że tego się słowami nie wypowie.

„Zdawało mi się, że z wiarą w ciebie, tracę wiarę we wszystko i nawet modlić się nie mogłam.

Trwało to dni kilka, ale matka moja z tamtego świata czuwała nade mną i znowu duszą potrafiłam się wznieść do Boga i błagać Go. Wierzę silnie, że to ocaliło mnie i ciebie.

„Masz słuszność, gdy przypuszczasz, że moje błagania przed Tron Najwyższy niesione, od samobójstwa cię ochroniły, bo modliłam się tak, jak gdyby dusza moja sama wprost klęczała przed Tym, który wszystko może, i wołała głosem wielkim o ratunek dla ciebie i dla mnie.

„Więc życie twoje do mnie teraz podwójnie należy. Nie weźmiesz mi za złe, że następujący układ ci zaproponuję.

„Za rok, ale nie prędzej, zostanę żoną twoją, do tej pory musisz dla matki swej, dla jej spokoju coś zrobić, więc ratuj dla niej Warki, ocal je i oddaj jej. Powiesz, że to niemożliwe, że nie masz na to kapitału. Sprzedaj Rudzienkę, tu, w Królestwie znajdziesz łatwo kupca odpowiedniego.

„Uśmiechasz się? mówisz, że Rudzienka znacznie wyżej swej wartości długami jest obciążona. Dziwisz się, że wiem o tem? Wiem od Sędzickiego, z którym, jako z bardzo zaufanym i absolutnie dyskretnym przyjacielem po-

mówiłam o wszystkiem, zanim do tego listu siadłam.

„Nie chcę ci znowu robić wymówek, że bardzo prędko długi Rudzienkę pokryły, bo i nacóż kiedy zdały się wymówki? ale powtarzam sprzedaj ten majątek. Dla świata znaczyć to będzie, że Warki ratujesz pieniędzmi własnymi. W rzeczywistości zaś Sędzicki znajdzie sposób na dostarczenie kapitału, który pozwoli ci Warki oczyścić.

„.Taka jest moja wola, a pragnienie gorące matki twojej.

„Nie zasłaniaj się żadnymi względami, bo to byłoby dowodem, że mnie nie kochasz.

„Przecież to dziś drobnostką jest tylko; ja zgadzam się na wyrzeczenie się wszystkiego i chcę pójść za tobą na nędzę nawet, tylko o kartach już słyszeć nie będę, widzieć ich nie chcę i umrę chyba, gdy je w twem ręku zobaczę.

„Co do tego niema kompromisów.

„Słowa honoru żądam od ciebie, bo w honor twój wierzę, jak w siebie samą i w miłość moją dla ciebie. Ze spokojem pójdę za tobą na złą i dobrą dolę, byleś mnie kochał, byleś zmienił sposób życia.

„Choćby ci praca trudno przychodziła, pomogę ci, nigdy się nie poskarżę, nigdy mnie smutną nie zobaczysz, abym to czuła, to jedno tylko, że dla mnie i przeze mnie stałeś się tym,

jakim cię chcę widzieć; bezgranicznem pożądaniem duszy mojej.

„Ale rok czekać musisz. Zanim Warki bez długu oddasz matce, rok ten minie, a przecież to nie za długa pokuta, nałożona na ciebie za winy twoje, powiedz".

Taka była treść listu mego do Ksania, a on, wierząc w zmartwychpowstanie obumarłej woli swojej, zgodził się chętnie na moje żądanie, pokornie przyznając, że kara ta jest za lekką, bo nie dziwiłby się, gdybym się całkiem cofnęła przed obawą dzielenia z nim życia.

Więc niechaj tak będzie.

Andzia nie wierzy, bo go nie zna, ale ja wierzę. Dał mi słowo honoru, to mi wystarcza, wolałby umrzeć, niż takie słowo, tak solennie dane, złamać.

Długoletnich namiętności nie gubi się w człowieku skinieniem palca. Optymistką byłam niepoprawną, gdy się łudziłam, że tak od razu z Ksawerka, ulegającego namiętnościom, zrobię potulnego baranka. Ale teraz, po tem okropnem przejściu... Zresztą i ja choć mimowolnie winną jestem; gdyby nie ja, Tadeusz nie byłby się zawziął na niego iście po szatańsku.

Sobota.

Nie, doprawdy, gdy takie smutne, beznadziejne listy odbieram od Ksania, zdaje mi się, że

nie wytrwam, że nie będę miała odwagi rok cały trzymać go zdala od siebie. Wogóle o roku już mowy niema, już wymodlił skrócenie terminu na pół roku, ale tak nam tęskno bez siebie! Ma słuszność pisząc: „życie tak smutne, tak nędzne, tak krótkie, czemu dobrowolnie znęcać się nad sobą?“

Gdyby nie Andzia, może nie wytrwałabym. Jeżeli tu sama zostanę, nie wytrwam z pewnością, ale ona czuwa nade mną.

Nie mogę jej odmówić słuszności. Ambicya kobieca radzi mi także uzbroić się w stanowczość i nie ulegać prośbom Ksania.

Andzia nie może mu też darować mojego zerwania z Januszem; ona go serdecznie lubi, to jej najmilszy sąsiad. Pisze mi jeszcze, że jej Wacław zmężniał i świetnie teraz wygląda. Ma nadzieję, iż nadal w kraju będą mogli zamieszkać. Tego zazdroszczę Januszowi: mieć Andzię w swojem sąsiedztwie. Może się zgodzę na jej prośbę i pod koniec maja pojadę do niej, do Saskiej Szwajcaryi pod Schandau. Góry Wacławowi zalecono, zanim na resztę lata w niezdrowem powietrzu litewskich płaszczyzn się zamknie.

Biedna Andzia! Jakaż to ironia to jej małżeństwo. Oboje z Zygmuntem unikają siebie. On teraz w Galicyi, a to wystarcza by zamiast do Zakopanego, jak miała intencyę, udać się w cichy zakątek do Saksonii. Gdy on

na Litwie poluje, ona z synem na Południu, gdy on na Wschód, ona z pewnością na Zachód się wybierze. Biedaczka! To też jej usposobienie jest jakby kirem zasnute. Wszystko ze smutnej strony bierze. W jej położeniu pojmuję jej obawy co do mnie. Za złe jej tego nie mam, przeciwnie, mało istot kocha mnie dziś na świecie i wdzięczna jestem za każde uczucie serdeczne. Ale niemożliwości żąda ode mnie, zerwać z Ksaniem! Przenigdy! Zgubiłabym go, a sumienie zadręczyłoby mnie na śmierć. Judasz zdradził, a czy jest straszniejsza postać w historyi ludzkości?

Maj.

Cudnie na świecie, ale tylko ptaki, drzewa i kwiaty rozkoszują się słońcem, ja nie.

Kaplicy fundamenta na jesień podłożone stanęły. Na wiosnę nic nie przybyło. Nie buduje się dalej, niema pieniędzy. Nigdy już tam nie chodzę. Ta kaplica, która całe cztery lata była moim głównym celem i jedynem marzeniem, kiedyż się wzniesie? Dół tylko wykopano głęboki; jamę ogromną. Wygląda to na olbrzymi grób, który czeka na swego nieboszczyka. To urocze miejsce nie tylko, że chwilowo urok swój straciło, ale po prostu strachem, zabobonną trwogą mnie przejmuje. Ślubu nie

dokonałam, *votum* nie spełnione, dla pamięci Stasia nic nie uczyniłam, bo pieniądze poszły na...

A mój Boże! Już myśleć o tem nie będę. Chyba oszaleję.

Więc tam nie chodzę, bo i Janusza tam widzę i oczy jego promienne szczęściem, i oczy jego oszołomione bólem.

I Krusznicę mniej dziś lubię; wogóle są chwile, w których sama siebie nienawidzę.

Ale zato, Boże mój Boże! w nieszczęściu modlić się nauczyłam. To przecież dar olbrzymi, o Panie!

Zanadto mi tu smutno. Castrelka już pewnie idyocieje; nie więcej mnie rozumie od mopsów, a w oczy Sędzickiego patrzeć nie lubię, i z Marylką nie lubię się teraz widywać. Uciecbym chciała od ludzi Matka Ksania z Madzią do niego na Litwę pojechały; prosiłam je o to. Dlaczego? sama nie wiem. Pewnie, by go strzegły...

Miłość jest, ale ufność podkopana...

Pojadę do Schandau; czuję, że przy Andzi najlepiej mi będzie. Tak, to dobra myśl; tu pozostać nie mogę z mojemi myślami.

A jednak jakie on cudne listy pisuje do mnie!

Schandau. Maj.

Andzia przyjechała po mnie do Drezna. Statkiem parowym płynęłyśmy po Elbie, i nie

mówiłyśmy nic do siebie, tylko w milczeniu upajałyśmy się zwolna powstającymi i nikną-cymi obrazami.

Miraż! życie to miraż. Czy się w czem różni od mirażu, gdy majaczeje tylko w naszem wspomnieniu, jak te obrazy, które nam z oczu giną, gdy statek naprzód się posuwa? Coś niewyraźnego rysuje się w umyśle wywołane siłą natężonej pamięci. Jakieś zasnute, spłowiałe fragmenty życia! dziesięć lat temu, piętnaście! a te spłowiałe, oderwane szmatki przeszłości wtedy wiązały się w całość i może krwawemi łzami wypisane były, i nazywały się rzeczywistością.

Dziś—wspomnienia mirażu.

Ach! ta znikomość wszystkiego. Myśląc o tem zawrotu się dostaje, oszaleć można, nic się nie rozumie. Zagadka! sfinksowe spojrzenie świata!

Już i Bastai wspaniale na szczycie skał osadzone, średniowieczną malowniczą powagą przykuwa oczy. Zawisło nam nad głowami i dalej, i dalej, i Bastai znikło na horyzoncie.

Tarant! lasy i lasy, cudnie pachnące, wille za willami, wzgórza za wzgórzami. A tak tu cicho, ach! gdybyż tak cicho przepłynąć przez życie.

Przybijamy do przystani. Na nasze spotkanie wybiega śliczny paź czarnooki, to Wacław. Do ojca i do matki podobny, rysy ojcowskie a wyraz matki, więc prawie doskonały

w urodzie. Opalił się, zmężniał, ale wysmukły, zwinny, bardzo wysoki na swój wiek, wydaje się starszym, niż jest, choć ma jakiś dziecinny urok w uśmiechu i w ruchach kocich, elastycznych. Zwinny jak wiewiórka,

Odnowiliśmy łatwo znajomość, i kochamy się bardzo. Chłopiec jest całą naszą rozrywką. Dumne jesteśmy z niego obie, gdy oczy naszych sąsiadów z willi rozsianych po wzgórzach, spoczywają na nim z zachwytem

Jestem tu już tydzień cały, a choć nie wróciła wesołość moja, ale zdaje mi się, że po każdem odetchnięciu balsamem z świerków płynącym, wciągam w siebie jakieś gojące lekarstwo, które mi głaszcze nerwy i koi serce zbolałe, a usypia obawy.

Listy od Ksania miewam prawie codziennie. Jeden z nich przeczytałam Andzi, aby ją do niego przekonać. Westchnęła głęboko i milczała przez chwilę, przyczem rzekła:

— Szkoda tego człowieka!

— Byłaby szkoda, powiedz — poprawiłam ją — dlatego, że byłaby szkoda wielka, ratować go muszę.

Andzia smutnym wzrokiem na mnie spojrzała. Nie wierzy w poprawę Ksawerka. Zrażona do ludzi, ani jej się dziwię, ani za złe biorę, ale mojej wiary nie złamie, mnie tej wiary do życia trzeba.

Czerwiec.

Dobrze nam tu. Pewnie część lata tu spędzimy. Mnie jakoś straszno wracać do Kruszńicy, i Andzia mnie zatrzymuje, jakby się bała mego powrotu.

Boi się odwiedzin Ksawerka.

On mnie błaga, by mu wolno było przyjechać, ale Andzia tak stanowczy stawia opór mojej uległości na tym punkcie, że nie śmiem się z nią sprzeczać; trochę jej się boję, ma wpływ na mnie, ale wpływ Ksania silniejszy, więc mowy niema, by na mnie wymogła zerwanie.

Ksawery wprawdzie zwraca mi nieraz wolność w listach swoich, ale między wierszami czytam, że to byłoby zgubą jego, że ja jedna kotwicą mu jestem.

Czerwiec.

Kilka dni temu, nie, to już i tydzień blizko, siedziałam z książką na wierzchołku Kuhstahl i patrzałam w dal niezmierzoną, licząc machinalnie wierzchołki wszystkich gór u nóg moich. Wacek zrywał kwiaty i wieńczył mnie nimi. Nie zwracałam na to uwagi. Mechanicznie spostrzegałam ruchy głowy jego ślicznej,

gdy jak ptak przechylał ją z lewego ramienia na prawe i gdy przyglądał się efektowi swoich artystycznych co do mnie pomysłów.

Nagle zapytał mnie:

— Ciociu, czy siostrzeńcom wolno żenić się z ciotkami?

Serdecznie roześmiałam się:

— Nie wiem dziecko, nie pamiętam, dlaczego pytasz, czy chcesz się ze mną żenić?

Chłopiec z zachwytem ręce złożył i podniósł je w górę:

— Ach! chciałbym ciociu, jakby to było cudnie!

— Ależ miałbyś bardzo starą żonę, mój biedny paziu.

Paziem go swoim nazywam.

— Czy ciocia stara?

— I bardzo nawet.

Zamyślił się:

— A czy młodemu ze starą nie wolno się żenić?

— Jeżeli ma ochotę.

— Ja mam ochotę, ciociu; będę cioci znosił jagody, będę robił kapelusze, i korony, i sukienki z samych kwiatów, będę ciocię prowadził na osiołku, będę zrywał dla cioci grzyby.

Nie wiem, jakie propozycye tentujące robiłby mi Wacio, gdyby nie nagłe zarysowanie

się na horyzoncie, tuż przed memi oczyma wyniosłej postaci męskiej.

— Ksawerek — zawołałam prawie przerażona — skąd się tu wziąłeś? co ty tu robisz? — pytałam głosem, który z nadmiaru wzruszenia, jakimś nie moim, jakimś obcym, głuchym mi się wydał.

Schwycił mnie za obie ręce.

— Podsłuchiwałem — rzekł śmiejąc się — stałem tam za skałą przez chwil kilka, ciekawy, jakich to deklaracyi słucha moja pani w mojej nieobecności. Ślicznie mi się Ninuś sprawia! a zdrajczyni! to ten młody obywatel takie ma na przyszłość zamiary!

Wacio stał jak przykuty do miejsca, szkarłatem oblany. Zapoznałam ich z sobą, ale chłopiec znikł prędko, okropnie zawstydzony. Nie śmiał oczu na mnie podnieść.

— Teraz powiedz, kto ci pozwolił przyjeżdżać Ksaniu? — pytałam na pozór surowa, a w gruncie szczęśliwa—skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

— Lokaj wasz mnie poinformował, że księżna Olenicz bawi w Dreźnie dla interesów, a pani hrabina pojechała z młodym księciem na Kuhstal. No, i jestem.

— Ale jakeś tu do mnie trafił?

— Takie zjawiska z paziami łatwo znaleźć, gdy się ma język ku pytaniu.

— Pewnie słyszałeś moje imię, gdy je Wacio wywoływał, echem się bawiąc?

— Tak, domyślna istoto. Przez kilka minut słyszałem nieustannie po setki razy powtarzane ,,Nia," Ninetka, Ninon, Ninka," jak gdyby góry i lasy o tobie tylko rozmawiały. Bardzo to było urocze i oryginalne, bo wyobraziłem sobie, że każdy świerk i skała każda wiedzą, kogo szukam i, że mi oznajmiają twoją obecność między niemi.

Taki był rozpromieniony, tak na razie zapomniał o wszystkiem na świecie, że nie miałam serca wymówek mu robić. Wogóle nie zdobędę się na nie, bo przecież jeżeli zerwał układ, który stanął między nami, to tylko dlatego, że zanadto tęsknił, a tego za złe mu mieć nie mogę.

I znowu mam go obok siebie, a to tak błogo nie myśleć o przeszłości, żyć dniem dzisiejszym i takie mieć cudne ramy dla swej idylli.

Ksanio znowu inaczej mi się przedstawia. Znałam go jako znudzonego sceptyka, potem jako nerwowego, prawie niepoczytalnego w swych zachwytach, bezmiernie zakochanego i rozmarzonego człowieka, potem, jako światowca dość szablonowego, podobnego do wszystkich, potem jak otchłań smutnego i zrozpaczonego.

W listach swoich przedstawiał mi się jeszcze inaczej. Jakieś amerykańskie demokratycz-

ne pojęcia nieraz w nich się objawiały. Z zimną krwią, energicznie mówił o swej przyszłości, oddanej pracy, wynalazkom, nowym pomysłom, tak, że przeczuwałam w nim zdolności drugiego Edisona. A teraz przyjechał inny znowu, jak dobre dziecko, grzeczne, posłuszne, potulne, starające się przypodobać. Andzi, mnie, w oczy patrzy, by z góry życzenia nasze odgadnąć.

Taka mieszanina w tym człowieku.

Zdaje mi się, że Andzia doznała wielkiej niespodzianki; przygotowaną była na spotkanie istoty nerwowej, znudzonej, trochę cynicznej, prawie niepoczytalnej, to też zawiedziona się czuje, poznając w nim człowieka, pełnego naiwnych zachwytów nad pięknąścią tutejszej natury, pokornego prawie w stosunku do nas, kobiet, wesołego przytem, jak młody student na wakacyach, umiejącego bawić się z Wackiem i okręciki dla niego budować i na Elbę je puszczać, a takie mądre, skomplikowane, jakich Wacio jeszcze nie widział, Zdaje mi się, że ta nowa pasya do budowania okręcików jest tylko wynikiem jego planów na przyszłość. Od wczoraj jest on w ciągłych naradach z Wackiem co do jakiegoś koła, które dałoby się nakręcać i obracałoby kółkami stateczku. Tak są tem obaj zajęci, że o mnie prawie zapominają, co mnie trochę dziwi, bo nie jestem do tego przyzwyczajona.

Ciągłe niespodzianki, jakie mi Ksanio urzą-

dza sprawiają, że nim wyłącznie myśl moja zajęta uparcie koło niego krąży.

Intryguje mnie. Czasem doznaję wrażenia, że go jeszcze nie znam. Andzia obserwuje go bacznie. Nie wiem, czy on to czuje, ale nie zdaje mi się, bo taki swobodny, taki wcale nie skrępowany. Nie mógłby być takim, gdyby czuł uwagę czyjąś na siebie wyłącznie skierowaną.

Rozkosznie czas nam mija. Mało jesteśmy sam na sam, ale nie wiem dlaczego, czy to czar przyrody i cisza balsamiczna rozkołysanych wzgórzy świerkowych, czy też spokój i urok, jaki Andzia roztacza dokoła, dość, że nam dobrze, i co najdziwniejsza, że Andzia i Ksawery, te dwa na pozór niezgodne z sobą żywioły, zdają się najharmonijniejszy komplet stanowić. Tak nam dobrze razem, jak gdybyśmy lata całe spędzali ze sobą.

Wczoraj pytałam Andzię:

— Przyznaj sama, że nie takim go sobie wyobrażałaś; przyznaj, że milszy jest i lepszy i rozumniejszy, niż myślałaś.

Po chwili namysłu odparła:

— Przyznaję, że byłam do niego uprzedzoną, ale...

— Ach! to nieszczęsne „ale“ czy nie możesz mówić bez zastrzeżeń?

— Nie mogę, kochanko. Bądź sprawiedliwą i przyznaj, że nie mogę.

— Więc cóż mu zarzucisz?

— Od tygodnia nic, a znam go od tygodnia, tydzień to mało na wydanie sądu.

— Ileż czasu żądasz?

— Oj Ninetko! jaka ty jesteś niepoprawna istotka; ty ćmo moja nieszczęsna, kiedyż ja z „ciebie“ doczekam się pociechy?

— A, ty niesprawiedliwa Andziu! zapomniałaś wybaczać. Gdy kto raz zgrzeszył w przeszłości, to, na tej zasadzie, już ma być potępiony na zawsze?

— Ja nie potępiam, ale ostrzegam.

— To mi okropnie przykro, Andziu droga, ostrzeżenie w tym wypadku równa się obeldze, bo skoro mi dał słowo honoru, to tak, jak gdybyś miała prawo wątpić o jego honorze.

— Ninko serdeczna, co tobie w głowie? taka jesteś porywcza w uczuciach. Przecież nie wątpię, że w dobrej wierze wiązał się tem słowem solennem. Wogóle dlaczego zmuszasz mnie do wypowiedzenia mego zdania? Przecież ja zakochaną nie jestem, więc i zaślepioną także nie.

— Zakochanie z zaślepieniem nie zawsze są nierozłączne. Ja go kocham, ale nie jestem zakochaną, a w żadnym razie zaślepioną.

Andzia pocałowała mnie na dowód zgody i zakończyła rozprawę przyznaniem mi w gruncie słuszności:

— Tak, jest on nad wyraz ujmujący

w obejściu, zdaje się mieć najlepszy charakter, łatwy i miły, jest bardzo intelligentny, a z tego, co widzę, wnoszę, że potrafi być wszystkiem, czem chce, zatem umie chcieć, a to już gwarancya na przyszłość.

Umie chcieć, to fakt!

Dziś rano siedziałam z nim na miękkim mchowym dywanie. Nad nami trzy świerki kołysały się szumiąc z cicha. Byliśmy sami i tak było rozkosznie jakoś, że nie mówiliśmy nawet do siebie, on tylko rękę moją trzymał w swej dłoni i całował. Nagle zerwał się z miejsca.

— Pójdę po Wacia—rzekł.

— Dlaczego? czy nam nie dobrze razem?

— Zanadto dobrze Widzisz, jedyna, ja teraz uczę się „chcieć." Wolę w sobie ćwiczę, abym był sobie posłuszny, abym sam dla siebie stał się panem Więc uczę się rozkazywać sobie. I rozkazałem sobie, że nie pocałuję ust twych przed ślubem, tylko rączki twoje. Rączki twoje. Rozumiesz? Dlatego idę po Wacia.

Umie chcieć. A czy to dla mnie nie nagroda za wszystkie cierpienia moje to uczucie, że wolę swą ćwiczy w dobrem dla mnie, że to ja wprowadziłam go na tę nową drogę?

Czerwiec.

Przez całe dwa tygodnie byliśmy pogrążeni w śnie słodkim. Teraz Ksanio wyjechał.

Pod koniec swego pobytu trochę był zmieniony. Nerwy jego widocznie buntować się zaczęły. Był trochę niecierpliwy, niezawsze sprawiedliwy, ku memu wielkiemu zmartwieniu posprzeczaliśmy się trochę w obecności Andzi.

— Kiedy wracasz ostatecznie do Krusznicy?—zapytał—chciałbym wiedzieć, a widzę moją panią, jak zwykle niezdecydowaną.

— „Jak zwykle?“ nie wiem, czy zasługuję na miano niezdecydowanej?

— Przepraszam jej nieomylność, ale troszeczkę, bo gdy ktoś za ciebie decyduje, to nie dowód, że ty zdecydowaną jesteś.

— Któż to za mnie decyduje?—zapytałam zirytowana, czując, że Ksanio szuka sprzeczki.

— W Krusznicy pani Kirasyer.

— Prosiłam cię, abyś jej tak nie nazywał, ale mniejsza o to. A tutaj?

Wiedziałam już, że godził w Andzię, że rozgniewany był moim oporem co do przyśpieszenia terminu dnia ślubu i Andzi opór ten przypisywał. Na moje wyraźnie postawione pytanie:

— A tutaj?—odparł ironicznym głosem, ale przynajmniej nie dotknął wprost Andzi. Dlatego, że tutaj nikt ci nie radzi, nie możesz się zdecydować nawet co do dnia wyjazdu.

— Nie rozumiem, dlaczego cię to interesuje tak żywo; przecież nic ci na tem nie zależy,

bo wedle układu nie mamy się widzieć w Krusznicy.

— Układy są od tego, by je ludzie według swego upodobania zrywali.

— Jakto?

Nie wiem, czy Ksanio spostrzegł, że się zanadto posunął w chęci podniesienia sprzeczki, bo przecież nie myślał tego, co mówi, dość, że dokończył.

— Jeżeli obie strony godzą się na to, wolno układ zerwać, czy nie tak?

— Ależ ja nie myślę się godzić.

— Cobyś myślała — nie wiem. Wiem tylko, że w Krusznicy pomyślisz to, co ci podyktuje twoja sąsiadka, drogoskaz.

Na łzy mi się zbierało. Nie tylko dlatego, że mnie Ksawery chciał upokorzyć słowami swemi, ale i dlatego, że wobec Andzi przedstawiał się w fatalnem świetle, a w dodatku niegrzecznie prawie, bo ona zanadto domyślna, by nie zrozumieć, że w nią godził mówiąc o osobach, które mi wolę swoją narzucają. Co prawda, prędko starał się naprawić złe wrażenie, jakie na nas zrobił. Zakończył rozmowę nadając jej ton żartobliwy:

— Nie marszcz czoła, Ninko. Wiesz, że czasem lubię pokłócić się z tobą. *C'est pour varier le menu,* ale nie należy brać do serca niewinnego żartu. Wszyscy wiedzą, że masz stalową wolę, nie ulegającą żadnym wpływom.

Udawałam, że to jego tłumaczenie biorę na seryo, ale to tylko przez wzgląd na Andzię.

Wybieraliśmy się wszyscy dnia tego do Drezna, Andzia miała tam ważne sprawunki do załatwienia i oznaczoną godzinę u sławnego Jenkiusa dla zębów Wacia. Ksawery dał sobie *rendez-vous* z jednym z dawnych kolegów Etońskich, którego niespodzianie w Dreźnie spotkał.

Tak mi było smutno. Tak czułam, że płakać muszę. Więc zmówiłam na migrenę moje przygnębienie, trudne już do zamaskowania, i zostałam w domu, żegnając Ksawerka na czas dłuższy, bo nazajutrz prosto z Drezna miał wracać dla ukończenia interesów do Rudzienki i do Warek.

Zły humor jego wypływał stąd, że teraz musi przesiedzieć jaki miesiąc w Rudzience, w sąsiedztwie Krusznicy i chciał, bym tam była jednocześnie. Trudno go winić, że pragnie być ze mną i tego nietylko za złe mu nie biorę, ale to głównie wiąże mnie do niego. Tylko niech mi nie robi w obecności osób trzecich uwag upokarzających, bo to mnie rani, drażni, boli, nie zasłużyłam na to. Z tem się liczyć powinien. Ale on się nie liczy z niczem. Jest nieobliczalny. Najlepszy dowód to wczorajsze pożegnanie. Na pozór dość obojętnie rozstaliśmy się. Obecność Andzi i Wacka nie pozwalała na żadne rozczulenie, a przedtem owa

nieszczęsna sprzeczka sprawiła, że unikałam prawie jego obecności.

Wyjechali, z oczu mych znikli, patrzałam za nimi, póki zakręt Elby nie zakrył mi ich zupełnie. Wtedy taki wielki smutek mnie ogarnął, takie zwątpienie o wszystkiem, takie łkania w sercu nagromadzone, a niewyłkane jeszcze, do piersi falą mi napływały, że w moim cichym zakątku na mchu, pod świerkami, przypadłam do ziemi i duszę wypłakać chciałam, wołając mamy i Stasia. Zdawało mi się, żem opuszczona przez wszystkich, że nikt mnie nie kocha, żem taka sama na szerokim świecie, jak liść suchy po falach rzeki płynący. To było szaleństwem i niesprawiedliwością, podnieceniem nerwów, bo przecież, nie mówiąc już o tylu, tylu istotach, które mnie kochają, Ksanio umiłował mnie nad wszystko.

Bo choćby tylko ta sprzeczka! czyż nie była dowodem, jak mnie kocha, skoro buntuje się na myśl dłuższego ze mną rozłączenia?

Nie wiem, jak długo płakałam, nie wiem, jak długo potem rozmyślałam i do równowagi nerwy doprowadzałam zimnem zastanowieniem się, kiedy ku memu zdumieniu znowu Ksanio stanął przede mną.

Przecież widziałam na moje własne oczy, jak siadał na statek, jak parowiec znikał powoli za skałami się chowając! Halucynacya

prawdziwa! Ale nie! To był on w swej własnej osobie.

Ukląkł przy mnie, ręce moje pochwycił i gwałtownie zaczął całować, a pomimo wszystkich postanowień usta, oczy moje także całował bez upamiętania, po szalonemu, nie dał czasu na pytania.

Nareszcie wyrwałam mu się i wyraziłam wielkie zdziwienie.

— Nie mogłem przenieść myśli, że cię tu samą smutną zostawiam.

— Przecież tego nie powiedziałeś kapitanowi, i dla tej ważnej przyczyny statek nie zawrócił?

— O ty zdziwienie wieczne! ty się ciągle dziwisz rzeczom najnaturalniejszym. Wyobraź sobie tę nadzwyczajną historyę: Statek dopływał do Pilnitz, a z Drezna płynął drugi do Schandau, w Pilnitz się mijały. Otóż księżnie Annie powiedziałem, że muszę wracać po ważne papiery, które tu zostawiłem. Nie wiem, czy uwierzyła, ale to mnie mało obchodzi, bo jej nie lubię, no, i zawróciłem z drogi i jestem.

— I zostajesz, nie jedziesz? przecież wiesz, że musisz jechać, że to ostatni termin.

— Ach! rozsądku miły! uspokój się! nie zostaję, jadę, gdybym miał zostać, tobym cię nie całował.

— Spóźnisz się.

— Nie spóźnię się, bo jadę dziś jeszcze;

za kwadrans nowy statek stąd odchodzi. Dałem *rendez-vous* Gastonowi, nie mogę go zawieść. Bóg wie, czy go jeszcze w życiu zobaczę, a to mój wierny druh, najlepszy towarzysz.

— Mnie on się nie podobał.

— Bo pozuje na cynika; udaje, że nie wierzy w miłość, chętnie się z tem popisuje i zraża sobie kobiety, a to go bardzo bawi, gdy je irytuje; ale to wesoły kompan, wiele miłych chwil mu zawdzięczam. Gościnny był dla mnie w Anglii. Muszę się trochę zrewanżować, podejmując go w Dreźnie.

— Będziecie hulać?—pytałam niespokojnie.

— A to ci się udało! Czyż mnie hulanka w głowie? Tak mi smutno, jak żadnemu psu na łańcuchu; mógłbym wyć i gryźć ziemię.

Niestety, te słowa żartem nie były, choć wymówił je tonem, jakim się mówi o rzeczach obojętnych. Ale w oczach jego błyskały przykre, a znane mi już żółtawe płomyki.

— Co ci jest? — pytam strwożona.

— Źle mi jest.

— Źle ci ze mną?

— Nie pytaj, Ninko, proszę; ty wiesz, że tylko z tobą jest mi znośnie. Ale bez ciebie. Dlatego wróciłem, by się jeszcze upić tobą...

I znowu długo i zapamiętale całował oczy i usta moje.

Przerażona byłam po prostu. Ach! jak mi było okropnie smutno.

— Ksaniu — zawołałam w rozpaczy prawie - nie umiesz sobie przyrzeczenia dotrzymać, nie wytrwasz, zgubisz siebie i mnie za sobą pociągniesz.

Zerwał się z miejsca:

— Szaleństwo! — rzekł dobitnie — wy kobiety wszystko przesadzacie! Wytrwam, bo tak chcę i wytrwać muszę; ale mi smutno, bo się we mnie zrywa stado dzikich zwierząt. Spały, przyczajone, a ja myślałem, że ich już niema. Módl się za mnie, jedyna. No, nie płacz, bywaj zdrowa. Słyszysz? drugi sygnał! Nie zdążę.

I znowu znikł mi z oczu.

Lipiec. Krusznica.

Zanadto byłam niespokojna. Rady sobie dać nie umiałam. Musiałam tu wrócić, by się czuć bliżej niego. Zresztą, chodziło mi też, aby mu dowieść, że nie ulegam wpływom, że Andzia nie dyktuje mi woli swojej, że dzieckiem nie jestem. Andzia zabawi jeszcze kilka tygodni w Schandau. Chciała mnie zatrzymać, ze łzami w oczach prosiła mnie o to, ale *s'etait plus fort que moi.*

Czułam jego obecność blizko Krusznicy i niespokojna byłam strasznie. Bo też i listu od niego nie miałam przez tydzień cały. Z Drezna tylko bilecik pożegnalny i potem nic już.

List zaginąć musiał, nawet kilka zaginęło

z pewnością, a jego tu nie ma. Miał być tydzień temu na miejscu, dla bardzo ważnego terminu sprzedaży. Pan z trąbką majątek cały kupuje, daje dobrą cenę. Ksanio „takinował“ mnie, że to całe kupno jest obliczone na możliwe szanse w przyszłości, na możliwość powtórnego zerwania. Takie dziwaczne miewa koncepta, bo choćby dlatego, że raz zerwałam, to drugi raz zerwać nie mogę. Byłoby to po prostu śmieszne.

Nie bardzo śmiałam wypytywać Sędzickiego o Ksawerka, ale przecież w braku wiadomości od niego, nie mogąc dać sobie rady z gryzącą mnie trwogą, skierowałam rozmowę na temat interesów i pytałam, jak stoi sprawa sprzedaży. Zafrasował się stary, i, mocno sapiąc i odchrząkując odparł:

— Pan Stryjowski daremnie się trudził na termin, oznaczony przez pana Bielewskiego do Rudzienki. Przyjechał i ja przyjechałem, stosownie do woli pani hrabiny i nie wiedzieliśmy, co poczynać, bo pan Bielewski ani się pokazał. ani dał znać o sobie. Wyjechaliśmy z niczem, pan Stryjowski trochę obrażony. Myślałem. że pani hrabina wie, że wyjaśni się ta zwłoka, bo przecież, jak już mus sprzedać, to lepszego kupca się nie znajdzie.

— Nie, mój dobry Sędziu, nic nie wiem i bardzo jestem niespokojna.

Głos mój zadrżał przy tych słowach, a bo-

jąc się przy Sędzickim rozpłakać, wybiegłam z kancelaryi.

I nic, nic do tej pory! Coś się stało, coś strasznego może.

Boże mój! jak on mnie dręczy! jak on niemiłosiernie znęca się nade mną! Ale to przecież niepodobna. Imaginacyę przepełniają strachy jakieś. Tyle razy przewidywałam nieszczęścia i trwożyłam się niemi bez żadnego powodu. To też talent miły takie kucie w własnym umyśle wypadków, przejść tragicznych, obrazów groźnych, i denerwowanie się dobrowolne.

Ach, niestety! nie dobrowolne, bo dałabym — czegożbym nie dała, by uśpić w sobie obawy przeczucia, Bóg wie, jakich nieszczęść.

Aż mi się w głowie kręci od tego ustawicznego błądzenia myśli w jednem kole udręczeń. Jakież to życie trudne, z jakim mozołem, z jakim oporem przedzierać się trzeba po drodze upalnej, znojnej, skalistej!

Środa.

Nie. Ani słowa. On się zabił z pewnością. Jego już niema. Już go nie zobaczę. A! w głowie mię się miesza. Przyjdzie oszaleć pewnie!

Sierpień, Krusznica.

Już miesiąc temu, tak prawie miesiąc.

Już miesiąc, jak widziałam go po raz ostatni. Tu, na tem miejscu siedziałam przy mojem biureczku panieńskiem, przy którem pierwszą kartę nakreśliłam w tym pamiętniku, a karta ta zaczyna się od słów: „Poznałam dziś pana Stanisława.“ Teraz kreślę ostatnie słowa, bo więcej już pisać nie chcę, nie mogę, nie mam siły.

Skończone życie moje...

Nie wiem, wiele lat żyć jeszcze będę, ale bez serca, bez duszy, jak cień tylko. Miesiąc temu tu siedziałam, w zamiarze otwarcia pamiętnika tego, by w nim nową skargę umieścić. Usłyszałam turkot, i od razu, nie widząc wiedziałam, że to on. Nie wstałam jednak, nie wyszłam na jego spotkanie. Siła jakaś do miejsca mnie przykuła. Nogi nie byłyby mnie uniosły. Trzy tygodnie milczenia, trzy tygodnie zniknięcia tajemniczego z horyzontu, to nie wróżyło nic, prócz nieszczęścia.

Stanął Ksawerek obok mnie ze swoją zmęczoną, postarzałą twarzą, na niej drobniutkie zmarszczki, lekko zarysowane na pożółkłej cerze.

Ręce do mnie wyciągnął, nic nie mówiąc.

Ale ja mu rąk mych nie podałam, czułam się bezwładna, omdlała prawie.

— To ja, Nino, nie poznajesz mnie? — zapytał jakimś obcym dla mnie głosem.

— Poznaję — odparłam mechanicznie.

— Ręki mi nie podasz? i sam pochwycił obie ręce moje.

— Co ci jest? czemuś taka blada?

Ale ja mówić nie mogłam. Sparaliżowana byłam, prawie nieprzytomna. On przypadł do nóg moich i łkać zaczął gwałtownie, tuląc się do mnie, a potężne wzruszenie wstrząsało całem jego ciałem. Przez chwilę pozostawaliśmy tak jedno obok drugiego, nie zdając sobie sprawy z rzeczywistości. Nagle ocknęłam się. Odsunęłam go od siebie, zerwałam się z miejsca i zawołałam:

— Ksaniu, tyś grał!

Wahał się przez chwileczkę, poczem odparł:

— Grałem...

— Złamałeś słowo honoru!

Milczał. Ale powoli twarz mu się mienić zaczęła, nerwy drgały na skroniach jego, nozdrza poruszały się, jak u rozhukanego konia. Poczerwieniał, oczy nabrały ostrego, zaciętego wyrazu:

— Proszę cię, Nino, nie rób mi scen — zawołał. Gdy przychodzę do ciebie złamany,

zmęczony sobą samym, nie rób mi scen. Bez frazesów, zaklinam cię, bo...

Stałam trzymając się mocno poręczy biurka. Nogi sztywniały pode mną i znowu, jak niema, słów znaleźć nie mogłam. Czułam, że kamienieję, że każda kropla krwi spływa mi do serca; jak widmo przerażenia musiałam wyglądać.

Ksawery, po chwilowem zacięciu, mówił dalej:

— Nie patrz tak na mnie. Nie jestem mordercą ani zbrodniarzem. Przyszedłem prosić cię o darowanie winy; czy to nie dosyć upokorzenia! I czemże zawiniłem tak strasznie? Co takiego popełniłem, abyś mnie wzrokiem meduzować chciała? Czyż niewolnikiem jestem? Grałem, bo chciałem grać, bo musiałem. Dlaczego chcesz mi pęta nakładać? Dlaczego mi sceny robisz? Przyszedłem ci powiedzieć, że to trudno i darmo. Grać muszę i będę. A żem dość szalony, że cię kocham, jak idyota, to nie wyzyskuj miłości mojej, kobieto, nie wyzyskuj, rozumiesz? bo... bo, wszystko ma swoje granice...

Mówił we wściekłem uniesieniu, choć przytłumionym głosem, przez zęby zaciśnięte sycząc:

— Nie wyzyskuj...

Ale we mnie obudziła się przytomność; przecież nareszcie, zdałam sobie sprawę ze słów jego.

— Ja wyzyskuję? ja? — zawołałam! śmiejąc się dzikim jakimś śmiechem.

I spostrzegłam na biurku mojem talię kart, zawsze tam leżącą. To karty pamiątkowe, któremi mama ostatni raz przed śmiercią pasyans układała. Instynktownie, powodowana gniewem, schwyciłam te karty i cisnęłam niemi w twarz jego. Rozsypały się po całym pokoju i rozsiały po dywanie. Popatrzałam na niego przez sekundę. Spojrzenia nasze, nienawistne prawie, skrzyżowały się, i wybiegłam z pokoju zostawiając go samego. Po chwili usłyszałam turkot odjeżdżającego powozu, i od tej pory nie widziałam go...

To ostatni akt mego życia. *Finita la comedia.*

A! Boże mój, Boże! skoro tak bardzo, tak strasznie serce mnie boli, czemuż nie pozwolisz, by je ból rozerwał ostatecznie, czemu mnie nie wyzwolisz na wolność, na swobodę, do mamy, do Stasia?

EPILOG.

Czy to być może, że ja, ja mam przeszło trzydzieści lat? i dobrze przeszło, bo o całe trzy lata więcej. Aż wstyd wyznać. Wolałabym, aby nikt o tem nie wiedział, przez dawne nawyknienie próżnej kobiety.

Szukałam na dnie biurka obrazków dla Ninusi Nr. 2-gi, i znalazłam ten oto pamiętnik. Aż się zdziwiłam, zapomniałam o jego istnieniu. A przecież to taki stary przyjaciel, doprawdy ludzkie serce jest niewdzięczne. Szczęśliwe narody nie mają historyi, dlatego pewnie nie chciało mi się tracić czasu na pisanie od lat pięciu.

Kiedyż to ostatnie słowa te zanotowałam? Siedm lat temu. Wieki! Od lat pięciu nie pisałam, bo lepiej mi było żyć, niż nad życiem się rozwodzić, a dwa lata poprzednie zanadto mi było smutno, zanadto desperackie myśli mnie

tłoczyły, a w kółko nie miałam ochoty powtarzać tego samego.

Bo, niestety! w kółko, w zaczarowane, a smutne koło zaczęło się obracać życie moje. Mylnie przypuszczałam, że to ostatnie było spotkanie z Ksawerym wtedy, gdy w czasie okropnej sceny policzek mu dałam kartami.

I pocóż o tem wspominać dzisiaj? Poco mącić ciszę? A jakże mi on ją mącił bez miłosierdzia, i wytchnąć nie dał i znowu znęcał się, pastwił się nade mną, aż ogień w mojem sercu jego ręką rozniecony, przygasał stopniowo i wypalił się, i ze szczypty popiołów teraz nawet już i śladu nie zostało.

Te jego powroty do mnie! Te jego przysięgi i zaklęcia, te moje złudzenia i ta dusza, zamierające we mnie po każdym nowym zawodzie!

Że ja nie oszalałam w tem wszystkiem, sama nie rozumiem. A nie byłabym zdobyła się na siłę zerwania ostatecznego. Zawsze darowywałam w nadziei, że przecież, przecież zwyciężę. Ale on sam się mnie wyrzekł, oddał mi wolność moją w opętanym, jak on sam, liście, nazwał mnie w nim swoją zaporą do wolności, wyrzucał mi w namiętnym wybuchu brak serca, brak wyrozumiałości, ciasnotę pojęć, wyparł się mnie, i... nagle z ciemnicy wyszłam na światło dzienne.

Bo już go nie kochałam.

Sprzedażą Rudzienki spłacił długi u mnie zaciągnięte; zgubił przez to matkę i Warki. Warek nie uratował, a matkę do grobu wpędził, bo było to nowym ciosem dla niej. Może anielska Madzia modlitwami swemi, Bogu oddana, za grzechy jego w ostrym klasztorze Karmelitek pokutująca, zbawi duszę jego.

Co się z nim dzieje — nie wiem!

Czy żyje? Nie wiem. Straszno pomyśleć, ale wątpię, sam swego życia nie znosił, nie miał go za dobrodziejstwo, ale przekleństwem je mienił.

Klinowej nie odzyskałam już. Tadeusz miał czoło składać mi jeszcze wizyty w Kruszniсy, ale go nie przyjmowałam. Spłata zaś długów przez Ksawerka pozwoliła mi nareszcie *votum* spełnić, kaplicę wybudować, i tem głównie całe dwa lata byłam zajęta, to mnie od rozpaczy chroniło. Latem myślałam o wznoszących się murach, zimą planowałam ozdoby wewnętrzne, zakupując wszystko, co na razie potrzebnem być mogło.

I zdawało mi się, że już skończone życie moje. A to dopiero był początek! Bo właściwie żyję, naprawdę żyję, sobą jestem, w swej atmosferze w swoim żywiole, odkąd mam moich dwoje malców złotogłowych, takich właśnie, o jakich roiła moja dusza od lat dziecinnych.

Jak się to stało? Naturalnie, po prostu, jak gdyby nas Opatrzność za rękę prowadziła

i wiodła ku sobie. Aniołem opatrznościowym była Julka. Widzę siebie jeszcze i słyszę dźwięk jej głosu.

Widzę siebie u Andzi w Wierzchowicach. Na kilka dni przedtem odwiedzała nas Marylka z Julką, obie na czas dłuższy przyjechały do Janusza i korzystały z sąsiedztwa, by się z nami widywać. Już wtedy zdawało mi się, że oddycham pełną piersią, gdy znalazłam się między Andzią, Marylą i coraz bardziej uroczą, przemiłą Julką. Widzę siebie, jak siedzę na bujanym fotelu na werandzie i czekam powrotu Andzi z Wackiem, którzy wyjechali w blizkie sąsiedztwo na kilka godzin. Zadumałam się, czy też może zasnęłam zmęczona upalnym dniem, gdy nagle poczułam mięciutkie łapki na swoich oczach. Wiedziałam, że to nie Andzia, więc któż! Byłam zaintrygowana.

— Proszę zgadnąć kto taki?--pytał dźwięczny głosik, znany mi dobrze.

— Julka! A ty trzpiotko, przestraszyłaś mnie! pytam, gdzie respekt dla poważnej cioci?

Spoglądała na mnie z pod gęstych rzęs tak jakoś serdecznie i przenikliwie, a usta miała takie cudne, młode, pełne, wiśniowe, a płeć taką prześwietnie zabarwioną na różowo że pomyślałam o Januszu: „niebezpiecznie jest mieć taką siostrzenicę, i to zakochaną, blizko siebie?“

Ona zapytała:

— Cioteczka sama? Możemy porozmawiać trochę?

— Czy to co ważnego, Julko? cóż to za sekret, okropnie jestem ciekawa! — odparłam żartobliwie.

— Niech Ninek nie żartuje, bo ja mam zanieść do niej taką wielką, taką bardzo wielką prośbę.

I patrzała mi prosto w oczy, przysiadłszy na maleńkim taboreciku, na którym nogi miałam wyciągnięte.

— W uszy się zamieniam, mów, kobietko, z góry wysłuchaną jest prośba twoja.

— O Ninko, gdybyż to prawdą było!

— A kto tobie pozwolił tak poufale po imieniu mnie nazywać?

— To tylko gdy jesteśmy same. Pozwól Ninuś, głośno nigdy nie będę. Ale słuchaj, bardzo uważnie słuchaj, bo tu chodzi o rzeczy ważne i święte.

— Prędzej mała, cóż takiego? za mąż się wybierasz? kochasz się w kim? to może za wcześnie.

Poczerwieniała silnie i przytuliła ciemną główkę do kolan moich.

— Nie o mnie chodzi ciotuchno, ale o osoby dużo godniejsze szczęścia i dużo większą grające rolę od takiego małego nic, jakiem ja jestem.

— Zagadkowa jesteś, kochanko, mówże śmiało, jeżeli mogę ci dopomódz, to dopomogę.

— Jeżeli mi odmówisz, Ninetko, to bardzo źle zrobisz, bo... bo jemu będzie zawsze smutno, a przecież tobie też niewesoło.

— Komu? ty miły ambasadorze? niechże wiem nareszcie.

— Ty już wiesz niepoczciwa ciotuchno, ty tylko udajesz — i podniosła na mnie swoje szafirowe oczy z wyrazem błagalnym.

— Niewiem, doprawdy. Mówże nareszcie jasno, bez zastrzeżeń.

— To powiem, bo ty wiesz, a skoro wiesz i pozwalasz mówić...

Uśmiechnęłam się z jej domyślności.

— On ciebie wysłał? — zapytałam.

— O nie, Ninuś! nigdy! to ja sama z siebie.

— Więc skądże ta odwaga, mój najmilszy swacie? skąd ty możesz ręczyć za cudze serce?

— O! ręczę, ciociu, mogę ręczyć śmiało. Gdybyś wiedziała, jak on tobą żyje, jak mu źle bez ciebie; i taki smutny, i taki zamyślony, i zawsze tak rozmowę nakręca, by koło ciebie krążyła, i... czytałam modlitwę, to bardzo źle, bo to niedyskrecya, jego ręką pisaną. Taka cudna modlitwa za ciebie, o twoje szczęście, bo ja wiem, że to za ciebie. Widziałam przypadkiem tylko, przypadkiem cioteczko, szkice jego, bo tam czegoś

szukał, a ja mu przez ramię zaglądałam; zawsze ty, taka śliczna Ninka z zamkniętemi oczkami i z otwartemi. I pełno tam było Ninetek, ale on prędko szufladę zamknął. I tego mopsa od ciebie tak kocha! Nie chce tu przyjeżdżać, bo się boi, że cię nudzi, ale tak się namyśla i jedzie i nie jedzie i taki smutny! Wiesz Ninuś, że jemu włosy na skroniach posiwiały, a tak schudł, przecież sama widziałaś, to wszystko przez ciebie, a on taki dobry, taki najlepszy i najmędrszy.

— Ależ dziecko drogie, to może wszystko przywidzenie twoje — odparłam, ale bez przekonania, bo miło mi było wiedzieć, że tak jest i wiedziałam, źe to prawda.

— Nie, złota moja; ja się nie mylę, już mi wierz.

— Jeżeli to prawda, to cóż chcesz, bym na to poradziła?

Rzuciła mi się na szyję, a tuląc się do mnie mówiła szeptem do ucha:

— Powiem mu tak, gdy wrócę: „Ciocia Ninka pyta, dlaczego wujaszek nie przyjeżdża częściej do Wierzchownicy?“

— Ale to nie będzie prawdą kochanko, bo ja nie pytałam?

— To spytaj, ciotuchno, spytaj, aby to było prawdą,

— No, a potem?

— A potem będziesz dla niego dobrą

i popatrzysz na niego takiemi swemi oczyma, co to przed niemi nic się nie ostoi, a gdy on ci powie, że cię kocha, to ty mu pozwól.

— Przecież tego nikomu zabronić nie można.

— Ale mu pozwól powiedzieć... i... i...

— I co?

— I rączkę mu oddaj i on ci taki wdzięczny będzie, że sama będziesz szczęśliwa.

I to małe, uparte stworzenie wymogło na mnie, że pozwoliłam zapytać w swojem imieniu, dlaczego pan Janusz nie przyjeżdża. A potem, nie wiem, czy patrzałam na niego wedle Julki życzenia, czy i bez tego byłby się odważył, dość, że jestem od kilku lat panią Januszową i...

Sobota, maj.

I mam cudną pareczkę, ach! taką przecudną, rozkoszną. Czasem mi się zdaje, że to tylko marzenie, więc muszę na nich patrzeć i patrzeć bez końca, by dobrze zrozumieć, że to rzeczywistość.

Ale dlatego nie mogę już pisać pamiętnika. Wpadli do mnie oboje, t. j. Ninusia wtoczyła się na swych dwuletnich nóżkach, a Lulu już taki mały mężczyzna, który mamę pieści tylko po kryjomu, bo godność jego trzechletniej

mości nie pozwala mu w obecności trzecich osób czulić się z niewiastami.

Lulu w roli opiekuna przyszedł żalić się na Ninkę, że ona chce zdjąć trzewiczki i chodzić boso, ale Ninka uparta narzuciła mi wolę swoją, wdrapując się na moje kolana i ściągając energicznie pończoszki z nóżek, a te nóżki!

Kto tego nie widział, kto tego nie podziwia, kto nie całuje paluszka za paluszkiem, bez rachuby, bez opamiętania — ten nie wie, co szczęście! Takie arcydzieło z różowego ciałka, powleczone czemś, co w dotknięciu do listka róży podobne, a każda stopka zakończona pięciu różowemi perłami od największej do maleńkiej, komicznej kuleczki, która się piątym paluszkiem zowie. A karczek! kto takiego alabastrowego karczka nie całował z ekstazą, ten nie wie, co to najczystsza esencya rozkoszy. Wpić się w ten kwiat pachnący i czuć, że to jest całowanie anielskie, godne serafinów i matek tylko.

I patrzę na tych moich dwoje, gdy po trawnikach biegają, i myślę, czy to kwiaty, czy motyle, czy jutrzenki, czy zorze poranne.

A jakie to mądre! ale z tem, to już nie śmiem się odezwać, bo Janusz dowodzi, że bardzo głupiutkie z nich stworzonka, że to tylko matczyna zarozumiałość, więc już nic nie mówię, ale myślę, że to prędzej męska ślepota na takie misterne rzeczy.

Sama ich rozbieram, i sama ubieram, i sama kąpię, i sama myję, i sama wykarmiłam, o sama! one są moje i są więcej, niż ja sama, są kwintesencyą wszystkiego, co marzyłam, co kocham, a na co język ludzki wcale słów nie znalazł jeszcze, bo to słowa nie z tego nędznego świata, tyle w nich potęgi, głębi i czegoś, co do wniebowzięcia bywa podobne. Nigdy ich nie mam dosyć, ni w nocy, ni we dnie i gdy zawiązuję i odwiązuję przeróżne tasiemeczki, gdy zapinam i odpinam różne komplikacye tualetowe, wszystko to jest mi rozkoszą. One się śmieją, gdy je mamusia po kolankach całuje i rączki na szyję jej zarzucają i pokazują dwa rzędy drobniutkich ząbków w różowym, szeroko otwartym dziobku. Jest to piękniejsze od wszystkich zębów i ust różanych, jakie na świecie istnieją, jest to coś tak pięknego i tak uroczego, że się prawie nie śmie swojemi ludzkiemi ustami dotknąć tych niewinnych, anielskich dziobków.

Niby głupie, a mądre. Zdaje im się, że coś znaczą, że grają rolę w świecie. Mój Boże! czyż nie grają? i to pierwszorzędnej?

Rok temu Ninusia dmuchała na księżyc i słońce chcąc je zgasić, jak świecę, pół roku temu, gdy pijała kakao, które lubi, częstowała nim wszystkie swoje zabawki po kolei i wypchaną papugę, no i znowu księżycowi kazała podawać na łyżeczce, po trosze, bo księżyc

darzy specyalnym afektem i dziwne ma do niego przemowy, ale dziś już rozumie, że słońca nie zgasi, że księżyc jeść nie chce, że jest za daleko, jednak stosunki z nim zachowała o tyle, że mu czasem grozi na nosku „niu niu niu" i coś tam rezonuje, co może księżyc rozumie, ale ja nie mogę.

Lulu jest mały pasyonat i kułaczki ściska ze złości i wrzeszczy czasem w niebogłosy, ale w tej chwili go uspokoję, gdy mu coś powiem do uszka. Ciekawie nadstawia tę swoją muszelkę, ja mu po cichu zagrożę „mamusia zaraz sobie pójdzie, jeżeli Lulu będzie krzyczał," to tuli się do mnie, przeprasza i już zgoda.

Maleńkich kurcząt się boją, a ogromne obce psy chcą ściskać, robaczek postrach w nich wzbudza, a pszczołę chcą chwytać w paluszki, więc ciągle strzedz ich trzeba i z oka nie spuszczać, a to strzeżenie jest najmilszem zajęciem, jakie Bóg w miłosierdziu swojem dla kobiety na pociechę wymyślił.

Zdjąć z nich koszulki, a widzi się coś tak doskonale pięknego, estetycznego, a przytem anielskiego, że po prostu zachwyt ogarnia, jak przed żadnem innem dziełem Boskiem, cóż dopiero ludzkiem!

Są kobiety, które mają takie doskonale cudne istotki, mają swoje własne, rodzone, i tylko im dobranoc i dzień dobry powiedzą, a resztę oddają bonie i niańkom. Szalone!

czegoż te szukają po świecie? Są i takie, które mając dzieci, o nich nie wiedzą prawie, a rozgoryczone w starości, wyrzekają na mężczyzn, na ich okrucieństwo, egoizm.

Pewnie to te właśnie, które mając do wyboru między dodatnim a ujemnym typem męskim, wybiorą niezawodnie ujemny. Więc czegoż się potem żalą i do rodu męskiego urazę żywią? A gdy mają dzieci, jeżeli mają dzieci, czegoż chcą więcej dla siebie, bo dla dzieci! czegoż, czegożbym nie chciała dla mojej pareczki?

Chciałabym... chciałabym... Boże! ja już sama nie wiem czego, ale Ty wiesz, a skoro wiesz, o Panie! to daj, daj hojną ojcowską ręką, nie, Boże mój! daj matczyną ręką, daj im to, co ja bym dała, gdybym miała potężną, a wszechmocną rękę Twoją.

KONIEC.